

Michael Connelly

Miasto Kości

(City bone)

Przełożył Robert Sudół

1

STARSZA pani rozmyślała się w ostatniej chwili, lecz było już za późno.

Wbiła rozczapierzone dłonie w ścianę, krusząc tynk. Nogami wierzgała tak gwałtownie, że złamała sobie cztery palce u stóp. Opierała się ze wszystkich sił, okazała na tyle wielką chęć do życia, że Harry Bosch zaczął się poważnie zastanawiać, jak to możliwe, że postanowiła popełnić samobójstwo.

Gdzie podziwiała się wcześniej ta wola, ta determinacja? Dlaczego ją opuściły? Dlaczego powróciły dopiero wtedy, gdy założyła sobie na szyję pętlę zrobioną z przedłużacza i odepchnęła krzesło spod nóg? Dlaczego nie doszły w porę do głosu?

Były to pytania nieoficjalne, które nie pojawiają się w raporcie. Dumał jednak o tym, siedząc w samochodzie zaparkowanym przed domem pogodnej starości przy Bulwarze Zachodzącego Słońca. Było dwadzieścia po czwartej pierwszego dnia nowego roku. Bosch pełnił świąteczny dyżur.

Upłynęła już połowa dnia; w tym czasie zgłoszono dwa samobójstwa: jedno za pomocą broni palnej, drugie za pomocą przedłużacza. W obu wypadkach motorem działania była depresja i desperacja. Poczucie samotności. Nowy Rok zawsze obfituje w samobójstwa. Większość ludzi wita ten dzień z nadzieją i wiarą w lepsze jutro. Zdarzają się jednak tacy, dla których jest to dobry dzień na śmierć.

Zapisał telefon komórkowy. Bosch skwapliwie odebrał, by wyrwać się z posepnych rozmyślań.

Dzwonił Mankiewicz, sierżant z komendy dzielnicowej w Hollywood.

– Skończyłeś? – spytał.

– Zaraz się z tym uwinę. Masz coś nowego?

– Owszem. Pomyślałem, że lepiej nie gadać o tym przez radio. Pewien facet z Laurel Canyon, wiesz, w Wonderland, właśnie nas powiadomił, że jego pies wrócił z przechadzki po lesie z kością w zębach. Mówi, że to ludzka kość. Jakiegoś dziecka.

Bosch jęknął. W roku zdarzały się trzy, cztery podobne doniesienia. Jakaś nieuzasadniona histeria, bo szybko okazywało się, że to zwierzęce gnaty.

– Wiem, co myślisz, Harry – ciągnął Mankiewicz. – Znowu fałszywy alarm. Ale posłuchaj, ten facet to lekarz. Doktor medycyny. Jest pewny, że to ludzka kość. Ramienna. I że pochodzi od dziecka. I że... słuchasz mnie? Że jest pęknięta tuż nad nadkłykiem, cokolwiek to znaczy.

Bosch zacisnął szczęki. Poczul ciarki na plecach.

– Byłbyś więc tak miły i sprawdził to nadkłykcie?

Bosch milczał.

– Przepraszam, nie mogłem się powstrzymać.

– Bardzo zabawne, Mank. Adres?

Mankiewicz przedyktował mu adres i dodał, że wysłał już patrol.

– Dobrze zrobiłeś, że nie puściłeś tego przez radio – rzekł Bosch.

– Niech tak zostanie. – Wyłączył telefon i przekręcił kluczyk w stacyjce samochodu. Ruszył do Laurel Canyon.

SŁUCHAJĄC radiowej transmisji z meczu Los Angeles Lakers, zagłębił się w kanion, a potem ruszył na Lookout Mountain w kierunku Wonderland Avenue. Sam pełnił dyżur, bo jego partner Jerry Edgar poszedł na mecz. Zdobył bilet na świetne miejsce i nie chciał go zmarnować.

Bosch miał więc nadzieję, że nie pojawi się zgłoszenie zabójstwa ani żadna inna poważna sprawa, której nie będzie mógł załatwić w pojedynkę. Kizmin Rider, trzeci członek tego zespołu, awansowała blisko rok temu do wydziału kryminalnego i dotąd nie wyznaczono następcy. Bosch postanowił nie powiadamiać Edgara o znalezieniu kości, dopóki nie oceni powagi sytuacji.

Droga prowadziła stromo pod górę. Laurel Canyon był parowem wcinającym się w góry Santa Monica. Drogi dojazdowe zbiegały się na grzbiecie górskiego łańcucha. Wonderland Avenue okazała się ślepą uliczką w ustronnym zakątku, gdzie w otoczeniu gęstego lasu i stromizn stały domy warte pół miliona dolarów każdy. Bosch intuicyjnie wyczuł, że poszukiwanie kości na takim terenie będzie logistycznym koszmarem.

Zatrzymał się obok radiowozu, który już dotarł pod wskazany adres.

Zerknął na zegarek: czwarta trzydzieści osiem. Za niecałą godzinę zacznie się ściemniać.

Gdy zapukał do drzwi, otworzyła mu nieznajoma policjantka. Na piersi miała plakietkę z nazwiskiem BRASHER. Poprowadziła go do gabinetu, w którym jej kolega z patrolu, o nazwisku Edgewood – znajoma twarz – przesłuchiwał siwego mężczyznę siedzącego za biurkiem. Na zagraconym blacie leżało otwarte pudełko po butach.

Bosch postąpił krok do przodu i przedstawił się gospodarzowi. Mężczyzna powiedział, że nazywa się Paul Guyot i jest internistą. Nachyliwszy się, Bosch zobaczył, że w pudełku znajduje się kość. Wyglądała jak pogryziony kawałek drewna. Przy nogach Guyota leżał duży pies o żółtej sierści.

– To jest nasze znalezisko – mruknął Bosch, zaglądając ponownie do pudełka.

– Tak, panie oficerze. To ta kość – odparł lekarz.

Wyciągnął rękę i zdjął z półki atlas anatomiczny. Otworzył tomisko i pokazał funkcjonariuszom ilustrację przedstawiającą kość ramienną. Następnie sięgnął do pudełka i wyjął z niego kość. Przysunąwszy ją do ilustracji, dokonał szczegółowego porównania.

– Proszę bardzo: nasada bliższa, trzon, nasada dalsza. Wszystko się zgadza. To ludzka kość.

Bosch spojrział na niego.

– Czy pan jest na emeryturze, doktorze?

– Tak, ale potrafię rozpoznać...

– Ależ wierzę panu. Skoro pan mówi, że to ludzka kość... Chcę się tylko rozeznąć w sytuacji.

Guyot włożył znalezisko z powrotem do pudełka.

– Jak się wabi pański pies?

– Udręka. To suka. Jako szczeniak sprawiała mnóstwo kłopotów.

Bosch skinął głową.

– Proszę mi więc opowiedzieć, jak to było.

– Wziąłem Udrękę na popołudniowy spacer. Zwykle kiedy dochodzimy do ronda, spuszczam ją ze smyczy, żeby sobie pobiegała. Bardzo to lubi.

– Co to za rasa? – spytał Bosch.

– Żółty labrador – rzuciła Brasher.

Bosch zerknął na nią wymownie przez ramię. Zrozumiała, że popełniła błąd, wtrącając się do rozmowy, toteż szybko się cofnęła w stronę drzwi, gdzie stał jej kolega.

Możecie jechać, jeżeli macie inne wezwanie – powiedział Bosch do obojga policjantów.

Edgewood skinął głową, po czym dał znak ręką koleżance. Ruszyli do wyjścia.

– Czekać! – zawołał Bosch w ostatniej chwili.

Edgewood i Brasher znów stanęli w drzwiach gabinetu.

– Nie gadajcie o tym przez radio, dobra? – poprosił.

– Jasne – odparła Brasher, wpatrując się w niego uważnie. W końcu uciekł wzrokiem w bok.

Po wyjściu funkcjonariuszy ponownie spojrział na Guyota.

– Proszę mówić dalej.

– No więc, doszliśmy do ronda i wtedy spuściłem ją ze smyczy. Pobiegła między drzewa, jak zwykle. Jest bardzo karna. Na gwizd zawsze przybiega z powrotem.

– A co się stało dzisiaj, gdy znalazła kość?

– Gwizdałem, ale nie przysła.

– To znaczy, że chyba zapuściła się w las?

– No właśnie. Wreszcie wybiegła tuż obok domu pana Ulricha. W pysku miała kość. Gdy się zbliżyła, od razu rozpoznałem, co to za kość. Po kształcie. Zabrałem ją natychmiast Udręce, a potem obejrzałem dokładniej w domu. Kiedy się upewniłem, że się nie mylę, zaraz do was zatelefonowałem.

– Panie doktorze, czy mógłby pan wziąć psa na smycz i wrócić razem ze mną na to rondo?

– Proszę bardzo, tylko włożę inne buty.

– Ja też. Poczekam na pana przed domem.

Bosch zamknął z powrotem pudełko, po czym wziął je ostrożnie w obie dłonie, starając się nie trząść zawartością.

Wyszedszy na zewnątrz, zauważył, że radiowóz wciąż stoi na ulicy. Zbliżył się do swojego samochodu i położył pudełko na przednim fotelu. Zdjął sportową marynarkę, wywinął ją na lewą stronę i rzucił na tylne siedzenie. Następnie otworzył bagażnik i ze skrzynki, w której trzymał sprzęt wykorzystywany przy badaniu miejsca przestępstwa, wyjął parę kaloszy. Gdy zmieniał buty, Brasher wysiadła z radiowozu i ruszyła energicznie w jego kierunku.

– Wygląda na prawdziwą, co? – spytała.

– Tak. Trzeba będzie to jednak potwierdzić w zakładzie medycyny sądowej.

– Jedziesz na to miejsce?

– Tak, chociaż niedługo robi się ciemno.

– Przy okazji, nazywam się Julia Brasher. Jestem nowa.

Spojrzał na nią uważnie, nim się przedstawił.

– Harry Bosch.

– Wiem. Słyszałam o tobie.

– Wszystkiemu zaprzeczam.

Uśmiechnęła się na te słowa.

– Przepraszam, że wyrwałam się z tym labradorem. Od razu uświadomiłam sobie, że chcesz nawiązać kontakt z lekarzem. Popeliłam błąd, jeszcze raz przepraszam.

Bosch przypatrywał się jej przez chwilę. Około trzydziestu pięciu lat, brunetka, włosy związane w kucyk, który opadał na kołnierzyk. Ciemnobrązowe oczy. Domyślił się, że lubi świeże powietrze, bo była równomiernie opalona.

– Nic się nie stało – rzekł.

Na ulicy pojawił się lekarz z psem na smyczy. Bosch uznał, że obejdzie się bez kombinezonu. Zerknął na Julię Brasher, potem na latarkę leżącą w skrzynce. Włożył rękę do bagażnika i błyskawicznie zakrył latarkę szmatą. Wyjął rolkę żółtej taśmy policyjnej, zatrzasnął bagażnik i odwrócił się do policjantki.

– Pożyczyłabyś mi latarkę? – spytał. – Zapomniałem wziąć swoją.

– Jasne, nie ma problemu.

Wyjęła latarkę zza paska i podała mu ją.

Zbliżył się Guyot z psem.

– No dobrze, panie doktorze, proszę zaprowadzić nas na miejsce, gdzie spuścił pan Udrekę ze smyczy. Zobaczymy, dokąd pobiegnie.

– Wątpię, by dotrzymał jej pan kroku.

– Niech pan się o to nie martwi.

– Tędy w takim razie.

Ruszyli lekkim wzniesieniem do małego ronda, które stanowiło kraniec Wonderland Avenue. Towarzyszyła im Brasher. Guyot pozwolił psu dyktować tempo, więc wkrótce wyprzedził policjantów.

– Co wcześniej robiłaś? – spytał Bosch.

– Byłam w akademii.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Nie wyglądasz na żółtodzioba – rzekł.

– Wiem, nie mam dwudziestu lat. Zapisalam się dopiero jako trzydziestoczwolotka.

– Naprawdę? Rany.

– Tak. Trochę późno złapałam bakcyła.

– A czym się wcześniej zajmowałaś?

– Różnymi rzeczami. Głównie podróżowałam. A wiesz, co najbardziej chciałabym robić?

Znowu zerknął na nią.

– Co?

– Chciałabym pracować w sekcji zabójstw, tak jak ty.

Nie wiedział, czy powinien ją do tego namawiać, czy zniechęcać.

– No, to powodzenia – mruknął.

– Bo czy to nie jest najbardziej satysfakcjonująca praca, jaką można sobie wyobrazić? Popatrz, co ty robisz codziennie. Odławiasz złych ludzi ze społeczeństwa.

– Na to wychodzi. Pod warunkiem, że dopisze mi szczęście.

Dogonili Guyota, który zatrzymał się na środku ronda.

– Tutaj ją odpiąłem. Pobiegną tamtędy.

Wskazał zarośniętą pustą parcelę, która wrzynała się stromym klinem w zbocze wzgórza. Ciągnął się tamtędy duży betonowy dren, który zbierał deszczówkę, by nie podtapiała domów przy ulicy.

Pojawił się Edgewood w radiowozie.

– Mamy wezwanie – zwrócił się do Brasher, wskazując głową puste siedzenie obok siebie. – WD.

Zmarszczyła czoło.

– Znowu wojna domowa? Nie znoszę tego.

Bosch się uśmiechnął. Też tego nie znosił.

– Proszę – powiedział, wyciągając rękę z latarką.

– Nie trzeba, mam zapasową w radiowozie – odparła. – Oddasz mi przy okazji.

– Na pewno? – Kusilo go, by poprosić ją o numer telefonu, ale się powstrzymał.

– Na pewno. Powodzenia. – Uśmiechnęła się do niego, następnie obiegła przód radiowozu i wsiadła. Odjechali.

– Atrakcyjna kobieta – stwierdził Guyot.

Bosch puścił tę uwagę mimo uszu, choć w duchu zaczął się zastanawiać, czy lekarz zauważył, że Brasher wywarła na nim wrażenie.

– Dobrze, panie doktorze, proszę spuścić psa.

Guyot odpiął smycz.

– No, mała, jazda, szukaj kości!

Labradorka wystrzeliła jak z procy. Pobiegnęła na pustą parcelę i zniknęła, zanim Bosch zdołał zrobić choćby jeden krok. O mało nie parsknął śmiechem.

– Mam na nią zagwizdać? – spytał Guyot.

– Nie, pokręcę się tam razem z nią.

Zapalił latarkę.

W LESIE zrobiło się ciemno na długo przed zachodem słońca. Świecąc latarką, Bosch posuwał się pod górę w kierunku, z którego dobiegały odgłosy psa buszującego w zaroślach. Była to mozolna, powolna wspinaczka. Co chwilę ślizgał się na ziemi pokrytej grubą warstwą sosnowego igliwia. Żeby utrzymać równowagę, chwycił się gałęzi, brudząc sobie dłonie kleistą żywicą.

Pokonanie trzydziestu metrów zabrało mu prawie dziesięć minut. Potem teren się wyrównał i zrobiło się jaśniej, bo las się przerzedził. Bosch rozejrzał się w poszukiwaniu psa, ale na próżno.

Trzymał się płaskiego terenu, gdyż doszedł do wniosku, że ktoś chcący ukryć lub porzucić ciało najprawdopodobniej unikałby stromizny.

Wszedł do zagajnika akacjowego. Natychmiast zobaczył połać spulchnionej darni, jakby zrytej przez człowieka lub zwierzę. Odgarnął stopą wierzchnią warstwę i parę gałązek, po czym nagle uświadomił sobie, że to nie są gałązki.

Opadł natychmiast na kolana i oświetlił latarką rozrzucone dokoła krótkie brązowe kości. Domyślił się, że patrzy na szczątki dłoni. Małej dłoni.

Dłoni dziecka.

Wstał. Zorientował się, że nie ma w co zebrać kości. Nie mógł ich po prostu wziąć do ręki, bo złamałby zasady zabezpieczania dowodów.

Zaczął rozpinąć żółtą taśmę wśród drzew. Gdy skończył, zapadły niemal całkowite ciemności. Posługując się małym scyzorykiem, odciął z rolki kilka metrowych pasków. Następnie ruszył w drogę powrotną, przystając co parę kroków, by zawiązać kawałek taśmy na gałęzi drzewa lub krzaka.

Na ulicy czekał doktor Guyot w towarzystwie jakiegoś mężczyzny.

– Victor Ulrich – przedstawił się nieznajomy. – Mieszkam tutaj. – Wskazał ręką dom stojący nieopodal.

Bosch skinął głową.

– Przyszedłem zobaczyć, co się stało.

– No cóż, mamy przestępstwo. Najpewniej wrócimy tutaj z ekipą dopiero jutro rano. Chcę, by panowie trzymali się od tego lasu z daleka. I proszę nikomu o tym nie mówić. Rozumiemy się?

Obaj sąsiedzi kiwnęli głowami przytakująco.

Ulrich pożegnał się i ruszył do domu, a Bosch i Guyot skierowali się w dół ulicy.

– Naprawdę tam kogoś zabito? – zdziwił się lekarz.

– Na to wygląda. Znalazłem więcej kości. Muszę zadzwonić. Mogę skorzystać z pańskiego telefonu? Moja komórka chyba tutaj nie zadziała.

– W tych kanionach komórki nigdy nie działają. Proszę zadzwonić z mojego gabinetu. Będzie pan mógł tam swobodnie rozmawiać.

Znalazłszy się kilka minut później z powrotem w domu Guyota, Bosch usiadł za biurkiem i zadzwonił do swojej przełożonej, porucznik Grace Givers. Wyjaśnił, co się stało.

– Harry, jak stare są te kości? – spytała.

– Nie wiem, ale mają dobre parę lat.

– To znaczy, że sprawa nie jest świeża. Na dziś fajrant. Zaczniemy od jutra. Do

jutra kości nie rozbiegną się po świecie.

– Dobra – odparł. – Jestem tego samego zdania.

– Wiesz, Harry, takie sprawy... Drenują nasz budżet, absorbują nasze siły i są najtrudniejsze do rozwiązania, jeśli w ogóle dają się rozwiązać.

Bosch milczał, pozwalając, by Grace ulżyła swojej urzędniczej frustracji. Nie trwało to długo. Między innymi za to ją lubił.

– O której chcesz jutro zacząć? – dopytywała.

– Wcześniej. Podzwonię i spróbuję się trochę rozeznać. No i muszę mieć ekspertyzę tej kości znalezionej przez psa, zanim jutro weźmiemy się do roboty.

– Dawaj mi znać.

– Dobrze.

Rozłączył się. Następnie zadzwonił do Teresy Corazon, lekarza sądowego. Choć przed ośmiu laty zerwali pozazawodową znajomość, Bosch znał jej numer na pamięć. Zrelacjonował Teresie, co się wydarzyło. Powiedział, że zanim nada bieg sprawie, musi uzyskać pewność, że kość ramienna należała do człowieka. A wówczas będzie potrzebował zespołu archeologów.

– Poczekaj moment – rzekła i zawiesiła jego połączenie.

Po chwili znów usłyszał jej głos:

– Próbowałam się dodzwonić do Kathy Kohl, ale nie ma jej w domu.

Kohl była policyjnym archeologiem. Przyjęto ją na etat do policji, ponieważ na bagiennych terenach północy kraju co tydzień odkopywano ludzkie szczątki.

– Muszę mieć ekspertyzę jeszcze dzisiaj – powiedział Bosch.

– Przyhamuj, Harry. Zawsze się gorączkujesz. Jak pies na widok kości. Bez aluzji.

– Tereso, to był dzieciak. Możemy mówić poważnie?

– Przyjedź do mnie, to obejrzę tę kość. Zostawiłam Kathy wiadomość.

Zaczną kopać z samego rana. Zabezpieczymy kości i ściągniemy z uniwersytetu tego antropologa sądowego, który z nami współpracuje. Ja też rzecz jasna przyjadę.

Ostatnie słowa nie przypadły mu do gustu.

– Nie chcę nadawać tej sprawie niepotrzebnego rozgłosu – rzekł po chwili.

– Do czego pijesz?

– Do tego, że wcale nie jestem pewien, czy obecność lekarza sądowego hrabstwa Los Angeles jest nieodzowna. Ale ty zawsze przyjeżdżasz na miejsce przestępstwa w towarzystwie kamerzysty.

– Harry, to mój prywatny dokumentalista. Filmy, które kręci, przeznaczone są wyłącznie do mojego osobistego użytku.

– Wszystko jedno, Tereso. Zamordowano dziecko. Czy wiesz, jaki szum się zrobi?

– Dobra, przyjeżdż tutaj z tą kością. Za godzinę wychodzę. – Rozłączyła się z nienacka.

Cieszył się, że okazał stanowczość. Corazon była znaną postacią, regularnie pojawiała się w telewizji jako biegła z zakresu medycyny sądowej.

Nie zamierzał pozwolić, by jej ambicje zawodowe utrudniały mu prowadzenie śledztwa w sprawie, która – jak wiele wskazuje – dotyczy zabójstwa dziecka.

Postanowił, że jeżeli okaże się, iż to faktycznie ludzka kość, ściągnie służby specjalne i oddział przewodników z psami. Wstał i wyszedł z gabinetu, rozglądając się za Guyotem.

Lekarz siedział przy małym stoliku w kuchni.

– Do widzenia, panie doktorze. Wrócę jutro z ekipą. – Ruszył do drzwi, lecz nagle przystanął. Odwrócił się. – Czy pan mieszka sam.

– Tak. Moja żona zmarła dwa lata temu.

– Przykro mi.

Guyot skinął głową.

– Córnka założyła własną rodzinę, mieszka w Seattle. Widujemy się tylko przy szczególnych okazjach.

Bosch miał ochotę spytać, dlaczego widują się tylko „przy szczególnych okazjach”, ale się powstrzymał. Podziękował i wyszedł.

Wyjeżdżając z kanionu w kierunku domu Teresy Corazon w Hancock Park, czuł narastający strach. Trafiła mu się najgorsza sprawa, jaka może się trafić. Zamordowano dziecko. Takie sprawy prześladowają. Wysysają z człowieka siły i pozostawiają blizny. Nawet najgrubsza kamizelka kuloodporna nie uchroni przed ich niszczącą siłą.

TERESA Corazon zajmowała willę w śródziemnomorskim stylu, przed którą znajdował się rozległy plac z sadzawką. Przed ośmiu laty, kiedy Bosch związał się z nią na krótko, mieszkała w kawalerce. Telewizja i sława przyniosły pieniądze, których starczało na utrzymanie okazałej rezydencji i wystawne życie. Teresa nie przypominała już tej kobiety, która przychodziła do niego w środku nocy z butelką taniego wina i ulubionym filmem na kasecie. Kobiety, która była wprawdzie chorobliwie ambitna, lecz nie nauczyła się jeszcze czerpać korzyści ze swojej pozycji zawodowej.

Bosch zdawał sobie sprawę, że jego postać stanowi dla Teresy przypomnienie,

kim dawniej była i co straciła, by zdobyć bogactwo i rozgłos. Nic dziwnego, że rzadko się teraz widywali, a ich spotkaniem towarzyszyło napięcie jak podczas wizyty u dentysty.

Zaparkował na placu i wysiadł, zabierając pudełko. Nad ciężkimi drewnianymi drzwiami zapaliła się lampka. Corazon otworzyła, nim zdążył się zbliżyć. Miała na sobie czarne spodnie i kremową bluzkę. Prawdopodobnie wybierała się na noworoczne przyjęcie.

– To jest to? – spytała, wskazując pudełko.

– Ja też ci mówię „dobry wieczór”, Tereso. Owszem, to jest to. – Zdjął pokrywkę. Było jasne, że nie zostanie zaproszony na kieliszek szampana.

– Chcesz to oglądać w progu?

– Spieszę się. Masz rękawiczkę?

Z kieszeni płaszcza wyjął lateksową rękawiczkę i podał Teresie. Naciągnęła ją wprawnym ruchem i sięgnęła do pudełka. Wyjęła kość i obróciła ją w świetle lampki. Po pięciu sekundach odłożyła kość do pudełka.

– Ludzka – stwierdziła.

– Jesteś pewna?

Patrzyła na niego wymownie.

– To kość ramienna dziecka. Może dziesięcioletniego. Kolejne badania zostaną wykonane w zakładzie medycyny sądowej. A teraz naprawdę muszę pędzić.

– Jasne. Baw się dobrze.

Starannie zakrył pudełko, skinął jej głową na pożegnanie i poszedł do samochodu. Wsiadł i ruszył do domu, trzymając zapobiegliwie rękę na leżącym obok pudełku.

2

NAZAJUTRZ o dziewiątej rano koniec Wonderland Avenue stał się obozowiskiem stróżów prawa. Rządził tam niepodzielnie Harry Bosch.

Dowodził patrolami, oddziałem przewodników z psami, biegłymi z wydziału kryminalistyki i zakładu medycyny sądowej oraz jednostką służb specjalnych. W górze krążył śmigłowiec, a wokół, w oczekiwaniu na rozkazy, wałęsało się kilkunastu kadetów z akademii policyjnej.

Nieco wcześniej funkcjonariusze z grupy specjalnej, podążając za skrawkami taśmy pozostawionymi przez Boscha poprzedniego dnia, zamontowali na stoku drewniane podesty i stopnie spięte linami, ułatwiające dotarcie do miejsca zbrodni.

Utrzymanie w tajemnicy tak szeroko zakrojonych działań okazało się niemożliwością. O dziewiątej rano okolicę najechali przedstawiciele mediów. Furgonetki agencji prasowych i telewizyjnych tkwiły przy barierkach, ustawionych kilkadziesiąt metrów od ronda.

Bosch szykował się do poprowadzenia pierwszej grupy. Przedtem jednak odbył rozmowę z Jerrym Edgarem, który dowiedział się o wszystkim jeszcze poprzedniego wieczoru.

– Najpierw weźmiemy techników i biegłych z medycyny sądowej – powiedział. – A potem kadetów i psy. Ty będziesz nadzorował drugą grupę.

– Dobra, nie ma problemu.

Do akcji szykowała się też Teresa Corazon, jej dokumentalista z kamerą oraz czteroosobowy zespół archeologiczny: Kathy Kohl i jej trzech współpracowników ze szpadlami. Wszyscy ubrani byli w białe kombinezony. Dołączyło do nich też dwóch kryminologów.

Bosch dał znak, by wszyscy utworzyli zwartą grupę.

– Wiecie, co mamy robić, dlatego nie będę urządził żadnych odpraw.

Chcę tylko powiedzieć, że ciężko się dostać tam, na górę, więc uważajcie.

Pokiwali głowami.

Skierował się ku drewnianej rampie, a pozostali ruszyli za nim. Gdy dotarł do akacyjowego zagajnika, dał znak, by przystanęli. Sam zanurkował pod żółtą taśmą i zbliżył się do miejsca zbrodni. Spulchniona ziemia i kości wyglądały tak samo jak poprzedniego wieczoru.

– Dobra, chodźcie. Zaczynamy oględziny.

Kamera ruszyła. Teraz Corazon przejęła dowodzenie.

– Najpierw zdjęcia – rzekła. – Potem dzielimy teren na sektory. Doktor Kohl będzie nadzorować kopanie i zaznaczanie znalezisk. Każdą rzecz należy najpierw obfotografować ze wszystkich stron, dopiero potem zabezpieczyć. – Odwróciła się do Boscha. – No, to do roboty.

Skinął głową i wręczył jej krótkofalówkę.

– Będę w pobliżu – oznajmił. – W razie czego daj znać.

Wróciwszy po chwili na ulicę, zobaczył porucznik Givers i jej przełożoną, kapitan LeValley. Podeszedł do nich i zrelacjonował najświeższe wydarzenia.

– Musimy coś powiedzieć mediom – stwierdziła LeValley.

– Pani kapitan, ja mam pełne ręce roboty. Ktoś inny...

– Trudno, proszę znaleźć wolną chwilę. Niech pan coś podsunie rzecznikowi, żeby nam zsiadli z pleców.

Bosch pobiegł spojrzeniem w kierunku tłumu reporterów tłoczących się za barierką. Dostrzegł wśród nich Julię Brasher. Pokazała odznakę i natychmiast została przepuszczona przez funkcjonariusza.

– No dobrze. Idę zatelefonować – rzekł.

Ruszył ulicą w kierunku domu Guyota. Idąca z naprzeciwka Brasher uśmiechnęła się na jego widok.

Spojrzał na jej wyblakłe dzinsy i bawełniany T-shirt.

– Masz wolne? – spytał.

– Tak, pracuję od trzeciej do jedenastej. Wpadłam, bo pomyślałam, że może potrzebujesz ochotniczki. Słyszałam, że w akademii zbierali kadetów na akcję.

– Chcesz leżeć tam na górę i szukać kości?

– Chcę się uczyć.

Pokiwał głową. Podeszli ścieżką do domu Guyota. Zanim zdążyli zapukać, drzwi się otwały i lekarz wpuścił ich do środka. Bosch powiedział, że chce skorzystać z telefonu. Choć znał już drogę, gospodarz zaprowadził go do gabinetu.

Z pamięci wybrał numer rzecznika prasowego policji i pokrótce przedstawił mu sprawę. Po kilku minutach się rozłączył.

Wychodząc z domu Paula Guyota, przypomniał sobie o pożyczonej latarce, lecz Brasher odparła, że nie chce jej nosić podczas wspinaczki na wzgórze.

– Oddasz mi przy okazji – powiedziała.

Ucieszyły go te słowa. Oznaczały, że wciąż ma pretekst, by się z nią zobaczyć.

Na rondzie Edgar pouczał kadetów.

– Są gotowi – poinformował zbliżającego się Boscha.

Bosch przedstawił mu policjantkę. Następnie Edgar poprowadził drugą grupę na

miejsce zbrodni. Bosch zamykał pochód, idąc tuż za Brasher.

– Pod koniec dnia zobaczymy, czy nadal będziesz chciała pracować w sekcji zabójstw – rzekł.

– Wszystko jest lepsze od głupich wezwań i sprzątania rzygowin z tylnego siedzenia.

– Taa, pamiętam te atrakcje – westchnął.

Bosch i Edgar polecili dwunastu kadetom i Brasher rozproszyć się dokoła zagajnika akacyjowego i metodycznie przeczesać teren. Potem Bosch wszedł między drzewa. Kohl nadzorowała wbijanie palików, które miały wyznaczać poszczególne sektory.

Z twarzą zasłoniętą długimi blond włosami Kohl wpatrywała się w kartkę przypiętą do dużej podkładki, którą opierała na kolanie. Na kartkę z wydrukowaną siatką sektorów nanosiła adnotacje, oznaczając poszczególne sektory literami alfabetu, w miarę jak wbijano kolejne paliki. U góry strony napisała: „Miasto kości”.

Bosch postukał palcem w nagłówek.

– Dlaczego tak?

Wzruszyła ramionami.

– Bo to przypomina wytyczanie ulic w mieście – odparła. – Tak się czujemy w trakcie wykopalisk. To nasze małe miasto.

– W każdym morderstwie kryje się opowieść o mieście – rzekł.

W tej samej chwili odebrał sygnał w krótkofalówce. Odpiął ją od paska.

– Bosch, słucham.

– Tu Edgar. Chodź, Harry, musisz coś zobaczyć.

– Idę.

Edgar stał na równej polaci terenu, w środku zarośli, mniej więcej czterdzieści kroków od zagajnika akacyjowego. Kadeci i Brasher utworzyli krąg dokoła, wpatrzeni w gęstwinę.

Bosch podszedł i spojrzał. U jego stóp leżała czaszka dziecka, częściowo przysypana ziemią.

Brasher to znalazła – oznajmił Edgar.

Bosch zerknął na kobietę. Dobry nastrój ulotnił się z jej oczu. Zerknął ponownie na czaszkę i wziął do ręki krótkofalówkę.

– Doktor Corazon?

– Tak. O co chodzi?

– Musimy powiększyć obszar poszukiwań.

ZIEMIA bez oporu wydała ukryte kości, jak gdyby od dawna chciała się ich pozbyć. Do południa przekopano pod kierunkiem Kathy Kohl trzy sektory. Podobnie jak archeolodzy odnajdujący starożytne skarby, członkowie jej zespołu posługiwali się małymi, precyzyjnymi narzędziami. Użyto także wykrywaczy metali i samobieżnych sond geologicznych. Praca była żmudna, niemniej posuwała się do przodu szybciej, niż Bosch oczekiwał.

Odnalezienie czaszki nadało akcji nowego impetu. Teresa Corazon na miejscu dokonała oględzin, stwierdzając obecność pęknięć i blizn chirurgicznych. Pęknięcia nie stanowiły jeszcze dowodu morderstwa, ale ponieważ ciało ukryto w lesie, coraz więcej poszlak przemawiało za tym, że dokonano zbrodni.

Do drugiej, kiedy zarządzono przerwę na lunch, archeologowie wydobyli z ziemi prawie połowę szkieletu. Zabezpieczono także fragmenty ubrania i niewielki płócienny plecak, najpewniej używany przez dziecko.

W zakładzie medycyny sądowej badano kości z trzech skrzynek. Skrawki ubrania i plecak przekazano wydziałowi kryminalistyki w celu sporządzenia ekspertyzy.

Za pomocą wykrywacza metali zlokalizowano ćwierćdolarówkę z 1975 roku, zagrzebaną na tej samej głębokości co szczątki ludzkie, zaledwie pięć centymetrów od lewego biodra. Przyjęto, że moneta znajdowała się w lewej przedniej kieszeni spodni. Jeśli należała do ofiary, nasuwał się wniosek, że morderstwo popełniono najwcześniej w 1975 roku.

Na rondo przy Wonderland Avenue ściągnięto dwa barakowozy, by mała armia policjantów mogła zjeść lunch. Z jednego serwowano gorące posiłki, z drugiego kanapki.

Bosch stanął z Julią Brasher na końcu kolejki do kanapek. Rozmawiali o śledztwie, potem plotkowali trochę o szefach wydziału. Oboje próbowali wybadać się nawzajem. Brasher go pociągała, a im dłużej słuchał o jej doświadczeniach – jako nowicjuszki w policji i jako kobiety – tym większe odczuwał zaintrygowanie.

Zanieśli kanapki i napoje do jednego ze stolików ustawionych na rondzie. Siedział tam Edgar w towarzystwie Kohl i jednego z jej podwładnych. Bosch przedstawił im Brasher i wspomniał, że to ona odebrała zgłoszenie o znalezieniu kości.

– Gdzie szefowa? – spytał.

– Och, ona już jadła – odparła Kathy Kohl. – Poszła chyba nagrać wywiad z samą sobą czy coś.

Pokiwał głową z uśmiechem.

– Idę po dokładkę – stwierdził Edgar i przeskoczywszy przez ławkę, ruszył z talerzem do barakowozu.

Bosch ugryzł kawałek kanapki z wołowiną. Rozkoszował się smakiem.

Chciał zjeść spokojnie, korzystając z przerwy, lecz Kohl zaczęła mu przedstawiać swoje pierwsze wnioski. Uważała, że ciało od początku było zakopane dość płytko, toteż w ciągu minionych lat zwierzęta rozwłóczyły zwłoki i dlatego kości rozproszone są po całym terenie.

– Nie odnajdziemy wszystkich – powiedziała. – Lada chwila dalsza gra nie będzie warta świeczki. Szkoda naszego czasu i wysiłku. – Zajrzała do notatek. Edgar wrócił z pieczonym kurczakiem na talerzu. – Najważniejsza jest głębokość grobu i charakterystyka terenu. To kluczowe wskazówki co do tożsamości tego chłopca oraz przebiegu zdarzeń.

– Chłopca?

– Rozstaw bioder i gumka od majtek. – Wyjaśniła, że płyny wydzielane przez rozkładające się ciało spowodowały rozkład ubrania, lecz gumka w dużej mierze się zachowała. Wygląda na gumkę z gatunku tych, jakich używa się w bieliźnie męskiej.

– Rozumiem – powiedział Bosch. – A głębokość grobu?

– Sądzymy, że biodra i dolny odcinek kręgosłupa pozostawały w ziemi w stanie nienaruszonym. A zatem mówimy o grobie nie głębszym niż piętnaście do trzydziestu centymetrów. Tak płytki grób świadczy o pośpiechu, panice, wskazuje na brak planowania. Ale – wzniosła do góry wyprostowany palec – jednocześnie zabójca wybrał ustronne miejsce, co dowodzi czegoś przeciwnego. Pod tym względem starannie to przemyślał. Zatem jest tutaj pewna sprzeczność.

Bosch kiwnął głową.

– Dobrze wiedzieć – mruknął.

No właśnie. Drugą sprzeczność stanowi plecak. Zakopanie go razem ze zwłokami było złym posunięciem. Ciało rozkłada się o wiele szybciej niż płótno. Plecak lub jego zawartość może zawierać wskazówki, czyli morderca popełnił błąd. Znowu brak planowania. – Kohl uśmiechnęła się do Boscha i znów zajrzała do notatek. – To chyba tyle. Pobierzemy próbki z pozostałych sektorów. Ale to dopiero jutro.

– Próbki? Myślisz, że tu pochowano więcej ciał?

– Nic na to nie wskazuje. Ale musimy mieć pewność.

Ponownie skinął głową. Perspektywa śledztwa w sprawie masowego grobu była odstręczająca jak mało co. Chciał coś powiedzieć, gdy nagle z rzędu przenośnych

toalet stojących na platformie po drugiej stronie ronda dobiegi donośny łoskot. Po chwili zaś rozległ się kobiecy głos. Bosch natychmiast go rozpoznał, więc zerwał się na nogi.

Przemknął przez placyk i wbiegł po stopniach na platformę. Szybko zorientował się, z której toalety dochodzą hałasy. Zewnętrzny skobel, wykorzystywany do zabezpieczenia kabiny podczas transportu, został założony na obejmę, a w nią wsunięto kość kurczaka, blokując całkowicie drzwi.

– Zaraz, zaraz! – krzyknął Bosch.

Próbował wyciągnąć kostkę, lecz była tłusta i wyslizgnęła mu się z palców. Łomot i wołania nie ustawały. Rozejrzał się dokoła w poszukiwaniu jakiegoś narzędzia, lecz niczego nie dostrzegł. Wydobył więc z kabury pistolet, zaciągnął bezpiecznik i niczym młotkiem wybił kolbą kostkę z obejmmy.

Schował broń i zdjął skobel. Drzwi rozwarły się gwałtownie i na zewnątrz wypadła Teresa Corazon, omal go nie tratując.

– To ty zrobiłaś! – wrzasnęła.

– Co? Ależ skąd. Przez cały czas siedziałem...

– Chcę wiedzieć, kto to zrobił!

– Uspokój się, Tereso, to był tylko żart. Ktoś chciał po prostu rozładować napięcie, a tak się pechowo złożyło, że akurat ty byłaś...

– Zazdroszczą mi, to dlatego!

– Że co?

– Zazdroszczą mi tego, kim jestem. I czego dokonałam.

Bosch poczuł zażenowanie.

– Skoro tak myślisz – mruknął.

– Wyjeżdżam stąd. Zadowolony?

Zeszła z platformy, gniewnym ruchem ręki machnęła na swojego kamerzystę i ruszyła do samochodu.

Bosch odprowadził ją wzrokiem.

Potem wrócił do stolika, przy którym siedzieli już tylko Edgar i Julia Brasher. Z porcji pieczonego kurczaka pozostała sterta kostek. Edgar uśmiechał się z zadowoleniem. Bosch rzucił mu na talerz kostkę, którą wyjął z drzwi.

– Świetny dowcip – rzekł, posyłając koledze wymowne spojrzenie.

Edgar miał minę niewiniątka.

– Im większe ego, tym boleśniejszy upadek – rzekł. – Ciekawe, czy ten kamerzysta to nagrał. – Wziął do ręki talerz i wysunął swoje potężne ciało zza stołu.

– Do zobaczenia na górze.

Bosch spojrział na Julię Brasher.

Uniosła brwi.

– Chcesz powiedzieć, że to on? – spytała.

Milczał.

PRACE W „mieście kości” trwały tylko dwa dni. Zgodnie z przewidywaniami Kathy Kohl większość fragmentów szkieletu odnaleziono i wykopano z zagajnika akacyjowego już pierwszego dnia. W piątek ekipa przeszukała cały stok, ale nie natrafiła na więcej szczątków ludzkich. Dalsze działania zawieszono o zmierzchu w oczekiwaniu na wynik ekspertyz.

W sobotę rano Bosch i Edgar spotkali się w poczekalni zakładu medycyny sądowej. Powiedzieli recepcjonistce, że są umówieni z doktorem Williamem Gollitherem, antropologiem sądowym z Uniwersytetu Kalifornijskiego.

– Czeka na panów na bloku A – odparła kobieta.

Zjechali windą do podziemi, a gdy z niej wysiedli, natychmiast owionęła ich woń chemikaliów i trupi odór. Mieszanka jedyna w swoim rodzaju. Z wiszącego na ścianie dystrybutora Edgar wziął papierową maskę do oddychania i założył ją na twarz. Bosch nie skorzystał.

Przystanęli w korytarzu, gdyż z sali wytoczono właśnie wózek szpitalny. Leżały na nim zwłoki owinięte folią.

– Harry, zauważyłeś, że zawijają tych delikwentów tak samo jak burrito w Taco Bell?

– Dlatego nie jadam meksykańskiego żarcia.

Na bloku A przywitał ich mężczyzna w niebieskich dżinsach i hawajskiej koszuli. Był to doktor Gollither.

– Proszę mi mówić Bill – rzekł.

Miał około pięćdziesięciu lat, ciemne włosy i oczy. Zachowywał się dość bezpośrednio. Wskazał ręką stół na środku sali. Leżały na nim odnalezione kości.

– Powiem panom, co tu robimy. Przebadałem te szczątki, mamy rentgenogram. Słowem, próbuję rozwikłać tę układankę.

Bosch podszedł do stołu z nierdzewnej stali. Kości ułożono w ten sposób, że tworzyły niepełny szkielet. Wszystkie były oznaczone, większe nalepkami, mniejsze etykietkami na sznureczku. Na każdej widniała sygnatura.

Bosch wiedział, że to kody informujące, w którym sektorze znaleziono konkretną kość.

– Kości mówią nam wiele o tym, jak dana osoba żyła i jak zmarła – powiedział

Golliher posepnym tonem. – W wypadku znęcania się nad dziećmi nigdy nie kłamią. Stają się wręcz niezbitym dowodem. Zajmowałem się wieloma podobnymi sprawami, ale ta mnie powaliła. Oglądałem te kości, sporządzając jednocześnie notatki, a kiedy spojrzałem na kartkę, to zobaczyłem, że są rozmazane. Płakałem, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Popatrzył na kości z czułością i żalem w oczach. Bosch zdawał sobie sprawę, że antropolog widzi zamordowane dziecko.

– To makabra, panowie. Makabra.

– Niech pan nam powie o swoich ustaleniach, żebyśmy mogli zrobić, co do nas należy – wyszeptał Bosch z szacunkiem.

Golliher sięgnął po kołonoratnik.

– Dobrze – westchnął. – Zaczniemy od spraw podstawowych. Mamy tutaj szczątki młodego osobnika rasy białej, mniej więcej dziesięcioletniego. Dziecko to było ofiarą długotrwałego i okrutnego maltretowania. Histopatologia uczy, że ofiary takie często cierpią na zaburzenia wzrostu.

Opóźnienie w rozwoju wywołane znęcaniem się utrudnia oszacowanie wieku. Innymi słowy, szkielet wydaje się często młodszy, niż był w rzeczywistości. Czyli że mamy niby szkielet dziesięcioletniego dziecka, lecz tak naprawdę to zapewne dwunasto- albo trzynastoletek.

Bosch spojrzał na Edgara, który stał z rękami skrzyżowanymi na piersi, jakby szykował się do wysłuchania potwornej opowieści.

– Czas zgonu – ciągnął Golliher – to niełatwa sprawa. Badania radiologiczne nie są w takim wypadku precyzyjne. Mamy monetę, a więc z jednej strony cezurą jest rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty piąty. To sporo wyjaśnia. Szacuję, że ciało przebywało w ziemi od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat.

Ustalenie ram czasowych było bardzo istotne. Opinia Gollihera wskazywała, że zbrodni dokonano pod koniec lat siedemdziesiątych lub na początku lat osiemdziesiątych. Bosch zaczął sobie przypominać, jak w tamtych czasach wyglądał Laurel Canyon. Była to dość szemrana okolica, trochę artystycznej cyganerii, trochę ważniaków, do tego handlarze kokainą i narkomani, salony z pornografią oraz wypaleni rockandrollowi hedoniści prawie na każdej ulicy. Czy w tym środowisku zamordowano dziecko?

– A teraz przejdźmy do przyczyny zgonu – kontynuował Golliher. – Zaczniemy od kończyn i tułowia. Ten chłopiec musiał mnóstwo wycierpieć w swoim krótkim życiu.

Bosch wiedział, że złe przeczucia, które go ogarnęły, gdy po raz pierwszy spojrzał

na kości w lesie, okazały się trafne. Zdawał sobie sprawę, że ze zrytej ziemi w akacyjnym zagajniku wyłoni się wstrząsająca historia.

– Mamy tutaj około sześćdziesięciu procent całego szkieletu – rzekł antropolog. – To wystarczy, by bezspornie ustalić, że w wyniku częstego maltretowania doszło do wielokrotnych urazów kości. Kości się goją, panowie. A badając ich regenerację, możemy odtworzyć to, co się stało.

Na kościach są pęknięcia. W chwili zgonu jedne były już stare, inne świeże. Znalazłem aż czterdzieści cztery odrębne miejsca w różnym stadium gojenia pourazowego. A mówimy tylko o kościach. Nie mówimy o uszkodzeniach istotnych organów ani tkanki. Stwierdzam z całą stanowczością, że chłopiec ten codziennie cierpiał fizyczne katusze.

Golliher podszedł do negatoskopu i podświetlił zdjęcie długiej cienkiej kości.

– Proszę, oto kość udowa. Ta linia tutaj, gdzie widzimy odbarwienie – wskazał palcem smugę – oznacza, że w to miejsce zadano bardzo silny cios parę tygodni przed śmiercią. Kość nie pękła wprawdzie, ale została uszkodzona.

Zbliżył się do stołu i wziął do ręki kość łokciową.

– Tutaj widzimy zagojone pęknięcie poprzeczne. To pęknięcie spowodowało potem lekkie skrzywienie. A to dlatego, że uszkodzona kość zrosła się samodzielnie.

– Chce pan powiedzieć, że jej nie nastawiono? – spytał Kdgar.

– Otóż to. – Golliher delikatnie odłożył kość na miejsce, po czym pochylił się nad stołem. – Żebra – rzekł. – Ponad dwadzieścia pęknięć w różnym stadium gojenia. Zagojone pęknięcie na dwunastym żebrze powstało, jak mi się wydaje, bardzo dawno, kiedy chłopiec miał tylko dwa lub trzy lata. Na żebrze dziewiątym jest kostnina, wskazująca na uraz, który nastąpił zaledwie kilka tygodni przed śmiercią. Pęknięcia na ogół zrastają się przy kątach. U bardzo małych dzieci oznacza to, że ktoś nimi gwałtownie potrząsał. U większych, że otrzymywały silne uderzenia w plecy.

Bosch poczuł mdłości. „Dorwę go”. Nieomal wypowiedział te słowa na głos.

Golliher pokręcił smętnie głową.

– To sprawa z gatunku tych, kiedy zaczynamy się zastanawiać, czy śmierć nie była dla ofiary wybawieniem. Przynajmniej jeśli wierzymy w Boga lub zaświaty.

– A jeśli nie wierzymy? – dopytywał Bosch.

Golliher popatrzył na niego.

– Widzi pan, właśnie dlatego należy wierzyć – odparł. – Bo jeśli ten chłopiec nie trafił z tego świata w lepsze miejsce, to... wszyscy jesteśmy zgubieni.

Bosch pokiwał głową.

– Proszę nam powiedzieć, co było przyczyną zgonu? – rzekł, przerywając te dywagacje.

Antropolog wziął do ręki czaszkę.

– Mam dobre i złe nowiny. W czaszce widać trzy wyraźne pęknięcia w różnym stadium gojenia. Oto pierwsze. – Wskazał potylicę. – Małe i zagojone. Ale jest drugie, o wiele poważniejsze uszkodzenie, biegnące od części ciemieniowej do czołowej. Wymagało operacji, bo zapewne powstał krwiak podtwardówkowy.

Palcem zakreślił miejsce, o którym mówił. Następnie wskazał pięć małych, gładkich otworków tworzących regularny okrąg.

– To ślady po trepanacji. Czaszkę otwiera się po to, by przeprowadzić operację lub złagodzić obrzmienie mózgu. W tym wypadku obrzmienie spowodowane było zapewne krwiakiem. Oceniam, że uraz i operacja miały miejsce mniej więcej trzy miesiące przed zgonem dziecka.

– Czyli to nie ten uraz był przyczyną śmierci? – spytał Bosch.

– Nie. Przyczyną było co innego. – Golliher znów obrócił czaszkę i pokazał kolejne pęknięcie, znajdujące się w lewej części potylicy. – Uraz i zgon. Zwartość pęknięcia wskazuje, że cios zadano z ogromną siłą, przy użyciu twardego narzędzia. Być może był to kij baseballowy.

Odłożył ostrożnie czaszkę na stół.

– Krótko mówiąc, ktoś regularnie znęcał się nad tym chłopcem. I w końcu przeszarżował. Wszystko będzie w moim raporcie. – Odwrócił się od stołu i spojrzał na policjantów. – Wiecie, panowie, jest mała iskierka nadziei. Która może was naprowadzić na trop zabójcy.

– Operacja – domyślił się Bosch.

– Właśnie. Otwarcie czaszki to nie jest prosty zabieg. Na pewno gdzieś są jakieś dokumenty. Blizna chirurgiczna pozwala też uściślić czas. Otwory są zbyt duże jak na dzisiejsze standardy. W połowie lat osiemdziesiątych były już bardziej zaawansowane instrumenty. Mam nadzieję, że to pomoże.

Bosch skinął głową.

– A zęby? – był ciekaw.

– Żuchwy nie mamy. W górnych zębach nie ma śladów żadnego leczenia dentystycznego. Tylko próchnica.

Edgar ściągnął maskę z twarzy na szyję. Patrzył zbolałym wzrokiem.

– Skoro ten dzieciak wylądował na operacji w szpitalu, dlaczego nie powiedział lekarzom, co się dzieje? – spytał.

– Odpowiedź zna pan tak samo jak ja – odparł Golliher. – Dzieci są lojalne

wobec rodziców. Boją się ich, a mimo to kochają. Czasem nie potrafimy wyjaśnić, dlaczego nie wołają o pomoc.

– Coś jeszcze, doktorze? – rzucił Bosch.

– Od strony formalnej to wszystko. Od siebie dodam tylko, iż mam nadzieję, że złapiecie tego, kto to zrobił.

– Złapiemy – zapewnił go Edgar. – Niech pan się o to nie martwi.

Wyszli z zakładu i wsiedli do samochodu. Bosch odczekał chwilę w milczeniu, po czym włączył silnik. Nagle uderzył wściekle dłonią w kierownicę.

– W przeciwieństwie do naszego doktora – odezwał się Edgar mnie taka sprawa nie skłania do wiary w Boga. Raczej do wiary w kosmitów, w małe zielone stworki.

Bosch spojrzał na niego.

– Jak to?

– Bo człowiek nie mógłby zrobić czegoś takiego własnemu dziecku.

Widocznie jacyś przybysze z kosmosu porwali tego dzieciaka i się nad nim znęcali. To jedyne wyjaśnienie.

Bosch ruszył.

– Muszę sobie golnąć – stwierdził.

– A ja nie – rzekł Edgar. – Chcę do domu. Chcę przytulić mojego syna, żeby ten koszmar minął.

W milczeniu dotarli do Parker Center, gdzie znajdowała się komenda główna policji w Los Angeles.

BOSCH i Edgar wjechali windą na czwarte piętro do wydziału kryminalistyki, gdzie mieli się spotkać z Antoine'em Jesperem, kryminologiem oddelegowanym do tej sprawy. Był to młody Murzyn o szarych oczach, ubrany w długi kitel, którego poły fruwały przy każdym posuwistym kroku i ruchu rozgestykulowanych rąk.

– Chodźcie tędy – rzekł.

Poprowadził ich przez główne laboratorium do „suszarni”, dużej sali o kontrolowanej temperaturze, gdzie dokonywano oględzin ubrań i innych dowodów materialnych, rozłożonych na stalowych stołach.

Jesper podszedł do dwóch stołów. Bosch zobaczył otwarty plecak oraz kilka skrawków ubrania poczerniałych od ziemi i grzybów. Była tam również plastikowa torebka na kanapki wypełniona niezidentyfikowaną czarną masą.

– W plecaku znajdowały się trzy zmiany ubrania i prawdopodobnie kanapka – rzekł. – A konkretnie trzy koszulki bawełniane, trzy komplety bielizny osobistej i trzy pary skarpetek.

Bosch skinął głową.

– Czy są jakieś wskazówki co do tożsamości ofiary? – spytał.

– Na ubraniu ani w plecaku nie ma żadnych. Ale znaleźliśmy dwie istotne rzeczy.

Po pierwsze, na tej koszulce jest metka producenta: „Solid Surf”. Widać ją tylko w czarnym świetle. „Solid Surf” to wyrażenie z języka deskorolkowców.

– Rozumiem – rzekł Bosch.

– No i klapka plecaka.

Bosch nachylił się nad stołem i zerknął. Plecak wykonano z niebieskiego płótna. Na klapce widoczne były wyraźne odbarwienia układające się w litery „BZ”.

Cofnął się o krok i zapisał kilka słów w notatniku. A potem spojrzał na Jespera.

– Dobra, Antoine, świetna robota.

3

W POBLIŻU tylnego wyjścia z komendy dzielnicowej w Hollywood znajdowała się ławka, a po jej obu stronach duże popielniczki wypełnione piaskiem. Nazywano ją „Kod 7”, bo w żargonie policyjnym określenie to oznacza czas wolny lub przerwę w pracy. W sobotę kwadrans po jedenastej wieczorem Bosch siedział samotnie na tej ławce. Czekał. Ze swojego miejsca miał widok na parking używany wspólnie przez policję i straż pożarną.

Patrzył, jak do komendy zjeżdżają patrole z popołudniowej zmiany, jak funkcjonariusze znikają w budynku, by wziąć prysznic i przebrać się w cywilne ubranie przed powrotem do domu. Spojrzał na latarkę trzymaną w dłoni i potarł kciukiem jej koniec.

Na parking wjechał kolejny radiowóz. Od strony pasażera wysiadł Edgewood, który zaraz zniknął w drzwiach komendy. Po chwili z drugiej strony wysiadła Julia Brasher i ruszyła jego śladem. Szła z opuszczoną nisko głową, jakby zmęczona po ciężkim dniu. Bosch znał bardzo dobrze to uczucie.

Była już przy wejściu, gdy krzyknął:

– Coś ci przyniosłem! – Wyciągnął rękę z latarką.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem. Podeszła do niego i wzięła latarkę.

– Dzięki, Harry. Nie musiałeś tu czekać tylko po to, żeby...

– Chciałem.

Zapadło niezręczne milczenie.

– Pracowałeś dziś nad tą sprawą? – spytała.

– Niby tak. Wypełniałem papiery. A rano mieliśmy sekcję zwłok. O ile można to tak nazwać.

– Po twojej minie widzę, że nie masz powodów do radości.

Skinął głową.

– Ja po twojej widzę, że też miałaś ciężki dzień.

– Jak każdy.

Z komendy wyszło dwóch policjantów w cywilnych ubraniach. Skierowali się do swoich samochodów.

– Głowa do góry, Julio! – zawołał jeden z nich.

– Dobra, Kiko! – odkrzyknęła. Potem spojrzała ponownie na Boscha.

Uśmiechnęła się.

Bosch zerknął na zegarek. Było wpół do dwunastej.

– Gdybyś się pospieszyła w szatni, to zdążylibyśmy na ostatnią kolejkę martini „U Mussa” – powiedział.

Uśmiechnęła się szerzej.

– Bardzo lubię tę knajpę. Daj mi kwadrans. – Ruszyła do komendy, nie czekając na jego odpowiedź.

– Czekam! – zawołał za nią.

„U MUSSA I FRANKA” od stu lat serwowano martini mieszkańcom Hollywood. W sali od frontu, gdzie mieściły się boksy z kanapami obitymi czerwoną skórą, toczyły się ciche rozmowy. W drugiej sali, położonej w głębi, znajdował się długi bar i tam najczęściej pito na stojąco. Gdy Bosch i Brasher się zjawili, dwóch mężczyzn akurat zwolniło stolki barowe, kierując się do wyjścia. Szybko zajęli ich miejsca. Zamówili martini z wódką – oboje chcieli łyknąć coś mocniejszego.

Bosch czuł się już swobodnie w jej towarzystwie. Kiedy podano im drinki, był gotów zapomnieć na chwilę o kościach.

Stuknęli się szklaneczkami.

– Za życie – powiedziała Brasher.

– Słusznie. Oby przetrwać kolejny dzień.

– To wystarczy.

– Ten gliniarz na parkingu... Dlaczego próbował cię pocieszyć?

Zgarbiła się nieco i zamilkła.

– Jeśli nie chcesz mówić...

– Nie, nie, w porządku. Edgewood chce napisać na mnie skargę.

– Skargę? Dlaczego?

– Dlatego, że weszłam pod lufę.

Oznaczało to, że stanęła na linii ognia, w chwili gdy inny policjant celował z broni palnej.

– A co się stało?

Pociągnęła spory łyk.

– Awantura domowa. Facet zamknął się ze spluwą w pokoju. Nie wiedzieliśmy, czy jej użyje i przeciw komu: sobie, swojej żonie czy nam.

– W jej oczach było teraz widoczne wzburzenie. – Edgewood trzymał karabin. Kiko miał wyważyć drzwi, a Fennel, jego kumpel, i ja mieliśmy szturmować. No więc, ruszyliśmy do akcji. Kiko wywalił drzwi kopniakiem, ja i Fennel wpadliśmy do środka. Facet leżał nieprzytomny na łóżku. Zero problemu, ale okazało się, że Edgewood ma coś do mnie. Bo podobno wlałam mu pod lufę.

– A wlażłaś?

– Chyba nie. A jeśli wlażłam, to tak samo wlażł Fennel, a jemu Edgewood nie powiedział słowa.

– Jesteś zielona. Wiesz, okres próbny.

– Tak, i już mam tego dosyć. Jak ty to przetrwałaś, Harry? Teraz robisz coś pożytecznego. Ja tylko jeżdżę na wezwania. Jakbym pluciem próbowała gasić pożar.

Bosch wiedział, co ona czuje. Wszyscy policjanci przez to przechodzili.

– Pierwsze lata są ciężkie. Ale człowiek się wciąga i zaczyna patrzeć z większego dystansu. Sama wybierasz bitwy, sama wybierasz swoją ścieżkę. Poradzisz sobie.

– Pomówmy o czymś innym – poprosiła.

– Chętnie. – Uśmiechnął się do niej. – A więc włóczyłaś się po Andach i w pewnym momencie powiedziałaś sobie: „Rany, chcę być policjantką”.

Roześmiała się, z pozoru zapominając o swoim przygnębieniu.

– Pytam poważnie. Co robiłaś wcześniej?

Obróciła się na stołku i siedzieli teraz ramieniem w ramię.

– Och, przez pewien czas byłam prawniczką. Prawo cywilne. Lecz doszłam do wniosku, że to g... warte, więc rzuciłam tę robotę i zaczęłam podróżować. Chwytając się po drodze różnych zajęć. We Włoszech wyrabiałam ceramikę. W Szwajcarii byłam przewodnikiem zastępów konnych. Na Hawajach pracowałam jako kucharka na statku turystycznym.

Widziałam sporo świata, ale do Andów nie dotarłam. A potem wróciłam do domu.

– Do Los Angeles?

– Tak. Tu się urodziłam i wychowałam. A ty?

– Tak samo.

Wyciągnęła rękę i znów się stuknęli szklaneczkami.

– Gdzie dorastałaś?

– Tylko się nie śmieję. W Bel Air.

– Bel Air? Hm, to domyślałam się, że tata pewnej pani nie jest zbytnio zadowolony, że córka wstąpiła do policji.

– Zwłaszcza że rzuciła jego kancelarię adwokacką. Dajmy już spokój tym pytaniom.

– Dobra. To co teraz?

– Zawieź mnie do domu, Harry. Do siebie.

Spojrzał w jej błyszczące ciemne oczy. Sprawy toczyły się w błyskawicznym tempie, podsycanym przez alkohol. Tak to się często dzieje między osobami pracującymi w policji, między ludźmi, którzy mają poczucie, że są częścią zamkniętego środowiska, którzy w życiu kierują się instynktem i co rano wychodzą do pracy ze świadomością, że wybrany przez nich zawód jest śmiertelnie niebezpieczny.

– Dobrze. Chciałem zaproponować to samo.

Nachylił się i pocałował ją w usta.

Dopili szybko drinki i wyszli.

JULIA Brasher stała na środku pokoju w mieszkaniu Boscha, wpatrzona w płyty kompaktowe obok zestawu stereo.

Bosch był w kuchni. Przełał martini z shakera do dwóch szklanek i wrócił do pokoju.

– Co lubisz? – spytał.

– Mmm, późnego Billa Evansa.

Skinął głową, podszedł do stojaka z płytami i wyjął „Kind of Blue”.

Włożył krążek do odtwarzacza. Zaczęli się całować przy pierwszych dźwiękach muzyki. Nagle w środku pocałunku Brasher wybuchła śmiechem.

– Co jest?

– Nic, po prostu jestem rozluźniona. I szczęśliwa.

– Ja też.

Później, gdy leżała na brzuchu pośrodku łóżka, Bosch powiodł palcem po promiennym słońcu wytatuowanym nad jej pośladkami, dochodząc do wniosku, że w towarzystwie tej kobiety czuje się swobodnie i zarazem nieswojo. Właściwie niczego o niej nie wiedział.

– O czym myślisz? – spytała.

– O niczym. A tak naprawdę o tym facecie, który ci to zrobił. Chciałbym chyba być na jego miejscu.

– Dlaczego?

– Już zawsze będziesz nosić na sobie pamiątkę po nim.

Odwróciła się, odsłaniając piersi i uśmiechniętą twarz. Rozpuszczone włosy opadały na ramiona. Przyciągnęła Boscha do siebie i przylgnęła do niego w długim pocałunku.

– To najprzyjemniejsze słowa, jakie usłyszałam od bardzo dawna – powiedziała po chwili.

– Możesz zostać do rana? – zagadnął.

Hmm... Mąż pewnie zachodzi w głowę, gdzie się podziewam, ale mogę do niego zadzwonić.

Bosch zmartwił.

Wybuchła śmiechem.

– Ej, nie strasz mnie.

– No co, nie pytałeś, czy z kimś jestem, czy nie.

– Ty mnie też nie pytałaś.

– Z tobą sprawa jest jasna: samotny gliniarz. – Nagle rzekła męskim głosem: – Interesują mnie tylko fakty, proszę pani. Nie mam czasu na ksiuty. Tropię morderców. Robota na mnie czeka i...

– Pożyczyłaś mi latarkę – przerwał jej Bosch. – Kobieta będąca w stałym związku chyba by tego nie zrobiła.

– No to coś ci powiem, twardzielu. Widziałam, że masz własną latarkę w bagażniku. Za późną zakryłeś ją szmatą. Nie udało ci się.

Bosch poczuł, że się czerwieni. Zasłonił twarz dłońmi.

Odciągnęła jego rękę i pocałowała go w podbródek.

– Spodobało mi się to – powiedziała. – Zrobiło mi się miło i zaczęłam na coś czekać. – Obróciła jego dłonie i spojrzała na blizny na kłykciach.

Pamiętkę po dawnych czasach.

– Ej, a co to?

– Miałem tatuaże. Kazali mi się ich pozbyć, gdy poszedłem do wojska.

Roześmiała się.

– Dlaczego? A co to było?

– Na jednej dłoni NASI, na drugiej GÓRA.

– Nasi górą? A co to znaczy?

– W młodości uciekłem z domu i znalazłem się w San Pedro, w pobliżu doków. Wielu rybaków zajmujących się połowem tuńczyka miało ten napis wytatuowany na kłykciach. Spytałem o to jednego z nich. Powiedział, że to jakby ich motto życiowe, ich filozofia. Bo jak się pływa kutrem po morzu i nadchodzi sztorm, to człowiek się boi i wtedy trzeba uwierzyć we własne siły. I działać solidarnie. – Bosch uniósł pięści. – Pokonamy żywioł, pokonamy wszystkie przeciwności losu.

– I kazałeś to sobie wytatuować? Ile miałeś wtedy lat?

– Nie pamiętam. Szesnaście? Nie wiedziałem jednak, że rybacy przejęli to od chłopaków z marynarki wojennej. I kiedy rok później wzięli mnie do wojsk lądowych, sierżant od razu kazał mi się tego pozbyć.

Przyjrzała się jego rękom.

– Laserem tego chyba nie zrobiono.

– Ten sierżant, nazywał się Rosser, zabrał mnie na tyły kwatermistrzostwa. Był tam mur. Kazał mi boksować ten mur, dopóki nie pozdieram sobie wszystkich kłykci. Po tygodniu musiałem powtórzyć.

– To barbarzyństwo!

– Nie, to wojsko. – Uśmiechnął się do wspomnień.

– Chcę cię obejrzyć. Opowiesz mi o pozostałych bliznach.

Nagle Bosch zawstydził się swojej nagości. Wciąż dbał o formę, lecz był piętnaście lat starszy od Brasher. Dotknął grubego zbliznowacenia nad lewym biodrem.

– To był nóż – rzekł.

– Gdzie to się stało?

– W tunelu.

– A tu?

– To kula.

Dotknęła jego ramienia, przesuając palcem po szorstkiej bliznie.

– Dostałeś prosto w kość – powiedziała.

– Tak, miałem fart. Nie było trwałego uszkodzenia.

– Jak to jest, kiedy się obrywa kulkę?

– Najpierw piekielnie bolało, a potem jakby cały zdrętwiałem. Wykaraskałem się dopiero po trzech miesiącach.

– Nie dostałeś renty?

– Zaproponowano mi rentę, ale nie skorzystałem.

– Jak to?

– Tak to. Chyba lubię tę robotę. Pomyślałem, że jeżeli będę się jej trzymał, pewnego dnia poznam piękną młodą policjantkę, której zaimponują moje blizny.

– Biedactwo – powiedziała ironicznym tonem. Dotknęła tatuażu na jego ramieniu. – A to co? Myszka Miki na haju?

– Tak jakby. Szczur tunelowy.

Spowaźniała.

– Co jest?

– A więc służyłeś w Wietnamie – wyszeptała, kojarząc fakty. – To musiało być... To, co robiłeś, musiało być przerażające. Byłam w tych tunelach. Spędziłam w Wietnamie półtora miesiąca. Tunele... Teraz to atrakcja turystyczna. Można je zwiedzać. Są trasy wytyczone linami, żeby nikt się nie zgubił. Ale nas nie pilnowano,

więc poszłam głębiej na własną rękę. Zrobiło się wtedy strasznie ciemno.

Bosch wpatrywał się w nią.

– I co? – spytał cicho. – Widziałaś to? Widziałaś zagubione światło?

Wytrzymała jego spojrzenie, a po chwili skinęła głową.

– Tak, widziałam. Moje oczy przywykły do ciemności i wtedy zobaczyłam światło. Lekkie jak szept. Ale wystarczyło, żebym odnalazła drogę.

– Zagubione światło. Tak to nazywaliśmy. Nigdy nie było wiadomo, skąd się bierze. Ale było. Jak dym wiszący w ciemności. Mawiano czasem, że to nie światło, tylko duchy tych, którzy poginęli w tych tunelach. Z obu stron.

Zamilkli. Leżeli spleceni, a po chwili Julia zasnęła.

Bosch uświadomił sobie, że od trzech godzin ani razu nie pomyślał o śledztwie. Z początku poczuł wyrzuty sumienia, lecz szybko się ich wyzbył i też zapadł w sen. Śniło mu się, że przedziera się tunelem. Miał wrażenie, że tunel znajduje się pod wodą, a on sam zachowuje się jak węgorz w labiryncie. Dotarł do ślepego zaułka, gdzie pod ścianą siedział mały chłopiec. Z opuszczoną głową, z twarzą ukrytą w dłoniach, z kolanami przyciągniętymi do podbródka.

Chłopiec popatrzył na Boscha. Z jego ust wydobył się pojedynczy pęcherzyk powietrza. A potem pobiegł wzrokiem dalej, jakby coś się działo za plecami Boscha. Ten odwrócił głowę, lecz zobaczył tylko mrok. Gdy ponownie spojrzął przed siebie, chłopiec zniknął.

W NIEDZIELĘ przed południem Bosch zawiózł Brasher do komendy w Hollywood, żeby zabrała swój samochód, on sam zaś chciał się zająć śledztwem. Niedzielę i poniedziałek miała wolne. Umówili się zatem, że spotkają się u niej w Venice wieczorem na kolacji. Gdy nadjechali, na parkingu stało paru funkcjonariuszy. No tak, pomyślał, zaraz rozniesie się plotka, że prawdopodobnie spędziliśmy razem noc.

– Przepraszam – mruknął. – Powinienem być inaczej to rozegrać.

– Mnie to nie przeszkadza, Harry. Do zobaczenia wieczorem.

Wysiadła i zatrzasnęła za sobą drzwi. Bosch podjechał na swoje miejsce parkingowe, po czym ruszył do biura, próbując nie myśleć o komplikacjach, które być może ściągnął na siebie.

Zgodnie z jego oczekiwaniami pokój służbowy był pusty. Ucieszył się, bo chciał w spokoju zastanowić się nad sprawą.

Najpierw należało ustalić kolejność niezbędnych działań oraz uzupełnić tak zwaną księgę zabójstwa – niebieski tomik, który powinien zawierać wszystkie

pisemne raporty ze śledztwa. Potem Bosch musiał przygotować nakazy przeszukania archiwów oddziałów chirurgicznych miejscowych szpitali. Trzeba też było rutynowo sprawdzić w komputerowej bazie danych nazwiska mieszkańców okolicy, w której popełniono przestępstwo. A na koniec przejrzeć zebrane przez oficera dyżurnego sygnały od obywateli, będące efektem nagłośnienia sprawy przez środki masowego przekazu, oraz zacząć gromadzić informacje o osobach zaginionych i uciekinierach, które mogły odpowiadać charakterystyce ofiary.

Wiedział, że w pojedynkę zajmie mu to cały dzień, mimo to postanowił nie wzywać Edgara. Edgar, rozwodnik i ojciec trzynastoletniego chłopca, był bardzo poruszony raportem Gollihera, więc lepiej niech odpocznie przez jeden dzień.

Najpierw Bosch sporządził listę najpilniejszych działań, a potem zaczął zastanawiać się nad szczegółami. Istniała sprzeczność, którą wykazała Kathy Kohl: z jednej strony zabójca starannie wybrał miejsce, z drugiej zaś pośpiesznie ukrył zwłoki. Golliber mówił o maltretowaniu dziecka.

A przecież plecak pełen ubrań wskazywałby, że chłopiec uciekł z domu.

Bosch zwrócił na to uwagę Edgarowi. Edgar odparł, że być może chłopiec był maltretowany zarówno przez rodziców, jak i przez zabójcę, który nie miał z nimi nic wspólnego.

Częścią śledztwa, której Bosch nie znosił, było szperanie w komputerowej bazie danych, więc postanowił odłożyć to na później. Zaczął przeglądać doniesienia zebrane przez oficera dyżurnego. Od piątku przybyło ich ponad trzydzieści, żadne jednak nie zawierało informacji, którą warto byłoby sprawdzić.

Coś przyszło mu do głowy, podjechał więc na krześle do starej maszyny do pisania. Wkręcił do niej kartkę i zaczął stukać w klawisze.

„Czy zaginiony członek pana/pani rodziny przeszedł operację chirurgiczną parę miesięcy przed zniknięciem?”

„Jeśli tak, w którym szpitalu odbyła się operacja?”

„Na czym polegał uraz?”

„Jak nazywał się lekarz?”

Bosch wysunął kartkę z maszyny i zaniósł ją do biura oficera dyżurnego. Służbę pełnił Mankiewicz. Polecił mu zadawać te pytania każdemu dzwoniącemu w sprawie znalezionych kości.

Następnie zajął się nakazami. W pracy sekcji zabójstw przeszukiwanie archiwów medycznych było działaniem rutynowym. Najczęściej sięgano po dokumenty lekarzy ogólnych i dentystów. Ale czasem zwracano się też do szpitali. Bosch miał teczkę z odpowiednimi blankietami oraz spis wszystkich dwudziestu dziewięciu szpitali w

Los Angeles, a także listę reprezentujących ich adwokatów. Dzięki temu wypełnienie dwudziestu dziewięciu nakazów zabrało mu niewiele ponad godzinę. Nakazy obejmowały dokumenty szpitalne dotyczące pacjentów płci męskiej poniżej szesnastego roku życia, którzy przeszli trepanację czaszki w latach 1975-1985.

W poniedziałek z samego rana Bosch zamierzał udać się z nakazami do sędziego, a potem podzielić szpitale między siebie i Edgara, żeby osobiście wręczyć nakazy adwokatom i w ten sposób przyspieszyć załatwienie niezbędnych formalności.

Później spisał na maszynie ustalenia z poprzedniego dnia oraz najważniejsze informacje uzyskane od Gollihera. Wpiął te kartki do „księgi zabójstw”, po czym włożył księgę do swojej teczki i wyszedł tylnym wyjściem do samochodu.

W podziemiach komendy głównej znajdowało się archiwum obejmujące wszystkie sprawy zgłoszone policji od niepamiętnych czasów. Bosch zjawił się tam o pierwszej. Spojrzał z uśmiechem na archiwistę.

– Może to zabrzmie dziwnie – rzekł – ale muszę przejrzeć fiszki dotyczące osób zaginionych od roku siedemdziesiątego piątego do osiemdziesiątego piątego.

Archiwista, starszy facet o bladej twarzy, gwizdnął.

– Dotyczy dorosłych czy dzieci?

– Dzieci.

Zniknął. Wrócił po czterech minutach, niosąc dziesięć kopert zawierających mikrofiszki z okresu wymienionego przez Boscha. Plik ten miał co najmniej dziesięć centymetrów grubości.

Bosch podszedł do czytnika i zaczął przeglądać materiały. Poszukiwał przypadków ucieczki lub zaginięcia chłopca zbliżonego wiekiem do ofiary. Gdy profil dziecka, które nie wróciło do domu lub nie zostało odnalezione, był zgodny z profilem ofiary, Bosch przyciskał guzik fotokopiarki.

Przejrzenie wszystkich dokumentów zabrało mu trzy godziny. Gdy skończył, miał kopie ponad trzystu zgłoszeń.

Zwrócił wszystkie koperty archiwistce. Postanowił nie wracać do Hollywood, lecz poszperać w komputerowej bazie danych w komendzie głównej. Z Parker Center było blisko do autostrady numer 10, którą szybko mógł dojechać do domu Julii Brasher. Tak będzie dogodniej.

W wydziale kryminalnym pełniło dyżur dwoje oficerów śledczych, którzy oglądali mecz w telewizji. Jednym z nich była dawna współpracownica Boscha, Kizmin Rider. Mężczyzny nie znał.

- Ej, Harry, co tu porabiasz?
- Prowadzę śledztwo. Chciałbym zajrzeć do komputera. Można?
- Chodzi o te wykopane kości?

Bosch skinął głową.

- Słyszałam w wiadomościach. Harry, to Rick Thornton, mój kolega.

Bosch przedstawił się i uściśnął rękę policjantowi.

- Możesz skorzystać z mojego komputera – zaproponowała Rider.

Ustała mu miejsca.

Bosch otworzył teczkę i wyjął „księgę zabójstwa”. Odszukał listę mieszkańców Wonderland Avenue, których przesłuchano w dniu znalezienia kości. Obejmowała nazwiska, adresy i daty urodzenia. Ich sprawdzenie należało do rutynowych działań podejmowanych przez każdego sumiennego oficera śledczego.

Zaczął wprowadzać nazwiska do Krajowego Rejestru Przystępców. Nagle usłyszał prychnięcie Rider.

- Harry, ty ciągle piszesz dwoma palcami?

– Owszem, Kiz. Już trzydzieści lat. Po hiszpańsku dukam jak dawniej i nie nauczyłem się tańczyć. Nie pracujemy ze sobą zaledwie od roku.

- Puść mnie, ty dinozaurze. Zrobię to za ciebie. I tak będę tu siedzieć całą noc.

Bosch uniósł ręce w geście kapitulacji i wstał od biurka. Rider usiadła i zaczęła stukać w klawisze. Uśmiechnął się dyskretnie za jej plecami.

- Jest jak dawniej – rzekł.

– Nie przypominaj mi. Lepiej opowiedz o tej nowicjuszcze, z którą... mim... się spotykasz.

- Już wiesz, cholera jasna?

– Mam wielki talent do zdobywania informacji. Miła? Tylko to mnie ciekawi.

- Owszem, miła. Ledwo ją znam.

– Kolacyjka we dwoje dziś wieczorem?

- Tak, kolacyjka we dwoje dziś wieczorem.

– Ej, Harry! – Z głosu Rider zniknęła żartobliwa nuta. – Mamy coś konkretnego!

Bosch nachylił się do ekranu.

- Chyba ominie mnie ta kolacja – mruknął.

BOSCH zatrzymał samochód przed domem i zlustrował zaciemnione okna oraz ganek.

– No i masz – westchnął Edgar. – Pocałujemy klamkę.

Był zły na Boscha, bo ten zepsuł mu wolną niedzielę. Uważał, że skoro kości tkwiły w ziemi przez dwadzieścia lat, to sprawa może poczekać do poniedziałku. Lecz Bosch odparł, że zajmie się tym sam, jeśli Edgar nie przyjedzie. Zatem przyjechał.

– Idziemy – zarządził Bosch. – Ty z nim gadałeś, więc ty to rozegraj.

Ja się włączę, jeżeli zajdzie taka konieczność.

Wysiedli i podeszli żwirówką do domu. Mężczyzna, z którym chcieli porozmawiać, nazywał się Nicholas Trent. Mieszkał samotnie po drugiej stronie ulicy, w trzecim domu od wzgórza, na którym znaleziono kości.

Miał pięćdziesiąt siedem lat. Podczas wstępnego przesłuchania, które objęło wszystkich okolicznych mieszkańców, powiedział Edgarowi, że pracuje jako dekorator wnętrz w studiu filmowym w Burbank. Kawaler, bezdzietny. Podobno nic nie wiedział o kościach i nie udzielił żadnych istotnych informacji ani wskazówek.

Edgar zapukał mocno do drzwi.

– Panie Trent, tu policja! – oznajmił głośno. – Proszę otworzyć!

Rozbłysło światło na ganku. Drzwi uchyliły się i na tle mroku spowijającego wnętrze ukazał się mężczyzna z ogoloną głową.

– Dobry wieczór, panie Trent. Oficer śledczy Edgar. A to mój współpracownik Bosch. Chcielibyśmy zadać panu kilka dodatkowych pytań. Możemy wejść? – Edgar śmiało przekroczył próg,

– Nie, nie możecie – odparł Trent szybko. – Wszyscy wiemy, co się tutaj dzieje. Rozmawiałem ze swoim adwokatem.

Bosch pociągnął Edgara do tyłu.

– Skoro wiedział pan, że wrócimy – odezwał się – to wiedział pan również, że odkryjemy pańską przeszłość. Dlaczego nie rozmawiał pan otwarcie z moim kolegą? Zaoszczędziłby nam pan sporo czasu. Chyba pan to rozumie?

– Bo przeszłość to przeszłość. Lepiej zostawić ją w spokoju.

– Nie możemy zostawić jej w spokoju, bo pogrzebano w niej kości odparł Edgar.

Bosch posłał mu wymowne spojrzenie, które znaczyło: „Postaraj się być bardziej finezyjny”.

– No właśnie! – prychnął Trent. – Widzicie, jak się zachowujecie? Dlatego nie zamierzam was wpuścić. Nie mam nic do powiedzenia. Nic a nic.

– Proszę pana, molestował pan dziewięcioletniego chłopca – wypalił Bosch.

– To było w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym roku i poniosłem za to karę. Odtąd jestem wzorowym obywatelem.

– Jeśli to prawda – rzekł Bosch spokojnym tonem – to proszę nas wpuścić i odpowiedzieć na nasze pytania. Im szybciej wyjaśnimy te wątpliwości, tym szybciej zajmiemy się ważniejszymi sprawami. Musi pan to zrozumieć. Około stu metrów od domu mężczyzny, który kiedyś molestował dziecko, znaleziono kości chłopca. Nie obchodzi mnie, czy potem mężczyzna ten stał się wzorowym obywatelem. Musimy mu zadać parę pytań. I zadamy. Albo teraz u pana w domu, albo w komendzie w obecności pańskiego adwokata, a na zewnątrz będą czekać dziennikarze i kamery.

Wybór należy do pana.

Trent pokręcił smętnie głową, jakby zdawał sobie sprawę, że bez względu na to, co teraz zrobi, jego spokojne życie dobiegło końca. Skinął na policjantów, by weszli.

Był boso, ubrany w workowate czarne szorty i luźną jedwabną koszulę. Poprowadził śledczych do wygodnie urządzonego salonu wypełnionego antykami. Sam usiadł na środku kanapy. Bosch i Edgar zajęli klubowe fotele naprzeciw.

– Przeczytam panu pańskie konstytucyjne prawa – rzekł ten pierwszy.

– A potem poproszę, by podpisał pan formularz przesłuchania. Nasza rozmowa zostanie nagrana. Jeśli życzy pan sobie otrzymać kopię nagrania, udostępnimy ją panu.

Gdy Trent podpisał dokument, Bosch schował go do teczki i wyjął mały dyktafon. Włączył urządzenie i skinął na Edgara, by ten przejął inicjatywę.

– Jak długo mieszka pan w tym domu? – spytał Edgar.

– Od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku.

– Pracuje pan jako scenograf w przemyśle filmowym?

– Jako dekorator. To różnica. Scenograf opracowuje i nadzoruje budowę scenografii na planie filmowym. A dekorator wkracza dopiero potem, dba o szczegóły: o wystrój, rekwizyty.

– Jak długo pan się tym para?

– Dwadzieścia sześć lat.

– Czy to pan zakopał tego chłopca na wzgórzu?

Oburzony Trent zerwał się z miejsca.

– Ależ skąd! Moja noga nigdy tam nie stała!

Gorączkowość tej reakcji wskazuje, iż Trent jest niewinny, pomyślał Bosch.

Albo też facet należy do najlepszych aktorów, jakich napotkał w swojej policyjnej karierze.

– Inteligentny z pana człowiek – odezwał się. – Wie pan, o co toczy się gra. Są tylko dwa wyjścia z tej sytuacji: albo pana zapuszczujemy, albo rozwiejemy nasze podejrzenia. To proste. Dlaczego więc nie chce pan nam pomóc?

– Bo nie wiem jak! Nic nie wiem o tej sprawie! Jak mam wam pomóc, skoro nic nie wiem?!

– No cóż, mógłby nam pan pozwolić nieco się tutaj rozejrzeć.

– Świetnie! Rozglądajcie się, ile dusza zapragnie.

Ruchem głowy Bosch dał znak Edgarowi, żeby dalej prowadził przesłuchanie, sam zaś wstał z fotela.

Wyszedłszy na korytarz prowadzący w głąb domu, usłyszał, jak kolega pyta Trenta, czy widział coś dziwnego na wzgórzu.

– Pamiętam, że dzieci się tam bawiły... – odparł Trent i urwał, uświadomiwszy sobie, że wszelką wzmianką o dzieciach ściągą na siebie coraz większe podejrzenia.

– I co, lubił pan patrzeć, jak te dzieci bawią się w lesie?

Bosch przystanął, czekając na odpowiedź.

– Nie. Skoro bawiły się w lesie, to nie mogłem ich stąd widzieć. Czasem, jak przejeżdżałem tamtędy albo szedłem z psem na spacer, kiedy jeszcze żył, to widziałem dzieci wążące na wzgórzu. Dziewczynkę z naprzeciwka. Różne dzieci z tego domu Patronów po sąsiedzku. Wszystkie dzieciaki z osiedla.

Bosch ruszył dalej. Dom był niewielki. Na końcu korytarza znajdowało się troje drzwi: skrajne prowadziły do dwóch pokoiów, a za środkowymi był schowek na pościel. Najpierw zajrzał do schowka. Polem wszedł do pokoju po prawej stronie. Była to sypialnia Trenta.

Popatrzył dokoła i otworzył szafę. Na górnej półce stało kilka pudełek.

Uchylił wieko jednego z nich i zobaczył kalosze. W rowkach podeszew tkwiły resztki zaschniętego błota. Przypomniał sobie czarną ziemię, w której znaleziono kości. Zabezpieczono jej próbki.

Odłożył kalosze na miejsce. Na razie rozglądał się pobieżnie. Jeśli trzeba będzie podjąć dalsze kroki, wróć tu z nakazem i rozbiorą ten dom na części. Trzeba pamiętać o kaloszach, to może być dobry punkt zaczepienia, pomyślał. Przecież Trent powiedział, że jego noga nigdy nie postąpiła na tym wzgórzu. Mają to nagrane na taśmie. Jeśli błocko z kaloszy odpowiadać będzie zabezpieczonym próbkom ziemi, przyłapią go na kłamstwie.

Nic innego w szafie nie zasługiwało na uwagę. Tak samo w drugim pokoju, który

służył Trentowi za pracownię i magazyn.

Przez kuchnię wszedł do garażu. Były tam dwa stanowiska – na jednym stał minivan, na drugim znajdowały się skrzynie z napisami: KUCHNIA, SALON, PRZEDPOKÓJ i tak dalej.

Bosch uświadomił sobie, że prawdopodobnie skrzynie te zawierają elementy dekoracji.

Odwrócił się i nagle zobaczył, że z różnych miejsc patrzą na niego czarne szklane ślepka: przeciwległa ściana obwieszona była głowami dzikich zwierząt. Poczł ciarki na plecach – od urodzenia nienawidził takich trofeów.

Przez kilka minut szperał w skrzyni z napisem POKÓJ CHŁOPCA 9–12.

Tkwiły w niej zabawki, modele samolotów, deskorolka i pitka. Bosch wyjął deskorolkę i obejrzał ją dokładnie, pamiętając o metce na koszulce znalezionej w plecaku.

Po dwudziestu minutach wrócił do salonu. Trent zerknął na niego.

– Zadowolony? – spytał.

– Na razie tak. Dziękuję za...

– Widzicie? To się nigdy nie skończy! „Na razie tak”! Wy mi już nigdy nie dacie spokoju, co? Gdybym handlował narkotykami albo napadał na banki, moje winy zostałyby mi odpuszczone. Ale ponieważ przed prawie czterdziestu laty dotknąłem małego chłopca, jestem winny aż do śmierci.

– To było chyba coś więcej niż dotknięcie – odparł Edgar. – Mamy akta, niech pana o to głowa nie boli.

Trent mruknął, że niepotrzebnie dał się namówić na tę rozmowę. Bosch zerknął na Edgara. Ten skinął głową, dając znak, że skończył przesłuchanie. Bosch podszedł do stolika i zabrał dyktafon. Nie wyłączwszy urządzenia, wsunął je do kieszeni na piersi. Czasem najważniejsze słowa padają dopiero wtedy, gdy oficjalna rozmowa dobiegła końca.

– Dziękujemy za współpracę. Już sobie idziemy. Być może jednak będziemy chcieli spotkać się z panem jutro. Pracuje pan jutro?

– Nie dzwońcie do pracy! Zrzuńcie mi życie!

Podał im numer swojego pagera. Bosch zanotował. Następnie policjanci wyszli, a Trent zatrzęsł za nimi drzwi.

Nagle Boscha oślepiło jasne światło. Ruszyła ku nim dziennikarka, za którą podążał kamerzysta.

– Dobry wieczór panom. Nazywam się Judy Surtain, wiadomości Channel Four. Czy jest przełom w śledztwie?

– Nie – odparł Bosch. – Nie ma przełomu. Wykonujemy rutynowe działania. Nie mieliśmy okazji porozmawiać wcześniej z mieszkańcem tego domu. Zadaliśmy parę podstawowych pytań, to wszystko. – Mówił znudzonym tonem, mając nadzieję, że dziennikarka się nabierze. – Przykro mi, na dziś brak sensacyjnych informacji.

– Czy ten obywatel pomógł?

– Wszyscy z okolicy próbują być pomocni, ale dochodzenie dopiero nabiera tempa. – Bosch wskazał ruchem ręki dom Trenta. – Okazało się, że ten obywatel sprowadził się tu w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku, my natomiast mamy pewność, że zbrodni dokonano sporo wcześniej. Nie mam nic więcej do powiedzenia. – Przepisnął się w kierunku samochodu.

– Pańskie nazwisko?!

Bosch otworzył portfel i wyjął wizytówkę.

– Panowie – rzekła Surtain – jeśli zechcielibyście powiedzieć mi coś nieoficjalnie, to obiecuję, że nie ujawnię źródła informacji.

– Nie mamy nic do powiedzenia – odparł Bosch. – Dobranoc.

Wsiadł z Edgarem do samochodu. Zapalił silnik, wycofał i ruszył przez kanion do komendy.

– Co teraz? – spytał Edgar.

– Zajrzymy do jego akt. Zobaczymy, za co został skazany i jak to wyglądało.

– Zajmę się tym jutro z samego rana.

– Nie. Chcę, żebyśmy najpierw dostarczyli nakazy do szpitali. Musimy zidentyfikować tego dzieciaka, by ewentualnie ustalić powiązanie między nim a Trentem. Spotkajmy się w sądzie o ósmej.

– Dobra. Znalazłeś coś ciekawego w jego domu?

– Niewiele. W garażu widziałem deskorolkę. Wśród elementów dekoracji i rekwizytów. Pamiętasz metkę na koszulce? No i ubłocone kalosze.

Może to błoto ze wzgórza. Ale nie wierzę, żeby przeszukanie domu coś dało. Facet miał dwadzieścia lat, by pozbyć się dowodów zbrodni. Jeśli to on.

– Wątpisz?

– Czas się nie zgadza. Osiemdziesiąty czwarty to trochę późno.

– Może sprowadził się z powodu tego miejsca. Wcześniej zakopał chłopca, a potem tutaj zamieszkał, bo chciał być blisko. To wcale nie byłoby takie dziwne. Harry, przecież tego nie zrobił nikt normalny.

Bosch skinął głową.

– Niby tak. Ale niczego nie wyczułem w tym facecie. Wierzę mu.

– Harry, intuicja czasem cię zawodziła.

– Czyżby?

– Moim zdaniem to on. To on zabił. Pamiętasz, jak powiedział: „dotknąłem małego chłopca”? Dla niego molestowanie dziewięciolatka to jak wyciągnięcie ręki i dotknięcie palcem.

Edgar reagował nadpobudliwie, lecz Bosch to przemilczał. Jeden z nich był ojcem, drugi – nie.

– Zajrzymy do akt, to się zobaczy – rzekł ugodowo. – Musimy też sprawdzić, kto wcześniej mieszkał przy tej ulicy.

Miał na myśli spisy ułożone według adresów, a nie nazwisk. Dzięki temu można było ustalić mieszkańców Wonderland Avenue w okresie od 1974 do 1985 roku.

– Ubawimy się po pachy – mruknął Edgar.

– Taa, już się nie mogę doczekać.

Resztę drogi pokonali w milczeniu.

BOSCH wypił piwo na tylnej werandzie, przy otwartych drzwiach, by słyszeć muzykę Clifforda Browna z odtwarzanej płyty. Przed niespełną pięćdziesięciu laty ten trębacz dokonał paru nagrań, po czym rozbił się w wypadku samochodowym i przeniósł w zaświaty. Bosch dumiał o muzyce, która została utracona. A potem pomyślał o sobie i o tym, co sam utracił.

Czuł napięcie, tak jakby nie dostrzegał czegoś, co znajdowało się pod jego nosem. Dla policjanta z wydziału kryminalnego było to chyba najgorsze uczucie na świecie.

O jedenastej wieczorem wszedł do domu, żeby obejrzeć wieczorne wiadomości na Channel Four. Relacja Judy Surtain była trzecia w kolejności.

Puszczono materiał nagrany przed domem Trenta.

„Stoję przy Wonderland Avenue w Laurel Canyon, gdzie cztery dni temu pies przyniósł swojemu panu kość, którą organy ścigania zidentyfikowały jako ludzką. To znalezisko doprowadziło do odkrycia dalszych kości, będących szczątkami chłopca, który według policji został zamordowany i pochowany tutaj przed dwudziestu laty”.

Zadzwonił telefon.

– Moment – powiedział Bosch do słuchawki.

„Dziś wieczorem – kontynuowała Surtain – oficerowie prowadzący śledztwo wrócili do Laurel Canyon, by przesłuchać mężczyznę, który mieszka sto metrów od miejsca zbrodni. Mężczyzną tym jest niejaki Nicholas Trent, pięćdziesięciosiedmioletni dekorator wnętrz pracujący dla studia filmowego w

Hollywood”.

Pokazano Boscha i Edgara wychodzących z domu Trenta, było to jednak tylko wizualne tło, gdyż zza kadru wciąż dobiegał głos dziennikarki: „Policjanci odmówili komentarzy w sprawie przesłuchania, lecz my dowiedzieliśmy się, że Nicholas Trent został w przeszłości skazany za molestowanie nieletniego chłopca”.

Wówczas w relację wpleciono ostatnie zdanie Boscha: „Nie mam nic więcej do powiedzenia”.

Następne ujęcie ukazywało Trenta przeganiającego dziennikarzy i zatrzaskującego drzwi.

„Nicholas Trent odmówił komentarzy. Jednak sąsiedzi wyrazili oburzenie, gdy dowiedzieli się o jego przeszłości”.

Bosch ściszył telewizor i sięgnął po słuchawkę.

– Widziałeś? – spytał Edgar. – Wygląda to tak, jakbyśmy to my jej powiedzieli.

– No ale ty jej nie powiedziałaś?

– Nie.

– Ja też nie. Jesteśmy czyści.

– To kto jeszcze o tym wiedział?

Bosch uświadomił sobie, że oprócz nich o przeszłości Trenta wiedziała Kiz, bo to ona znalazła informacje w komputerowej bazie danych, oraz Julia Brasher, której sam o tym powiedział, gdy uprzedził ją, że nie przyjedzie na kolację. Czy to Julia jest informatorem dziennikarzy?

– Właściwie to wcale nie musiało być przecieku – rzekł do Edgara.

– Wystarczyło znać nazwisko Trenta. I poprosić byle znajomego gliniarza, żeby sprawdził to w rejestrze. Albo sama to sprawdziła w ewidencji przestępców seksualnych. To publicznie dostępna baza. Moment!

Aparat zasygnalizował drugie połączenie. Dzwoniła porucznik Givers.

Poprosiłby zaczekała, po czym znów się przełączył.

– Jerry, muszę kończyć, bo dzwoni do mnie Giwera.

– To wciąż ja – rzekła Givers.

– O, przepraszam. – Znów spróbował zmienić linię. – O ósmej w sądzie – rzekł do Edgara i przełączył się z powrotem.

– Giwera? – spytała. – To tak mnie nazywacie? Nieważne. Oglądałeś wiadomości?

– Tak, oglądałem. I od razu uprzedzę, że to nie my puściliśmy farbę. Powiedziałem dziennikarce, że to rutynowe przesłuchanie, bo wcześniej nie udało się nam porozmawiać z Trentem.

– To prawda?

– Nie, ale nie zamierzałem jej ujawniać, że przyjechaliśmy z wizytą, bo facet molestował dziecko. Słuchaj, jak od niego wychodziliśmy, ona nawet nie wiedziała, jak ten facet się nazywa. O wszystkim dowiedziała się później. Od kogo, nie wiem. Właśnie gadałem o tym z Jerrym.

– Lepiej by było, żeby ta sprawa jutro się wyjaśniła. Jeszcze przed wiadomościami dzwoniła do mnie LeValley. Mówiła, że do niej z kolei dzwonił zastępca komendanta głównego, Irving.

– Skąd ja to znam! Znowu ten łańcuch pokarmowy.

– Słuchaj, Bosch, zdajesz sobie sprawę, że ujawnianie informacji z rejestru karnego to pogwałcenie zasad bez względu na to, czy ten obywatel jest podejrzanym, czy nie. Nie muszę ci mówić, że parę osób w wydziale tylko czeka na twoje potknięcie. Ostrzą sobie zęby.

– Próbuje znaleźć mordercę, a ty mi rzucasz kłody pod nogi. To typowe. Zawsze robicie jakieś przeszkody.

– Zostawmy to. Mów, co wiesz o Trencie.

BOSCH dotarł do Venice dopiero po północy. Dzielnica ta była zniszczonym marzeniem niejakiego Abbota Kinneya sprzed stu lat. Przemysł filmowy wciąż znajdował się w powijakach, gdy Kinney przybył na mokradła ciągnące się wzdłuż wybrzeża Pacyfiku. Przyświecała mu wizja, by na sieci kanałów wybudować miasteczko z łukowatymi mostami i śródmieściem we włoskim stylu. Miało to być wyrazem wyrafinowanego smaku artystycznego. Swoje dzieło chciał nazwać Wenecją Amerykańską.

Lecz większość finansistów nie podchwyciła pomysłu. Venice obwołano „Szaleństwem Kinneya”.

Sto lat później kanały i mostki wciąż tutaj były, finansiści zaś odeszli w przeszłość. Boschowi podobało się, że idea Kinneya przetrwała ich wszystkich.

Julia Brasher mieszkała w niewielkim bungalowie z werandą od frontu, wychodzącą na kanały Howland i Eastern. Bosch wszedł po stopniach na werandę. Już miał zapukać, lecz się zawahał. Jeszcze parę godzin temu myślał jak najlepiej o tej nowej znajomości. A teraz? Może wszystko zepsuć, jeśli zrobi fałszywy krok.

Wreszcie zastukał do drzwi. Otworzyła natychmiast.

– Zastanawiałam się, czy zapukasz, czy będziesz tak stał przez całą noc – powiedziała.

– Widziałas, że przyszedłem?

- Weranda jest stara, deski skrzypią. Usłyszałam.
- Przyjechałem, a potem przyszło mi do głowy, że zrobiło się trochę późno.
- Właż. Czy coś się stało?

Wszedł do środka, puszczać pytanie mimo uszu.

Salon miał typowy plażowy wystrój: meble z rattanu i bambusa, a w jednym rogu deska surfingowa.

- Siadaj – rzekła. – Otworzyłam wino.

Usiadł na kanapie, ona tymczasem poszła do kuchni. Rozejrzył się wokół: nad kominkiem z białej cegły wisiała ryba o szczęce zakończonej długim szpicem. Jaskrawy błękit przechodził w czerń, a brzuch był żółtawo-biały. Nie odstręczała go tak bardzo jak głowy upolowanych zwierząt, niemniej czuł się nieswojo, obserwowany bez przerwy przez rybie oko.

- Ty ją złapałeś? – zakrzyknął.

– Tak. Przy Cabo. Trzy i pół godziny z nią walczyłam. – Brasher pojawiła się z dwoma kieliszkami wina. – Żyłka ledwo wytrzymała. To była prawdziwa bitwa.

- Co to za gatunek?

- Czarny marlin. – Wzniosła kieliszek do ryby, a potem do Boscha.

– Górą nasi. To mój nowy toast – powiedziała, wręczając mu drugi kieliszek. Usiadła w fotelu stojącym najbliżej kanapy.

- Ja łowiłem dziś przez cały dzień, ale niczego nie złapałem – rzekł.

- Głównie w mikrofishach.

– Widziałam cię w telewizji. Przyciśnięcie tego faceta? Tego, co molestował chłopca?

Bosch zorientował się, że rozmowa wkracza na śliskie tory. Musiał postępować bardzo ostrożnie.

- Co masz na myśli?

- To, że powiedzieliście dziennikarce o jego nieciekawej przeszłości.

Myślałam, że to celowa zagrywka. No wiesz, żeby poczuł presję. Żeby zaczął gadać. Trochę to ryzykowne, powiem ci.

- Dlaczego?

– Po pierwsze, ufacie dziennikarzom, a to zawsze jest ryzykowne. Przekonałam się o tym, gdy byłam prawniczką. A po drugie, nigdy nie wiadomo, jak ludzie zareagują, kiedy ich tajemnice przestają być tajemnicami.

– To nie ja jej powiedziałem – rzekł. – Zrobił to ktoś inny. – Wpatrywał się bacznie w oczy Julii, szukając oznak winy. Niczego nie zobaczył.

- Z tego już wynikły problemy – dodał.

Zdziwiona, uniosła brwi. Jej twarz nadal niczego nie zdradzała.

– Dlaczego? Skoro to nie ty puściłeś farbę, to...

Urwała. Zaczęła kojarzyć. A po chwili ujrzał rozczarowanie w jej oczach.

– Harry, to nie ja! Po to tu przyszedłeś, prawda? Żeby sprawdzić, czy to ode mnie był ten przeciek?

Zdawał sobie sprawę, że zaprzeczanie jedynie pogorszy sytuację.

– Posłuchaj, tylko cztery osoby wiedziały...

– A ja jestem jedną z nich. Pomyślałeś więc, że przyjdiesz tutaj niby na kolację i przekonasz się, czy to ja.

Mógł tylko przytaknąć ruchem głowy.

– To nie ja. Chyba powinieneś już iść.

Wstał.

– Posłuchaj, Julio – rzeki. – Spieprzyłem sprawę. Ale musiałem się upewnić. Przepraszam cię. Dziękuję za wino. – Wykonał bezradny gest i skierował się do wyjścia.

– Harry.

Odwrócił się. Podeszła, wyciągnęła ręce i chwyciła go za klapy marynarki. Opuściła wzrok na jego klatkę piersiową, zastanawiając się. Błyskawicznie podjęła decyzję.

– Przeboleję to chyba – oznajmiła. – Tak mi się wydaje. Zadzwoń do mnie jutro.

Skinął głową i ruszył na dwór. Zamknęła za nim drzwi. Zszedł po stopniach na chodnik i stanął nad kanałem. Popatrzył na refleksy światła na wodzie. W odległości około dwudziestu metrów łukowaty most przepasywał kanał, tworząc ze swoim odbiciem niemal idealne koło. Bosch odwrócił się i skierował ku werandzie. Znow się zawahał. Brasher otworzyła drzwi.

– Deski skrzypią, pamiętasz? – spytała.

Pokiwał głową. Czekwała na jego ruch. Nie miał pojęcia, jak powiedzieć to, co leży mu na sercu.

– Pewnego razu – zaczął wreszcie – gdy siedzieliśmy w tych tunelach, o których wczoraj rozmawialiśmy, prawie zderzyłem się czołem z jednym facetem. Był z Wietkongu. Czarny mundurek, pomazana twarz. Przez ułamek sekundy patrzyliśmy na siebie. Ale instynkt wziął górę. Podnieśliśmy ręce i wystrzeliliśmy. Jednocześnie. A potem uciekliśmy w przeciwnych kierunkach. Obaj wystraszeni do nieprzytomności, wrzeszcząc w mroku.

Zamilkł, rozmyślając o tym zdarzeniu – bardziej je widział, niż sobie przypominał.

– W każdym razie byłem pewien, że mnie trafił, bo strzelał z bardzo bliska, nie mógł chybić. A moja broń chyba się zacięła. Kolba dziwnie szarpnęła. Wylazłem na zewnątrz i zacząłem siebie oglądać. Żadnej krwi, żadnego bólu. Zdjąłem ubranie, żeby się upewnić. Nic. A jednak chybił. Byliśmy nos w nos, a ten facet chybił.

Przekroczyła próg i stanęła pod ścianą, w świetle lampki. Milczała.

– A potem sprawdziłem moją czterdziestkępiątkę, chciałem wiedzieć, dlaczego się zacięła. I nagle wszystko zrozumiałem. Kula Wietnamczyka utkwiała w magazynku mojej broni. Ile wynosi prawdopodobieństwo czegoś takiego? Milion do jednego? Miliard?

Mówiąc te słowa, wyciągnął rękę, jakby mierzył z pistoletu do Brasher.

Trzymał przed sobą wyprostowane ramię. Tamtego dnia w tunelu kula miała trafić w jego serce.

– Chcę, byś wiedziała, że zdaję sobie sprawę, jak wielką okazałaś mi dziś wyrozumiałość. – Skinął głową, odwrócił się i ruszył do samochodu.

ŚLEDZTWO w sprawie zabójstwa to pościg. Po drodze czeka wiele ślepych zaułków i mnóstwo przeszkód, które pochłaniają cenny czas i wysiłek. Bosch codziennie doświadczał tego w swojej pracy, a kolejny raz przypomniał sobie o tym boleśnie, gdy w poniedziałek tuż przed południem wszedł do sekcji zabójstw. Okazało się, że jego poranne staraniu poszły na marne.

Sekcja zabójstw zajmowała niewielkie pomieszczenie z tyłu biura śledczego. Składała się z trzech trzyosobowych zespołów. Każdy zespół miał własny „stół”, złożony z trzech zestawionych razem biurków. Przy stole Boscha siedziała młoda kobieta w kostiumie biznesmenki. Miała ciemne włosy i jeszcze ciemniejsze oczy.

– Harry Bosch?

– We własnej osobie.

– Oficer śledczy Carol Bradley z wydziału wewnętrznego. Muszę poprosić pana o złożenie oświadczenia.

– W jakiej sprawie?

– Zastępca komendanta głównego Irving polecił nam ustalić, czy rejestr karny Nicholasa Trenta został ujawniony środkom masowego przekazu.

Pokiwał głową.

– Można z całą odpowiedzialnością założyć, że został.

– W takim razie muszę się dowiedzieć, kto jest za to odpowiedzialny.

Wzruszył ramionami.

– Próbuję prowadzić śledztwo, ale wszystkich interesuje jedynie to...

– Wiem, że dla pana to brednie. Ale otrzymałam rozkaz. Chodźmy więc do jakiegoś pokoju i nagrajmy pańskie oświadczenie. To potrwa tylko chwilę.

Bosch położył na stole teczkę i wyjął z niej dyktafon.

– Skoro mówimy o nagraniach, może najpierw posłucha pani tego?

Z wczoraj.

Wzięła od niego dyktafon.

– Mimo to i tak będę musiała...

– Dobrze, ale proszę tego posłuchać. A potem pogadamy.

Usiadł na krześle. Nie minęło jeszcze południe, a już czuł się wykończony. Najpierw czekał na sędziego, który miał podpisać nakazy przeszukania archiwów medycznych, następnie kursował po mieście, rozwożąc nakazy do kancelarii adwokackich reprezentujących dziewiętnaście szpitali. Edgar wziął dziesięć

nakazów i też ruszył w trasę. Ponieważ Bosch miał ich mniej, zamierzał potem pojechać do śródmieścia, żeby sprawdzić akta sprawy Trenta oraz zajrzeć do spisu dawnych mieszkańców i właścicieli nieruchomości przy Wonderland Avenue.

Zauważył, że czeka na niego plik informacji telefonicznych oraz kolejna porcja zgłoszeń odebranych przez oficera dyżurnego. Najpierw przejrzał kontakty telefoniczne. Było ich dwanaście, z czego dziewięć od dziennikarzy. Pozostałe trzy pochodziły od niejakiego Edwarda Mortona, adwokata reprezentującego Nicholasa Trenta.

Postanowił oddzwonić, choć wątpił, by prawnik uwierzył, że to nie on jest autorem przecieku. Sekretarka poinformowała jednak, że Morton udał się na rozprawę sądową.

Rozłączył się, wrzucił różowe karteczki z numerami telefonicznymi dziennikarzy do kosza na śmieci i zaczął przeglądać zgłoszenia od obywateli. Jedenaste okazało się bardzo interesujące. Kobieta o nazwisku Sheila Delacroix zadzwoniła tego ranka na policję. Powiedziała, że oglądała wiadomości w Channel Four. I że w 1980 roku zaginał w Los Angeles jej młodszy brat, Arthur Delacroix. Miał wtedy dwanaście lat. Nigdy się nie odnalazł.

Odpowiadając na zestaw pytań podsunęty przez Boscha Mankiewiczowi, kobieta poinformowała, że na kilka miesięcy przed zniknięciem jej brat miał wypadek na deskorolce. Doznał urazu głowy, który wymagał operacji neurochirurgicznej. Przeprowadzono ją w Szpitalu Królowej Aniołów.

Bosch zakreślił na kartce słowo „deskorolka”. Otworzył teczkę, wyjął wizytówkę Billa Gollihera i zatelefonował do niego na uniwersytet.

– Mam króciutkie pytanie, doktorze – rzekł. – Czy ten uraz, który wymagał trepanacji czaszki, mógł być wynikiem upadku podczas jazdy na deskorolce?

– Hm, teoretycznie to możliwe. Zależy, w co uderzył głową. Jednak mało prawdopodobne. Mamy ciasne pęknięcie, co oznacza, że z powierzchnią zetknęła się mała część czaszki. Poza tym to szczyt głowy, a nie potylicy, która jest najbardziej narażona przy upadkach.

Bosch poczuł, że traci rozpęd. Już zaczynał wierzyć, że udało mu się ustalić tożsamość ofiary.

– A pozostałe urazy? Czy one mogły być skutkiem jeżdżenia na deskorolce?

– Niektóre tak – odparł Gollither. – Ale nie wszystkie. Co się tyczy żeber, to część urazów pochodzi z wczesnego dzieciństwa. Niewiele dzieci jeździ na deskorolce w wieku trzech lat. Ale zdaje pan sobie sprawę, że w wypadku znęcania się nad dziećmi prawdziwa przyczyna urazu często zostaje zatajona?

Bosch skinął głową.

– Tak, rozumiem. Ten, kto przywiózł chłopca do szpitala, nie przyznał się otwarcie, że przygrzmocił mu latarką.

– Otóż to. Opowiedział jakąś bajeczkę. Którą dziecko najprawdopodobniej potwierdziło.

– Wypadek na deskorolce.

– Możliwe.

– Dobra, panie doktorze, muszę pędzić. Dzięki.

Jeden z pracowników dał Boschowi znać, że jest do niego telefon na głównej linii.

Bosch wcisnął klawisz w aparacie.

– Cześć, Harry. Jak leci? – spytała Kiz Rider.

– Mam roboty po pachy. Co jest?

– A ja mam moralnego kaca. Chyba narobiłam bigosu.

Bosch rozsiadł się wygodniej na krześle. Nigdy by nie przypuścił, że to właśnie ona!

– Channel Four?

– Tak. Eee... wczoraj, gdy wyszedłeś, mój współpracownik zapytał, dlaczego się u nas kręcisz. Powiedziałam mu. Powiedziałam, że szukałam dla ciebie nazwisk w bazie danych i że trafiliśmy na coś istotnego. Jeden z okolicznych mieszkańców molestował kiedyś dziecko. To wszystko, Harry, daję słowo.

– Słuchaj, Kiz, jest tu babka z wewnętrznego, która koniecznie chce mnie przepytac. Skąd masz pewność, że to Thornton przekazał tę informację Channel Four?

– Widziałam wiadomości dziś rano. Wiem, że zna tę dziennikarkę, Surtain. Poza tym wczoraj, gdy powiedziałam mu, co znalazłam w bazie danych, wstał i mruknął, że idzie do kibla. Dostaliśmy wezwanie, więc pobiegłam za nim. Waliłam w drzwi i wołałam, ale się nie odezwał. Nie zastanawiałam się wtedy nad tym, ale teraz myślę, że poszedł na dół, by zatelefonować do niej z innego pokoju.

– To wiele wyjaśnia.

– Naprawdę bardzo mi przykro, Harry. Słuchaj, muszę kończyć, bo właśnie idzie.

Połączenie zostało przerwane. Bosch zaczął się zastanawiać, jak rozegrać sprawę z Thorntonem. Uznał, że nie może powiedzieć o tym funkcjonariuszom z wydziału wewnętrznego, dopóki nie uzyska stuprocentowej pewności, że to Thornton przekazał dziennikarce informacje o przeszłości Trenta. Wzdragał się na myśl o tym, że miałby donosić, ale w tym wypadku ktoś poważnie zaszkodził prowadzonemu

przez niego śledztwu.

W ciągu paru minut opracował plan działania. Była za dziesięć dwunasta. Zadzwoił do Kiz Rider.

– To ja, Harry. On tam gdzieś jest?

– Tak, bo co?

– Powtarzaj za mną podekscytowanym głosem: „Naprawdę, Harry?!”.

„Wspaniale!”. „Kto to?”.

– Naprawdę, Harry?! Wspaniale! Kto to?

– Dobra, teraz słuchasz, słuchasz, słuchasz. A teraz mów: „Jak dziesięciolatek z Nowego Orleanu dostał się do Los Angeles?”.

– Jak dziesięciolatek z Nowego Orleanu dostał się do Los Angeles?

– Doskonale. Teraz się rozłączymy. Jeżeli Thornton zapyta cię o to, powiesz mu, że na podstawie karty dentystycznej ustaliliśmy tożsamość ofiary. To dziesięcioletni chłopak, który uciekł od rodziców w Nowym Orleanie i ostatni raz był widziany w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku. Jego rodzice już do nas lecą. Komendant zwoła w tej sprawie konferencję prasową o czwartej.

– Dobra, Harry, trzymaj się.

– Ty też.

Odłożył słuchawkę i podniósł głowę. Po drugiej stronie stołu stał Edgar.

Patrzył pytającym wzrokiem.

– Aranżuję przeciek.

– Przeciek? A kto jest informatorem?

– Współpracownik Kiz. To chyba on powiadomił telewizję.

Edgar osunął się na krzesło.

– Być może udało się też ustalić tożsamość chłopca – oznajmił Bosch.

Opowiedział o zgłoszeniu od Sheili Delacroix.

– W osiemdziesiątym? To nie pasuje do Trenta. Sprawdziłem spisy mieszkańców i właścicieli nieruchomości. On rzeczywiście sprowadził się tam w osiemdziesiątym czwartym. Tak jak nam powiedział.

– Coś mi mówi, że to nie on.

Zadzwoił telefon Boscha. Była to Kiz Rider.

– Poszedł do kibla – rzekła.

– Powiedziałaś mu o konferencji prasowej?

– O wszystkim. Zadawał mnóstwo pytań.

– Jeśli da znać swojej dziennikarce, że o czwartej wszyscy dowiedzą się o przełomie, ona wyskoczy z tym w wiadomościach południowych, żeby być

pierwsza. Trzeba oglądać.

Rozłączył się i spojrzął na Edgara.

– Aha, kobieta z wewnętrznego jest u nas. Objęto nas dochodzeniem.

Edgar rozdziawił usta. Jak większość policjantów, nie znosił funkcjonariuszy z wydziału wewnętrznego, ponieważ nękali nawet tych, którzy wzorowo wypełniali swoje obowiązki.

– Spokojnie, chodzi o dziennik Channel Four. Za kilka minut powinniśmy być oczyszczeni z podejrzeń. Chodź ze mną.

Weszli do gabinetu porucznik Givers, gdzie znajdował się mały telewizor. Ich przełożona siedziała za biurkiem.

– Można zerknąć na wiadomości? – spytał Bosch.

– Proszę bardzo.

Serwis rozpoczął się od doniesienia o karambolu szesnastu samochodów we mgle na autostradzie prowadzącej do Santa Monica. Następnie spiker oznajmił, że Judy Surtain ma pilne informacje na temat policyjnego śledztwa. Ukazała się na ekranie.

„Channel Four dowiedział się, że kości znalezione w Laurel Canyon zostały zidentyfikowane jako szczątki dziesięcioletniego chłopca, który uciekł z domu w Nowym Orleanie. Rodzice chłopca, którzy zgłosili jego zaginięcie ponad dwadzieścia pięć lat temu, są w drodze do Los Angeles, by spotkać się z przedstawicielami organów ścigania. Szczątki zidentyfikowano dzięki karcie dentystycznej. Po południu komendant policji zwoła konferencję prasową, na której ujawni tożsamość ofiary i poinformuje o postępach w śledztwie. Jak mówiliśmy wczoraj, policja skupiła się na...”

Bosch wyłączył telewizor.

– Co się dzieje? – spytała porucznik Givers.

– To wszystko lipa. Zdemaskowałem informatora.

– Kto to?

– Nowy współpracownik Kiz. Niejaki Rick Thornton. – Bosch zrelacjonował wszystko, co powiedziała mu Rider. A potem opisał swoją podstępą zagrywkę.

– Gdzie jest funkcjonariuszka z wewnętrznego? – spytała Givers.

– W jednym z pokojów. Słucha taśmy, na której jest nagrana moja wczorajsza rozmowa z tą dziennikarką.

– Taśmy? Dlaczego mi nie powiedziałeś, że masz to na taśmie?

– Bo zapomniałem.

– Dobra, ja zajmę się resztą. Myślisz, że Kiz jest czysta?

Skinął głową.

– Ufa swojemu współpracownikowi, więc mu powiedziała. A on tego zaufania nadużył i pobiegł z rewelacją do dziennikarzy. Bruździ w moim śledztwie.

– Dobra, Harry, powiedziałam, że się tym zajmę. Czy jest jeszcze coś, o czym powinnam wiedzieć?

– Być może ustaliliśmy tożsamość ofiary.

– Co z Trentem?

– Zaczekamy, dopóki nie będziemy mieli pewności, że to ten dzieciak.

Bo jeśli ten, to czas się nie zgadza.

– Świetnie. – Givers podniosła słuchawkę telefonu.

Był to znak, że rozmowa dobiegła końca. Wracając do stołu, Bosch spytał Edgara, czy przeczytał akta dotyczące skazania Trenta.

– Tak, czytałem. To była raczej cienka sprawa.

Usiedli na swoich miejscach. Bosch zorientował się, że przed chwilą telefonował do niego adwokat Trenta. Chwycił słuchawkę, lecz wstrzymał się z dzwonieniem, żeby wysłuchać relacji Edgara.

– Pracował jako nauczyciel w szkole podstawowej w Santa Monica. Inny nauczyciel przyłapał go na tym, jak trzymał za członka ośmioletniego chłopca, gdy ten oddawał mocz. Tłumaczył się, że uczy go celować, bo dzieciak sika na podłogę. Sprawa się rozniosła, chłopiec nie potwierdził tej wersji. Trenta skazano.

Bosch się zadumał.

– Hm – mruknął – jest spora różnica między czymś takim a skatowaniem chłopaka na śmierć. – Wziął słuchawkę i wybrał numer adwokata.

Połączenie przekierowano na telefon komórkowy.

– Słucham?

– Oficer śledczy Harry Bosch.

– A, pan Bosch. Macie mi powiedzieć, gdzie on jest. Natychmiast.

– Podejrzewam, że chodzi panu o Nicholasa Trenta? Do jego pracy pan dzwonił?

– Dzwoniłem i do pracy, i do domu. Bez skutku. I na pager. Jeśli go aresztowaliście, to on ma prawo do adwokata.

– Nie aresztowaliśmy go, panie mecenasie. Ostatni raz widziałem Trenta wczoraj wieczorem.

– Telefonował do mnie po waszej wizycie, a potem po wiadomościach. Powinien się pan wstydzić! – Adwokat bez uprzedzenia się rozłączył.

Bosch poczuł, że twarz mu płonie od tej reprimendy. Nagle zmroziła go straszliwa myśl. Gwałtownie wstał, odłożył słuchawkę na widełki i kiwnął na Edgara.

– Idziemy. Wyjaśnię ci po drodze.

PRZED domem Nicholasa Trenta zebrał się mały tłum dziennikarzy.

Bosch zatrzymał samochód tuż za furgonetką Channel Four, po czym on i Edgar wysiedli.

– W razie czego wchodzimy od tyłu – rzucił szybko nad dachem auta, by nie usłyszeli go reporterzy.

– Jasne.

Ruszyli w kierunku podjazdu i natychmiast zostali otoczeni przez ekipy reporterów, którzy wycelowali w nich kamery i zasypali pytaniami.

Bosch precyzyjnie przeszedł przez tłumek i wszedł na żwirówkę, po czym odwrócił się twarzą do dziennikarzy. Zawahał się, jakby układał sobie zdania w myśli. Tak naprawdę dawał wszystkim czas, by przygotowali się do nagrania. Nie chciał, żeby którakolwiek stacja to przegapiła.

– Jak dotąd nie ustaliliśmy tożsamości ofiary – oznajmił. – Obywatel, który mieszka w tym domu, był wczoraj wieczorem przesłuchiwany tak samo jak inni mieszkańcy okolicy. Nie jest o nic podejrzany. Informacja przekazana mediom przez osobę niezwiązaną ze śledztwem jest nieprawdziwa i szkodzi działaniom organów ścigania. To wszystko.

Następnie odwrócił się i zapukał mocno do drzwi.

– Proszę otworzyć, panie Trent. Policja!

Po chwili znów zapukał. Nic.

Ruszył z Edgarem naokoło domu. Minęli bramę garażową i weszli do ogródka. Na drzwiach do kuchni była gałka z kluczykiem.

Bosch zbliżył się do drzwi i przekręcił gałkę. Otwarte. W tym momencie zdał sobie sprawę, że Trent nie żyje. Zapobiegliwy samobójca – nie pozamykał domu na cztery spusty, by policja nie musiała wyważać drzwi ani wybijać okien. Weszli do środka i stanęli w kuchni.

– Panie Trent! – zawołał Edgar. – Policja! Jest pan tu?!

Rozdzielili się: Bosch ruszył krótkim korytarzem do dwóch pokoi w głębi. Znalazł Trenta w kabinie prysznicowej. Mężczyzna przywiązał sznur do rury od pryszniczicy. A potem założył sobie pętlę na szyję i się powiesił.

Bosch ocenił, że nie żyje co najmniej od dwunastu godzin. Czyli że zrobił to wczesnym rankiem, niedługo po tym, jak Channel Four ujawnił całemu światu jego przeszłość.

– Harry!

Bosch gwałtownie drgnął. Odwrócił się i zobaczył Edgara wpatrującego się w zwłoki.

– Zostawił trzystronicowy list na stoliku. Napisał, że nie zabił tego chłopca.

Bosch wszedł do salonu. Usiadł na kanapie i zaczął czytać list. W jego drugiej części Trent stanowczo zaprzeczył, że zamordował chłopca na wzgórzu, oraz wylał na papier gniew za to, co mu zrobiono. Ostatnia strona kończyła się słowami:

Żal mi tylko moich dzieci. Kto się nimi zajmie? Potrzebują przecież jedzenia i ubrania. Mam trochę pieniędzy. Niech te pieniądze trafią do nich. Wszystko, co mam. To moja ostatnia wola. Dajcie pieniądze dzieciom. Niech Morton przekazuje pieniądze, nie pobierając żadnych opłat. Zróbcie to dla dzieci.

– Jego dzieci? – zdziwił się Bosch.

– No właśnie, dziwne, nie? – mruknął Edgar.

ODNALEŻLI dzieci Nicholas Trenta, gdy tylko koroner zabrał jego zwłoki i zaczęli przeszukiwać dom. Okazało się, że od wielu lat wpłacał co miesiąc drobne kwoty na konto paru organizacji charytatywnych, które kupowały żywność i ubranie dla sierot od Appalachów przez dżunglę brazylijską po Kosowo. W małym biurku stojącym w salonie Bosch znalazł anulowane czeki i dziesiątki zdjęć dzieci, które korzystały z tej pomocy, jak również parę listów od nich.

Rozłożył fotografie na biurku. Wziął do ręki zdjęcie małego chłopca.

Na odwrocie napisano, że to sierota z Kosowa. Został ranny na skutek wybuchu pocisku moździerzowego, który zabił jego rodziców. Nazywał się Milos Fidor i miał dziesięć lat.

Bosch stracił rodziców, gdy miał lat jedenaście. Popatrzył na twarz chłopca i w jego oczach zobaczył własne sprzed lat.

O czwartej zamknęli dom i zanieśli do samochodu trzy spore pudła dowodów rzeczowych. Włożyli pudła do bagażnika i pojechali w stronę śródmieścia.

– Co ci podpowiada intuicja w sprawie Trenta? – zagadnął Bosch.

– Pytasz, czy moim zdaniem to on załatwił dzieciaka?

Bosch skinął głową.

– Nie wiem. Zobaczmy, czy błąd z kaloszy pochodzi z tego wzgórza i co nam powie ta kobieta o swoim bracie, który jeździł na deskorolce. A ty, co myślisz?

Bosch przypomniał sobie o sierotach, które wspomagał Trent. Odkupując swoje winy.

– Że drepczemy w miejscu. To nie on.

BOSCH zamierzał odwiedzić Edgara do komendy w Hollywood, a następnie pojechać do Venice na kolację z Julią Brasher, lecz najpierw zaniósł jedno z trzech pudeł – w którym znajdowała się deskorolka – do wydziału kryminalistyki. Wywołał Antoine’a Jespera. Czekać na niego, przyglądał się deskorolce. Na polakierowaną powierzchnię nałożono kilka kalkomanii, z których najbardziej rzucała się w oczy widniejąca na środku trupia czaszka ze skrzyżowanymi piszczelami.

Gdy zjawił się Jesper, Bosch podał mu deskorolkę.

– Chciałbym wiedzieć, kto ją wyprodukował oraz kiedy i gdzie ją sprzedano – rzekł. – To bardzo pilne.

– Nie ma problemu. Kto ją wyprodukował, mogę ci powiedzieć od razu. To firma Boney Board. Dziś już takich nie robią.

– Dowiedz się jak najwięcej do jutra.

Jesper skinął głową.

– Ale daj mi czas do południa, dobra?

– Dobra. Zadzwoń jutro w południe.

Wyszedł. W drodze powrotnej do Hollywood pozwolił Edgarowi prowadzić samochód, sam zaś zadzwonił z telefonu komórkowego do Sheili Delacroix. Odebrała natychmiast.

– Dzień dobry, mówi oficer Bosch z policji.

– Czy to Arthur? – spytała drżącym głosem.

– Nie wiemy, proszę pani. Dlatego dzwonię. Czy mógłbym przyjechać do pani z moim współpracownikiem jutro rano? Chcielibyśmy porozmawiać i uzyskać pewne informacje.

– Mmm... tak, proszę bardzo, jeśli to nie za daleko.

– A gdzie pani mieszka?

– Nieopodal Wilshire, w Miracle Mile.

Bosch zerknął na adres widniejący w formularzu zgłoszeniowym.

– Przy Orange Grove? – upewnił się.

– Tak.

– Czy o wpół do dziewiątej nie będzie za wcześnie?

– Nie, może być – odparła. – Bardzo pragnę pomóc. Wie pan, z jednej strony chciałabym, żeby to był on, bo wreszcie wyz byłabym się tej niepewności, co się z nim stało. Ale z drugiej strony modlę się, żeby to był ktoś inny. Wtedy mogę się ludzi, że Arthur gdzieś żyje. I może ma własną rodzinę.

– Rozumiem panią – odparł Bosch. – W takim razie do zobaczenia jutro rano.

6

JAZDA do Venice okazała się koszmarem; Bosch dotarł na miejsce z półgodzinnym opóźnieniem. Gotowanie wkroczyło akurat w decydującą fazę, Julia kazała mu więc nastawić jakąś muzykę i poczęstować się winem. Była serdeczna. Uznał, że chyba rzeczywiście wybaczyła mu gafę z poprzedniego wieczoru.

Wybrał koncertowe nagrania Bill Evans Trio z nowojorskiego Village Vanguard. Następnie nalał sobie czerwonego wina do kieliszka i zaczął się przechadzać po salonie.

Na gzymsie kominka stało mnóstwo fotografii w ramkach. Wśród nich zdjęcie wulkanu wypluwającego stopiony rumosz oraz podwodne zdjęcie zębiastej paszczy rekina. Wydawało się, że drapieżnik atakuje obiektyw, widać jednak było żelazne pręty klatki, w której schronił się fotograf – przypuszczalnie Julia.

Stało tam również zdjęcie Julii w towarzystwie dwóch aborygenów – prawdopodobnie w australijskim interiorze. Oraz parę innych, ukazujących ją i współtowarzyszy wędrówek po egzotycznych zakątkach. Bosch zauważył, że na żadnym zdjęciu kobieta nie patrzy wprost w obiektyw, że zawsze ucieka spojrzeniem w dal.

Na końcu stało małe zdjęcie w złotych ramkach: o wiele młodsza Julia i nieco od niej starszy mężczyzna. Bosch wziął je do ręki, przyjrzał się, a potem odstawił na miejsce i ruszył do kuchni. Wyglądało na to, że Julia przygotowuje risotto z kurczakiem i szparagami.

– Ładnie pachnie.

– Dziękuję. Mam nadzieję, że będzie też smaczne.

– Od czego uciekałaś?

Spojrzała na niego.

– Że co?

– No wiesz, podróżując. Rzuciłaś firmę taty, żeby pływać z rekinami i zaglądać do wnętrza wulkanów. Chodziło o twojego staruszka czy o jego kancelarię?

– Można uznać, że przed niczym nie uciekałam, tylko do czegoś dążyłam. – Wzięła do ręki kieliszek i stuknęła nim w jego szkło. – Nieważne, czy uciekałam, czy ku czemuś dążyłam, wypijmy za podróż. Po prostu za podróż.

– A co z „Nasi górą”?

– Za to też.

Zaszedł ją od tyłu i zaczął masować jej kark.

– Nie wolno tracić czujności – rzekł. – Jak będziesz włączyć pod lufę, to w końcu napytasz sobie biedy.

– Hmm. Czyżbyś pouczał mnie, Harry? Chcesz być moim oficerem szkoleniowym?

– Nie. Odznakę i broń zostawiłem przy wejściu.

Odwróciła się i pocałowała go.

– Wiesz, to risotto ma tę zaletę, że może tkwić w piekarniku tak długo, jak będzie trzeba.

Uśmiechnął się.

Później, kiedy skończyli się kochać, Bosch wstał zwinnie z łóżka i wyszedł do salonu.

– Dokąd to?! – krzyknęła za nim.

Nie odpowiedział. Zawołałaby podkręcił piekarnik. Wrócił ze zdjęciem w złotych ramkach. Położył się na łóżku i zapalił lampkę stojącą na stoliku.

– Harry, co robisz? – spytała tonem, który wskazywał, że dotknął bolesnej sprawy. – Podkręciłeś piekarnik?

– Tak. Sto pięćdziesiąt stopni. Opowiedz mi o tym facecie. Czy to on?

Czy to on złamał ci serce i wygnał cię w świat?

– Zdaje się, że odznakę zostawiłeś przy drzwiach.

– Ubranie też zrzuciłem. Wszystko.

Bosch odstawił zdjęcie na stolik i odwrócił się do Julii. Przyciągnął ją do siebie.

– No co, chcesz, żebyśmy znowu opowiadali o swoich ranach i bliznach? Moje serce dwukrotnie złamała ta sama kobieta. I wiesz co? Potem długo jeszcze trzymałem jej zdjęcie w salonie. Ale wreszcie, w sylwestra, uznałem, że to trwa już zbyt długo. Schowałem je. Zaraz potem dostałem na dyżurze wezwanie i poznałem ciebie.

Wpatrywała się w niego uważnie.

– Tak – odparła wreszcie. – Złamał mi serce. Zadowolony?

– Nie, niezadowolony. Kim jest ten wszarz?

Parsknęła śmiechem.

– Harry, jesteś moim rycerzem w zmatowiałej zbroi, tak? Pracował w kancelarii ojca. Zadurzyłam się w nim po uszy. A on potem ze mną nieoczekiwanie zerwał.

Bosch pocałował ją w głowę.

– Nie mogłam zostać, skoro on wciąż tam był. Rzuciłam więc pracę. Powiedziałam, że chcę podróżować. Ojciec myślał, że to przedwczesny kryzys wieku średniego, bo skończyłam trzydzieści lat. Nie wyprowadzałam go z błędu. No ale musiałam zrobić to, o czym mówiłam. Wyruszyć w świat. Wróciłam dopiero po

czterech latach. I wstąpiłam do akademii.

Weszłam do tutejszego ośrodka kultury i wzięłam ulotkę. Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie.

– Z twojej opowieści wynika, że jesteś impulsywna i podejmujesz nagłe decyzje. Jak to możliwe, że przeszłaś selekcję?

Zaśmiała się.

– Wy, starzy wyjadacze, wiecie przecież, że wydział otworzył się na tak zwane dojrzałe kobiety, żeby zlikwidować nadwyżkę testosteronu w szeregach policji.

Bosch napiął mięśnie w reakcji na myśl o śledztwie, która wdarła się niespodziewanie do tej oazy spokoju.

Julia wyczuła, że stężał.

– Co jest?

– To ta sprawa, którą prowadzę.

Milczała przez chwilę.

– Wiesz, to zdumiewające – rzekła wreszcie. – Te kości tyle lat leżały w ziemi i nagle ukazały się na powierzchni. Jak duch albo coś.

– „Miasto kości”. Wszystkie czekają, żeby wyjść na wierzch. – Ucichł.

– Nie chcę teraz rozmawiać o śledztwie ani o niczym innym.

– To czego chcesz?

Nie odpowiedział.

Odwróciła się twarzą do niego.

– A może dojrzała kobieta znów chciałaby zlikwidować nadwyżkę testosteronu?

Czy mógł się nie uśmiechnąć?

BYŁ NA nogach przed świtem. Po powrocie do domu wziął prysznic i włożył świeże ubranie. Następnie pojechał do komendy w Hollywood.

Na miejsce dotarł o wpół do ósmej. Paru oficerów już pracowało, lecz Edgar jeszcze się nie pojawił. Bosch położył teczkę i poszedł do pokoju służbowego po filiżankę kawy.

Kiedy wrócił, Edgara wciąż nie było. Postawił filiżankę obok maszyny do pisania, podszedł do szaf i z szuflady wyjął formularz. Przez następny kwadrans pisał uzupełnienie nakazu, który dostarczył kierownikowi archiwów Szpitala Królowej Aniołów. Uzupełnienie obejmowało akta dotyczące leczenia Arthura Delacroix z lat 1975-1985.

Gdy skończył, przefaksował nakaz do sędziego Johna A. Hougtona, który poprzedniego dnia podpisał wszystkie nakazy skierowane do szpitali.

Następnie podszedł do stołu i wyjął z szuflady plik doniesień o zaginionych osobach, zebrany podczas szperania w archiwach. Nie było żadnych informacji o Arthurze Delacroix. Nie wiedział, co to oznacza, zamierzał jednak spytać o to siostrę zaginionego.

Wybiła ósma, a Edgar wciąż nie nadchodził. Bosch postanowił poczekać jeszcze dziesięć minut, a potem jechać sam. I właśnie wtedy Edgar ukazał się w drzwiach.

– Gotów? – spytał Bosch.

– Tak, ale chciałem najpierw łyknąć kawy.

– Jedźmy już. Nie chcę się spóźnić.

W drodze do wyjścia sprawdził faks. Na tacce leżał nakaz, podpisany i odesłany przez sędziego Houghtona.

– No dobra, mamy co robić – rzekł do Edgara, pokazując mu dokument i ruszając do drzwi.

– Ja chcę się napić kawy.

SHEILA Delacroix mieszkała w części Los Angeles zwanej Miracle Mile, gdzie ciągnęły się rzędy dobrze utrzymanych domów. Należało do niej piętro dwupoziomowca ozdobionego pseudoartystycznymi wykończeniami.

Serdecznym tonem zaprosiła policjantów do środka, lecz gdy Edgar spytał, czy poczęstowałyby go filiżanką kawy, odparła, że to wbrew jej religii. Zaproponowała herbatę, a ten niechętnie się zgodził. Bosch odmówił.

Zastanawiał się w duchu, która religia zabrania picia kawy.

Usiedli w salonie, podczas gdy gospodyni zaparzała herbatę.

– Mam tylko godzinę, bo potem muszę jechać do pracy! – zawołała z kuchni.

– Czym się pani zajmuje? – spytał Bosch, gdy zjawiła się z kubkiem w ręku. Postawiła kubek na podstawce, pośrodku stolika, przy którym siedział Edgar. Była wysoką kobietą z lekką nadwagą, o krótko przyciętych jasnych włosach.

– Proszę mi mówić po imieniu, Sheila. Jestem agentką filmową – odparła, siadając na kanapie. – Obsadzam aktorów w niezależnych filmach, czasem w produkcjach telewizyjnych. W tym tygodniu mam obsadzić serial policyjny.

Bosch dostrzegł, że Edgar łyknął herbaty, skrzywił się i odstawił kubek.

– No dobrze, to zacznijmy. Proszę nam opowiedzieć o Arthurze. Ma może pani jakieś jego zdjęcie?

– Owszem. – Podeszła do oszklonej szafki stojącej z tyłu. Zza szybki wyjęła fotografię w ramkach i podała mu ją.

Ujrzał chłopca i dziewczynkę siedzących na schodach. Rozpoznał schody, po

których przed chwilą wchodził z Edgarem. Chłopiec był o wiele młodszy od dziewczynki.

Podał zdjęcie Edgarowi i spojrzał na Sheilę Delacroix, która z powrotem zajęła miejsce na kanapie.

– Te schody... To tutaj? – spytał.

– Tak.

Edgar postawił fotografię obok kubka.

– Ma pani jeszcze inne zdjęcia brata? – odezwał się.

– Oczywiście. Mam całe pudełko starych zdjęć.

– A czy możemy je obejrzeć? W trakcie naszej rozmowy.

Patrzyła na nich zmieszana.

– Posłuchaj, Sheilo – rzekł Bosch. – Przy szczątkach ludzkich znaleźliśmy resztki ubrania. Chcielibyśmy więc obejrzeć jak najwięcej zdjęć, bo może rozpoznamy jakieś ubranie.

– Aha, rozumiem. – Skinęła potakująco głową. – Zaraz wracam. Muszę iść do przedpokoju.

Po minucie wróciła ze starym pudełkiem od butów, pełnym fotografii.

– Mój współpracownik je przejrzy – powiedział Bosch – a ty w tym czasie opowiedz mi o swoim bracie i o tym, jak zginął.

Przez chwilę zastanawiała się, jak zacząć.

– Czwarty maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku – oznajmiła.

– Nie wrócił do domu ze szkoły. I właściwie to tyle. Myśleliśmy, że uciekł.

Mówili panowie, że znaleziono resztki ubrania. Ojciec wtedy sprawdził jego szafkę. Arthur zabrał trochę rzeczy.

Bosch zapisał parę słów w notatniku, który wyjął z kieszeni płaszcza.

– Podobno kilka miesięcy wcześniej miał wypadek na deskorolce?

– Tak. Uderzył się w głowę i trzeba go było operować.

– Czy zabrał ze sobą deskorolkę, gdy zginął?

– To było tak dawno temu... Wiem tylko, że rzadko się z nią rozstawał.

Pewnie więc ją wziął.

– Czy jego zaginięcie zgłoszono na policji?

– Ja miałam wtedy szesnaście lat, więc to nie do mnie należało. Ojciec rozmawiał z policją.

– Sęk w tym, że w archiwach nie znalazłem żadnego zawiadomienia o zaginięciu Arthura. Jesteś pewna, że ojciec to zgłosił?

– Pojechałam z nim wtedy na komisariat.

– A gdzie jest twój ojciec? Żyje?

– Żyje. Mieszka w Van Nuys. W Manchester Trailer Park.

Bosch zapisał adres.

– Pije... pije, odkąd Arthur zaginał.

Skinął ze zrozumieniem głową. Edgar nachylił się i podsunął mu jedną z fotografii. Ukazywała chłopca z rozpostartymi rękami, jadącego na deskorolce po chodniku i usiłującego zachować równowagę. Nie sposób było się zorientować, czy na deskorolce widnieje trupia czaszka z pieszczelami.

– Koszulka – mruknął Edgar.

Bosch spojrział ponownie. Chłopiec miał na sobie szarą koszulkę z napisem SOLID SURF na piersi.

Pokazał zdjęcie Sheili.

– Chodzi o tę koszulkę. Pamiętasz może, czy ojciec mówił, jakie ubranie zabrał Arthur?

Pokręciła głową.

– Nie pamiętam. To... Pamiętam jednak, że była to jego ulubiona koszulka.

– No tak – rzekł Bosch.

Zwrócił zdjęcie Edgarowi. Nie był to wprawdzie niezbity dowód, jaki można uzyskać w wyniku badań rentgenowskich lub analiz porównawczych szczątków, ale jednak kolejna dość ważna poszlaka. Bosch nabierał pewności, że są coraz bliżsi zidentyfikowania ofiary. Zobaczył, że Edgar odkłada zdjęcie na bok, na plik innych, które zamierzał pożyczyć dla potrzeb śledztwa.

Zerknął na Sheilę.

– A wasza matka?

– Jej już dawno z nami nie było, kiedy to wszystko się stało.

– Zmarła?

– Nie, wsiadła do autobusu i wyjechała, gdy tylko zaczęły się problemy. Arthur był trudnym dzieckiem. Wymagał mnóstwo uwagi, a wszystko spadło na barki matki. Po pewnym czasie nie dawała już rady. Jednego wieczoru wyszła po lekarstwa do apteki i już nigdy nie wróciła.

Pod poduszkami zostawiła nam krótkie listy.

– Ile miałaś wtedy lat? Ile lat miał Arthur?

– Ja sześć, więc on dwa.

– Wiesz, co się z nią potem działo?

– Nie mam bladego pojęcia. Nie obchodzi mnie nawet, czy żyje.

– Jak się nazywa?

- Christine Dorsett Delacroix. Dorsett to jej panięskie nazwisko.
 - Znasz jej datę urodzenia albo numer ubezpieczenia społecznego?
- Pokręciła głową.
- A masz może na podorędziu swój akt urodzenia?
 - Mam gdzieś w papierach, musiałabym poszukać.
 - Nie teraz, to może chwilę poczekać. Wolę dalej rozmawiać. Mmm...
- czy po odejściu matki ojciec ożenił się powtórnie?
- Nie. Mieszka sam.
 - A miał jakąś przyjaciółkę, kogoś, kto z wami mieszkał?

Spojrzała na Boscha pustym wzrokiem.

- Nie – odparła. – Nigdy.
- Do jakiej szkoły chodził Arthur?
- Pod koniec do Braci Zakonnych.

Zanotował nazwę szkoły, a przypomniawszy sobie wygląd plecaka, pod spodem napisał duże litery „BZ”.

- To była szkoła dla trudnych chłopców – ciągnęła Sheila niepytana.
- Ojciec płacił chesne. Ta szkoła działa do dziś.
- Dlaczego Arthur był trudnym dzieckiem?
- Wyrzucono go z innych szkół za bójki.

Edgar wziął do ręki zdjęcie z odłożonego pliku.

- Twój brat wygląda jak chuchro – rzekł. – To on wszczynał te bójki?
- Na ogół. Nie potrafił współżyć z innymi. Chciał tylko jeździć na deskorolce.

Dzisiaj pewnie zdiagnozowano by u niego zespół zaburzeń uwagi albo coś w tym stylu.

- Czy obrywał w tych bójkach?
- Czasem. Najczęściej wracał posiniaczony.
- A dochodziło do jakichś złamań?
- Nie pamiętam. To były raczej zwykłe bójki szkolne.
- Mówiłaś, że ojciec przeszukał wtedy pokój Arthura i zorientował się, że brakuje ubrań.

- Tak. Ale niedużo. On wziął tylko parę rzeczy.
- A w co je zabrał? Miał torbę czy coś?
- Chyba spakował torbę, którą nosił do szkoły.
- Pamiętasz, jak wyglądała ta torba?

– Nie bardzo. To był chyba zwykły plecak. W tej szkole wszyscy musieli mieć identyczne torby. Do dziś widzę, że dzieci je noszą. To takie plecaki z literami „BZ”.

Bosch zerknął na Edgara, a potem znów popatrzył na Sheilę Delacroix.

Uznał, że trzeba zakończyć przesłuchanie i zająć się gromadzeniem dowodów potwierdzających tożsamość ofiary. Pomyślało opinii Gollihera: uporczywe maltretowanie. Czy to możliwe, że wszystkie te urazy były skutkiem bójek szkolnych i wypadków na deskorolce? Zdawał sobie sprawę, że będzie musiał spytać Sheilę, czy w rodzinie dochodziło do aktów przemocy, uznał jednak, że chwila nie jest odpowiednia. Nie chciał również odkryć wszystkich kart w obawie, że kobieta powiadomi swojego ojca. Zamierzał się wycofać, żeby powrócić później, gdy zyska mocniejsze argumenty.

– Dobrze, jeszcze tylko parę pytań – rzekł. – Czy Arthur miał kolegów? Czy był ktoś, komu się zwierzał?

Pokręciła głową.

– Nie bardzo. Pamiętam jednego chłopaka, który z nim jeździł na deskorolce. Nazywał się Johnny Stokes. Był trochę starszy od Arthura, ale chodzili do tej samej klasy.

– Czy rozmawialiście z tym Stokesem po zaginięciu Arthura?

– Tak. Tamtego wieczoru, gdy Arthur nie wrócił do domu, ojciec zadzwonił do Johnny’ego, lecz ten powiedział, że nic nie wie.

Bosch zapisał w notatniku nazwisko i podkreślił je dwukrotnie.

– Jak ma na imię twój ojciec?

– Samuel. Będziecie z nim rozmawiać?

– Najprawdopodobniej. Czy to jakiś problem?

– Nie, skąd. Ale jeśli okaże się, że to szczątki Arthura, pomyślałam, że lepiej, by się o tym nie dowiedział.

– Będę o tym pamiętał, jeśli postanowimy z nim porozmawiać. Ale to nie jest takie pewne. Najpierw musimy ustalić tożsamość ofiary.

– Ale jak z nim porozmawiacie, to się dowie.

– Owszem, być może nie da się tego uniknąć.

Edgar podał Boschowi kolejne zdjęcie: Arthur stał obok wysokiego blondyna, który wyglądał jakby trochę znajomo. Bosch pokazał fotografię Sheili.

– To twój ojciec? Skąd ja go znam?

– Jest aktorem. A właściwie był. W latach sześćdziesiątych grywał w telewizji, a potem miał parę ról filmowych.

– Czy mogłabyś teraz odszukać swój akt urodzenia?

– Dobrze. Proszę zaczekać. – Wyszła do przedpokoju.

– To on, Harry – szepnął Edgar. – Nie mam wątpliwości.

Pokazał mu szkolne zdjęcie Arthura. Chłopiec był starannie uczesany, w granatowej marynarce, pod krawatem. Bosch wpatrywał się w niebieskie oczy chłopca. Przypomniało mu się zdjęcie sieroty z Kosowa, które znalazł w domu Nicholasa Trenta. Tak samo nieobecne spojrzenie.

– Znalazłam – oznajmiła Sheila Delacroix, wchodząc do pokoju. Rozłożyła poźółkły dokument.

Bosch spisał nazwiska, daty i numery ubezpieczeniowe jej rodziców.

– Dziękuję – rzekł. – Ty i Arthur mieliście tego samego ojca i matkę, czy tak?

– Oczywiście.

– Bardzo dziękujemy. Musimy już iść. Damy znać, gdy tylko coś ustalimy. – Wstał.

– Możemy pożyczyć te zdjęcia na jakiś czas? – spytał Edgar, podnosząc się z krzesła.

– Dobrze, skoro są wam potrzebne.

Ruszyli do drzwi. W progu Bosch zadał ostatnie pytanie:.

– Sheilo, czy ty zawsze tutaj mieszkałaś?

– Całe życie. Zostałam, na wypadek gdyby wrócił.

Skinął głową i ruszył na dwór w ślad za Edgarem.

BOSCH wszedł do muzeum. Zbliżył się do okienka, przedstawił i powiedział bileterce, że jest umówiony z doktorem Williamem Golliherem z laboratorium antropologicznego. Kobieta podniosła słuchawkę i wybrała numer.

Kilka minut później szedł przez słabo oświetlone sale. Nigdy wcześniej tu nie był, choć w dzieciństwie często odwiedzał asfaltowe wyrobiska La Brea. Muzeum zbudowano po to, by przechowywać i wystawiać znaleziska, które wypłuła ziemia. Wyrobiska były pradawną czarną jamą, w której przez długie stulecia ginęły zwierzęta. Na powierzchni asfaltu zbierała się woda.

Spragnione zwierzęta wchodziły do niej i grzęzły w smole. W posępnej reakcji łańcuchowej stawały się żerem dla innych, które spotykał ten sam los.

Zgodnie z pewnym naturalnym cyklem kości wypływały teraz z czarnej czeluści i były gromadzone przez współczesnych badaczy. Wszystko to działo się tuż obok jednej z najruchliwszych ulic Los Angeles, stanowiąc mrozące krew w żyłach przypomnienie, że nic nie oprze się upływowi czasu.

Kiedy po otrzymaniu karty szpitalnej Arthura Delacroix Bosch zadzwonił do Gollihera, ten powiedział mu, że ma przy sobie zdjęcia rentgenowskie oraz fotografie szczątków z Wonderland Avenue. Niech więc przyjeżdża z dokumentami, to będą mogli dokonać porównania.

Zatem Bosch ruszył do muzeum, Edgar zaś został w komendzie w Hollywood, żeby w komputerowej bazie danych odszukać matkę Arthura Delacroix oraz jego szkolnego kolegę, Johnny'ego Stokesa.

Boscha wprowadzono do zatłoczonego laboratorium, gdzie rozpoznawano, klasyfikowano, datowano i oczyszczano kości. Przy stanowiskach pracy uwijało się sześciu laborantów. Jediną osobą nienoszącą białego kitla był Golliher. Znów miał na sobie hawajską koszulę, tym razem z papugą, i pracował przy stole w odległym kącie. W skrzynce leżała czaszka.

– O, oficer Bosch! Jak się pan ma?

– W porządku. Co to?

– Jestem pewien, że rozpoznaje pan ludzką czaszkę. Razem z paroma kośćmi odzyskano ją dwa dni temu z asfaltu, który wydobyto przed trzydziestu laty, żeby zrobić miejsce pod budowę tego muzeum.

– Nie rozumiem. Jest... stara?

– Analiza radiochronologiczna wykazała, że ma pięć tysięcy lat.

Proszę spojrzeć. – Gollither wyjął czaszkę ze skrzynki. Przesunął palcem dokoła gwiaździstego pęknięcia w górnej części. – Wygląda znajomo, co?

– Uderzenie tępym narzędziem?

– Otóż to. Tak samo jak w pańskiej sprawie. Widzi pan? Tę kobietę zamordowano dziewięć tysięcy lat temu, a ciało najprawdopodobniej wrzucono do asfaltu, żeby ukryć zbrodnię. Ludzka natura się nie zmienia.

– Co pan chce przez to powiedzieć? Że dziewięć tysięcy lat temu grasował tutaj seryjny zabójca?

– Trudno orzec. Mamy tylko kości. – Gollither delikatnie włożył czaszkę z powrotem do drewnianej skrzynki. – Ma pan dokumenty ze szpitala?

Bosch postawił teczkę na stole, otworzył ją i wręczył Gollitherowi kopertę. Następnie wyjął zdjęcia pożyczone od Sheili Delacroix.

– Nie wiem, czy to panu pomoże – rzekł. – Podejrzewamy, że to ten dzieciak.

Antropolog szybko przejrzał fotografie. Następnie otworzył segregator i wydobyl z niego zdjęcie czaszki znalezionej przy Wonderland Avenue.

Przystawił zdjęcie do fotografii Artura Delacroix i wpatrywał się w nie na przemian przez długą chwilę. Wreszcie przesunął palcem po lewym łuku brwiowym chłopca i dokoła oka.

– Łuk brwiowy i uformowanie oczodołu – rzekł. – Są proporcjonalnie szersze. Patrząc na zdjęcie chłopca, widzimy, że budowa twarzy odpowiada temu, co mamy tutaj.

Bosch skinął głową.

– A teraz spójrzmy na rentgeny – zaproponował Gollither.

Zgarnął i odłożył zdjęcia, po czym poprowadził Boscha do drugiego stołu, w którego blat wmontowany był negatoskop. Otworzył kartę szpitalną i zaczął czytać historię choroby Artura Delacroix.

Bosch znał już treść tych dokumentów. Wynikało z nich, że 11 lutego 1980 roku o godzinie siedemnastej czterdzieści na ostry dyżur przywiózł chłopca jego ojciec, który twierdził, że znalazł syna nieprzytomnego po upadku z deskorolki. Wykonano operację neurochirurgiczną, bo powstało obrzmienie mózgu.

Chłopiec przebywał w szpitalu przez dziesięć dni, po czym został zabrany przez ojca. Dwa tygodnie później wrócił na zdjęcie klamer założonych po operacji. Nie było żadnej wzmianki o tym, by się skarżył na złe traktowanie w domu.

Gollither rzucił kartę szpitalną na stół, wziął do ręki zdjęcia rentgenowskie i położył je na negatoskopie. Obok nich umieścił zdjęcie czaszki z Wonderland Avenue. Włączył światło. Wpatrując się w trzy zdjęcia, sięgnął po leżący na półce okular.

Jeden koniec przystawił sobie do oka, drugi do obrazu znalezionej czaszki. Po chwili skupił się na jednym ze szpitalnych zdjęć, wybierając dokładnie to samo miejsce. Kilkakrotnie powtarzał tę czynność.

Wreszcie się wyprostował. Wskazał ręką zdjęcia.

– Przedstawiam panu Arthura Delacroix – rzekł.

– Jest pan pewien?

– W stu procentach. To on.

Bosch skinął głową. Gollither włożył zdjęcia szpitalne z powrotem do koperty i podał ją Boschowi. Ten schował kopertę do teczki.

– Doktorze, bardzo dziękuję, że poświęcił mi pan tyle czasu.

– Oficerze Bosch...

– Słucham?

– Miał pan niepewną minę, gdy wspomniałem wtedy o potrzebie wiary w to, co robimy.

– Nie jest mi łatwo o tym rozmawiać. Dlaczego interesuje pana, w co wierzę albo w co nie wierzę?

– Bo to dla mnie istotne. Badam kości. Konstrukcję, na której wznosi się życie. I wierzę, że jest coś więcej niż tylko krew, tkanki i kości. Jest coś, co stanowi spoiwo, coś, czego nigdy nie zobaczy pan na zdjęciu rentgenowskim. Dlatego kiedy spotykam kogoś, kto nosi pustkę w miejscu, w którym ja noszę swoją wiarę, boję się o niego.

Bosch patrzył na Gollithera długą chwilę.

– Myli się pan co do mnie, doktorze. Mam wiarę, mam poczucie misji.

Wierzę, że te kości nie bez powodu wyszły z ziemi. Wyszły po to, bym je odnalazł i bym coś z tym zrobił. Oto co jest moim spoiwem i co mnie napędza. W porządku?

Czekał na odpowiedź, lecz antropolog milczał.

– Muszę iść, doktorze – rzekł w końcu Bosch. – Dziękuję za pomoc.

Zostawił Gollithera w otoczeniu ciemnych kości, na których zbudowano miasto.

GDY BOSCH wrócił do biura sekcji zabójstw, miejsce Edgara przy stole było puste.

– Harry! – W drzwiach do swojego gabinetu stała porucznik Givers.

Wewnątrz siedział Edgar. Bosch odstawił teczkę i podszedł.

– Mamy tożsamość? – spytała, wpuszczając go do środka i zamykając drzwi.

Usiadła za swoim biurkiem, a on obok Edgara.

– Tak. To Arthur Delacroix. Zaginął czwartego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku.

– Biegli są tego pewni?

– Nasz antropolog mówi, że nie ma żadnych wątpliwości.

– Czy możemy precyzyjnie ustalić, kiedy nastąpiła śmierć?

– W miarę. Gollither twierdzi, że chłopak zginął mniej więcej trzy miesiące po operacji. Mamy kartę leczenia, z której wynika, że operację wykonano jedenastego lutego tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku w Szpitalu Królowej Aniołów. Dodajmy trzy miesiące i mamy datę. Według Sheili Delacroix jej brat zaginął czwartego maja. Kłopot w tym, że nie żył od czterech lat, kiedy w okolicy osiedlił się Nicholas Trent. To znaczy, że Trent był czysty.

– Irving i nasz rzecznik siedzą mi na karku od rana – powiedziała Givers. – Nie spodoba im się to.

– Ale tak to wygląda – odparł Bosch. – Nic nie poradzę.

– No dobra, a więc w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku Trent mieszkał gdzie indziej. Czy wiemy gdzie?

– Nie odpuścisz, co?

– Nie odpuszczę, bo i oni mi nie odpuszczają. Irving telefonował do mnie dziś rano. Postawił sprawę jasno. Jeśli się okaże, że niewinny człowiek popełnił samobójstwo z powodu przecieku do mediów, wizerunek wydziału znowu ucierpi.

– Czy to znaczy, że mamy teraz naginać fakty, by pasowały do naszych potrzeb?

– Nie mówię, Harry, żebyś cokolwiek naginał. Mówię tylko, że musimy mieć absolutną pewność.

– Mamy. A przynajmniej ja mam.

– No dobrze – westchnęła Givers. – Powiem Irvingowi o tożsamości i reszcie. Przedstawię, jak rozwija się śledztwo. Potem poproszę go, by ci z wewnętrznego poszperali w przeszłości Trenta. Jeśli Irvinga nie przekona to, co mamy na temat ofiary, niech jego ludzie ustalą, gdzie Trent mieszkał w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku.

Bosch patrzył na nią szklanym wzrokiem, nie dając po sobie niczego poznać.

– Możemy już iść? – spytał.

– Tak, możecie.

Wrócili i usiedli za stołem.

– Znalazłeś coś w komputerze? – odezwał się Bosch.

– To i owo. Po pierwsze, Samuel Delacroix faktycznie mieszka w Manchester Trailer Park. Znajdziemy go, jeśli będziemy chcieli z nim pogadać.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat dwukrotnie złapano go najeździe po pijanemu. Ma teraz warunkowe prawo jazdy.

– Dobra.

– Po drugie, Christine Dorsett Delacroix. Matka. Wprowadziłem do bazy jej numer ubezpieczenia i okazało się, że nazywa się teraz Christine Dorsett Waters. Mieszka w Palm Springs. Pewnie wyjechała, żeby zacząć od nowa. Nowe nazwisko, nowe życie i tak dalej.

Bosch skinął głową.

– Masz jakieś informacje o rozwodzie?

– Mam. Pozew złożyła w siedemdziesiątym trzecim. Chłopiec miał wtedy z pięć lat. Zrzuciła mężowi, że znęcał się nad nią fizycznie i psychicznie. Ale nie wiadomo, na czym to znęcanie się konkretnie polegało. Podczas sprawy rozwodowej tego nie wywleczono. Wygląda na to, że państwo Delacroix zawarli ugodę. Przejął opiekę nad dwójką dzieci, więc nie utrudniał jej sytuacji.

– A kumpel od deskorolki?

– Jego też znalazłem. Żyje i wciąż mieszka w tej okolicy. Wielokrotnie aresztowany za drobne kradzieże, kradzieże samochodów, włamania i posiadanie narkotyków. Pełny repertuar, i to jeszcze jako nieletni. Pięć lat temu żarty się skończyły i wylądował w Corcoran. Odsiedział dwa i pół roku i został zwolniony warunkowo.

– Dzwoniłeś do jego kuratora? Stokes ciągle jest pod nadzorem?

– Nie. Okres zwolnienia warunkowego upłynął dwa miesiące temu. Kurator nie wie, gdzie on teraz jest.

– Cholera. Ale co, myśli, że kręci się w Los Angeles?

Edgar skinął głową.

– Tak. Dałem znać Mankiewiczowi, że go szukamy. I kazałem rozdać zdjęcia patrolom.

– Dobrze. – Bosch był pod wrażeniem. Rozesłanie zdjęć osoby poszukiwanej do radiowozów było dodatkowym działaniem, którego Edgar na ogół nie podejmował.

– Dorwiemy go, Harry. Nie wiem, czy to nam coś pomoże, ale go na pewno dorwiemy.

– Może się okazać kluczowym świadkiem. Może Arthur, to znaczy ofiara, mówił mu, że ojciec go bił. To już byłoby coś.

Bosch spojrział na zegarek. Dochodziła druga.

– Co planujesz na wieczór? – spytał.

– Nic specjalnego. Bo co?

– Myślę, że dobrze byłoby pojechać do Springs i pogadać z eks-żoną.

Teraz Edgar zerknął na zegarek. Bosch zdawał sobie sprawę, że nawet jeśli wyruszą natychmiast, wrócą bardzo późno.

– Dobra, mogę jechać sam – rzekł. – Dawaj adres.

– Nie, pojedziemy obaj.

– Na pewno? Nie musisz, Jerry, naprawdę. Wiesz, ja po prostu nie lubię siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż coś samo się wydarzy.

– Wiem, Harry, wiem.

BYLI na środku pustyni, w połowie drogi do Palm Springs, gdy wreszcie przerwali milczenie.

– Aleś rozmowny – mruknął Edgar.

– Taa, wiem.

Jedną z cech ich współpracy były długie okresy uporczywego milczenia.

Bosch wiedział, że Edgar na ogół przerywa taką ciszę, gdy coś go trapi.

– Co jest, Jerry? Wal.

– Słyszałem o tobie i tej nowej. Rozniosło się.

Bosch skinął głową.

– Chcę ci tylko powiedzieć, żebyś uważał. Masz dużo do stracenia.

– Wiem. Jakoś sobie poradzę.

Po kilku minutach minęli tablicę, która informowała, że do Palm Springs pozostało piętnaście kilometrów. Nadciągał zmierzch.

Ulica, przy której mieszkała Christine Waters, znajdowała się na strzeżonym osiedlu o nazwie Mountaingate Estates. Kiedy Bosch podjechał do stróżówki, wyszedł z niej umundurowany ochroniarz. Spojrzał z uśmiechem na ich radiowóz.

– Trochę zbczyliście ze swojego rewiru – rzekł.

Bosch skinął głową.

– Chcielibyśmy porozmawiać z Christine Waters, Deep Waters Drive dwanaście.

– Chwileczkę. – Mężczyzna wrócił do środka i podniósł słuchawkę telefonu. Po chwili znów się pojawił i oparłszy obie dłonie o drzwi samochodu, rzekł:

– Ona chce wiedzieć, o co chodzi.

– Dowie się, gdy nas wpuści. To prywatna sprawa.

Ochroniarz wzruszył ramionami i znów zniknął w stróżówce. Przez dłuższą chwilę rozmawiał przez telefon. Potem odłożył słuchawkę i brama zaczęła się powoli otwierać. Machnął ręką, by przejechali.

Okazało się, że Christine Waters mieszka w okazałej nowoczesnej willi przy

ślepej uliczce na samym końcu osiedla.

Wysiedli i podeszli do podwójnych drzwi. Zanim zdążyli zadzwonić, otworzyła je kobieta w stroju pokojówki. Powiedziała, że pani Waters oczekuje w salonie.

Salon wielkością i atmosferą przypominał małą katedrę, a pod wysokim sklepieniem biegły belki sufitowe. Na środku kremowej kanapy siedziała kobieta o jasnych włosach i niebieskich oczach.

– Dzień dobry pani. Oficer śledczy Bosch, a to oficer Edgar. Jesteśmy z policji w Los Angeles.

– Proszę spocząć – powiedziała. – O co chodzi?

Bosch usiadł na drugiej kanapie, dokładnie naprzeciwko.

– Musimy zapytać panią o męża.

– Mój mąż nie żyje od pięciu lat. Poza tym rzadko bywał w Los Angeles. Cóż, na Boga...

– O pani pierwszego męża, Samuela Delacroix. Chcemy również porozmawiać o pani dzieciach.

W jej oczach pojawiła się czujność.

– Nie widziałam ich ani z nimi nie rozmawiałam od prawie trzydziestu lat.

– To znaczy odkąd wyszła pani do apteki po lekarstwa dla syna i zapomniała pani wrócić? – spytał Edgar.

Spojrzała na niego, jakby uderzył ją na odlew w twarz.

– Nie rozumiem tego. Jak mnie znaleźliście? Po co tu jesteście? – Mówiła coraz bardziej podniesionym, rozemocjonowanym głosem. Życie, które porzuciła trzydzieści lat temu, brutalnie wkroczyło w jej obecny, starannie uporządkowany świat.

– Proszę pani, jesteśmy policjantami z sekcji zabójstw. Prowadzimy śledztwo, które być może dotyczy pani męża. Jesteśmy...

– On nie jest moim mężem. Rozwiodłam się z nim co najmniej dwadzieścia pięć lat temu. To obłąd. Żegnam panów.

– Pani syn nie żyje – wypalił Edgar. – Ten, którego zostawiła pani przed trzydziestu laty. Zatem może jednak odpowie pani na nasze pytania?

Dawne wspomnienia zamglily jej oczy.

– Arthur...

– Owszem, Arthur.

Przez długą chwilę patrzyli na nią w milczeniu. Nowina wyraźnie sprawiła jej ból. Wielki ból. Bosch widział to wcześniej wielokrotnie. Przeszłość potrafi bez uprzedzenia dopaść człowieka. Wskoczyć jak spod ziemi. Wyjął notatnik.

„Przyhamuj” – nabazgrał pospiesznie na kartce i podał notes Edgarowi.

– Jerry, może ty będziesz zapisywał? – rzekł. – Pani Waters na pewno chętnie odpowie na pytania.

Jego głos wyrwał ją z zadumy.

– Co się stało? Czy to Sam?

– Nie wiemy. Dlatego do pani przyjechaliśmy. Arthur nie żyje od bardzo dawna. W zeszłym tygodniu znaleziono jego szczątki.

Powoli przyłożyła zaciśniętą pięść do ust. I zaczęła nią lekko uderzać w wargi.

– Od jak dawna?

– Od dwudziestu pięciu lat. To dzięki zgłoszeniu od pani córki zidentyfikowaliśmy szczątki.

– Sheila. – Zabrzmiało to tak, jak gdyby od lat nie wypowiadała tego imienia i teraz uczyła się go na nowo.

– Proszę pani, Arthur zaginał w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku. Czy pani o tym wiedziała?

– Nie było mnie już wtedy. Odeszłam prawie dziesięć lat wcześniej.

Nie mogłam ich zabrać ze sobą. Naprawdę. Byłam młoda i nie potrafiłam udźwignąć... Udźwignąć tej odpowiedzialności. Uciekłam. Przyznaję, że uciekłam.

Bosch pokiwał głową. Nie miało znaczenia, że w duchu odczuwał sprzeciw. Jego własna matka również zbyt wcześnie zaszła w ciążę, a jednak mimo trudów troszczyła się o niego z determinacją, która potem stanowiła dla niego źródło siły.

– W pozwie rozwodowym napisała pani, że przyczyną rozpadu małżeństwa jest to, iż mąż się nad panią znęcał. Chcę, by opowiedziała nam pani o tym. Na czym polegało to znęcanie się?

– A jak myślicie? Sam lubił mi przyłożyć. Kiedy sobie wypił, byle co wyprowadzało go z równowagi. I zawsze na mnie się skrupiało. Stał się potworem.

– I zostawiła pani dzieci na łasce potwora? – spytał Edgar.

Patrzyła na niego martwym wzrokiem tak uporczywie, że w końcu odwrócił oczy.

– Kim pan jest, żeby mnie osądzać? Musiałam jakoś przetrwać, a nie mogłam ich zabrać ze sobą. Gdybym próbowała, nikt z nas by nie przeżył. – Spoglądając na Boscha, dodała: – Tylko z panem będę rozmawiać.

– Jak pani sobie życzy. Wiem, że chce nam pani pomóc, abyśmy odnaleźli zabójcę syna. Spróbujemy się streszczać. Proszę nam opowiedzieć o byłym mężu.

– Poznałam go na kursie teatralnym. Miałam osiemnaście lat. Był o siedem lat starszy ode mnie, pracował już trochę w filmie, a na dodatek był bardzo przystojny.

Szybko mnie oczarował. Zanim skończyłam dziewiętnaście lat, zaszłam w ciążę. Pobraliśmy się i urodziłam Sheilę. Nie robiłam kariery. Cieszyłam się, że mogę być w domu.

– Pani mąż był wziętym aktorem?

– Z początku tak. Miał stałą rolę w „Pierwszej piechocie”. Widział pan?

Bosch skinął głową. Był to serial telewizyjny o drugiej wojnie światowej, emitowany pod koniec lat sześćdziesiątych. Lubił go jako dziecko.

– Sam grał jednego z Niemców, bo miał jasne włosy i w ogóle aryjski typ urody. Występował w tym serialu przez dwa lata. Wtedy ponownie zaszłam w ciążę. A potem serial przerwano z powodu tej głupiej wojny w Wietnamie. Sam miał kłopoty ze znalezieniem pracy. Przez całe dni chodził na przesłuchania, ale wracał z niczym. A nocami pił i wściekał się na mnie.

– Czy to znaczy, że stosował wobec pani przemoc?

– Stosował przemoc? To brzmi tak urzędowo, ale owszem, stosował, i to wiele razy.

– Czy kiedykolwiek widziała pani, żeby bił dzieci?

Było to najważniejsze pytanie; w gruncie rzeczy przyjechali po to, by je zadać. Wszystko inne stanowiło tło.

– Właściwie nie – odparła. – Kiedy byłam w ciąży z Arthurem, uderzył mnie raz. W brzuch. Wody odeszły. Urodziłam półtora miesiąca za wcześnie. Arthur ważył niewiele ponad dwa kilogramy.

Bosch milczał. Opowiadała coraz chętniej, wystarczyło jej tylko nie przerywać.

– Arthur był malutkim dzieckiem – ciągnęła – i bardzo chorowitym. Nigdy o tym otwarcie nie rozmawialiśmy, ale oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że to, co Sam wtedy zrobił, zaszkodziło naszemu dziecku. Że stąd te problemy.

– Nigdy nie widziała pani, żeby bił dzieci?

– Nigdy. To ja byłam jego workiem treningowym.

Bosch skinął głową. „Gdy od niego odeszłaś, być może musiał znaleźć sobie nowy” – dopowiedział w myśli.

– Czy mój mąż... czy Sam został aresztowany?

– Nie. Na razie jesteśmy na etapie zbierania informacji. Z badań, którym poddano szczątki pani syna wynika, że był nieustannie maltretowany fizycznie. Próbuje więc ustalić fakty.

– A Sheila? Czy ona...?

– Nie zadaliśmy jej tego pytania. Ale zadamy. Czy mąż bił panią gołymi rękoma?

– Czasem używał różnych przedmiotów. Pamiętam, że raz był to but.

Obezwładnił mnie na podłodze i okładał butem. A innym razem rzucił we mnie swoją teczką. – W jej głosie mimo upływu wielu lat pobrzmiwała silna gorycz.

– Czy kiedykolwiek korzystała pani z pomocy lekarskiej albo przebywała z tego powodu w szpitalu? Czy są jakieś dokumenty potwierdzające te akty przemocy?

Pokręciła głową.

– Nigdy nie pobił mnie na tyle mocno, bym musiała korzystać z pomocy lekarza. Z wyjątkiem tego razu, gdy uderzył mnie w brzuch. Gdy byłam w ciąży. Wtedy skłamałam.

– Czy zaplanowała pani odejście od męża, czy stało się to nagle, spontanicznie?

– Tamtego wieczoru zabrałam tylko portmonetkę i to, co miałam na sobie. Wzięłam samochód, który mój ojciec dał nam w prezencie ślubnym.

To wszystko. Miałam tego dość. Powiedziałam Samowi, że musimy iść po lekarstwa dla Arthura. On akurat pił. Odparł, żebym sama poszła.

– I pani poszła. I już nigdy nie wróciła.

– Nigdy.

Bosch pokiwał głową. Wyczerpał listę pytań.

– Kiedy będzie pogrzeb Arthura?

– Nie wiem. Musi pani zadzwonić do zakładu medycyny sądowej i tam spytać. – Bosch wstał. – To chyba wszystko, proszę pani. Dziękujemy za współpracę.

Do KOMENDY wrócili tuż przed jedenastą. Mieli za sobą szesnastogodzinny dzień pracy, mało owocny pod względem gromadzenia dowodów przydatnych do aktu oskarżenia, niemniej Bosch był zadowolony. Ustalili bezsprzecznie tożsamość ofiary, a to stanowiło sedno sprawy. Z którego wyniknie cała reszta.

Edgar pożegnał się i wszedł do swojego samochodu. Bosch postanowił zajrzeć do oficera dyżurnego, by dowiedzieć się, czy odnaleziono Johna Stokesa. Być może czekały też na niego nowe wiadomości. Poza tym o jedenastej pracę kończyła Julia Brasher, a on chciał z nią porozmawiać.

W komendzie panowała cisza. Ruszył korytarzem do sali, po czym zapalił światło nad stołem. Leżały tam dwie koperty. W pierwszej znajdował się oficjalny raport Gollihera; Bosch odłożył dokument na bok. Wziął drugą kopertę, którą przysłano z wydziału kryminalistyki. Uświadomił sobie, że zapomniał zatelefonować do Antoine’a Jespera w sprawie deskorolki.

Już miał otworzyć kopertę, gdy zauważył, że pod spodem leży złożona kartka. Zajrzał do niej. „Gdzie jesteś, twardzielu?” – przeczytał. Domyślił się, że to od Julii Brasher.

Fakt, przecież poprosił ją, by wpadła do biura przed rozpoczęciem pracy! Uśmiechnął się na widok kartki, ale było mu głupio, że zapomniał.

Złożył liścik i schował go do szuflady. Zastanawiał się, jak Julia zareaguje na to, o czym chciał z nią porozmawiać.

W kopercie z wydziału kryminalistyki był jednostronicowy raport. Jesper potwierdził, że deskorolka została wykonana przez firmę Boneyard Boards z siedzibą w Huntington Beach. Ten konkretny model nosił nazwę Boney Board i był w sprzedaży od lutego 1978 do czerwca 1986 roku.

Lecz nim Bosch zdążył się ucieszyć, że istnieje zbieżność między okresem, w którym wyprodukowano deskorolkę a domniemanym czasem zabójstwa Arthura Delacroix, przeczytał ostatni akapit:

Tracki (uchwyty do mocowania kółek) mają konstrukcję wprowadzoną do produkcji przez Boneyard w maju 1984 roku. Również materiał, z którego wykonano kółka – grafit – wskazuje, że to dość późny wyrób. Ponieważ jednak tracki i kółka są elementami wymiennymi, często zastępowanymi przez użytkowników nowszymi modelami, nie da się dokładnie określić daty produkcji samej deskorolki. Wobec braku dodatkowych świadectw można jedynie przyjąć, że wykonano ją pomiędzy lutym 1978 a czerwcem 1984 roku.

Wedle oceny Boscha z analizy Jespera wynikało, iż deskorolka nie należała do Arthura Delacroix, a zatem Nicholas Trent nie miał nic wspólnego ze śmiercią chłopca. Postanowił, że rano napisze raport dla porucznik Givers, by ta przekazała go zastępcy komendanta głównego.

Zajrzał do oficera dyżurnego i spytał o Stokesa. Niestety, dotąd go nie namierzono. Następnie pogasił światła i przez tylne drzwi wyszedł na parking.

Nie wiedział, czy Julia jest jeszcze w szatni, czy pojechała już do domu.

Dopiero gdy wypatrzył jej samochód na parkingu, zorientował się, że się nie spóźnił. Ruszył w kierunku „Kodu 7” i nagle zobaczył, że ona siedzi na ławce. Włosy wciąż miała wilgotne po natrysku.

– Powiedzieli mi, że jesteś w komendzie – rzekła. – Zajrzałam do was, ale było ciemno, więc pomyślałam, że się minęliśmy.

Bosch usiadł obok. Miał wielką ochotę jej dotknąć, przytulić, lecz się powstrzymał.

– Prawie wszyscy już o nas wiedzą, prawda? – spytała.

– Owszem. Chciałem o tym z tobą porozmawiać. Masz może ochotę na drinka?

– Pewnie.

– To chodź, przejdziemy się do „Kota ze Skrzypcami”.

Dotarłszy na miejsce, zajęli jeden ze stolików przy kominku i zamówili guinnessa. Julia założyła ręce na piersi i wbiła spojrzenie w Boscha.

– No dobra, Harry, wal. Ale ostrzegam: jeżeli chcesz zaproponować, byśmy zostali przyjaciółmi, to ja już mam przyjaciół.

Mimo woli uśmiechnął się szeroko. Uwielbiał jej odwagę, jej bezpośredniość. Wyciągnął rękę nad stołem i uściśnął jej ramię.

– Wiesz, czego chcę? – spytał. – Chcę być z tobą. Ale musimy postępować ostrożnie. To źle, że twoje auto stało przez całą noc na policyjnym parkingu.

Odczekał, bo kelnerka postawiła przed nimi kufle piwa.

– Musimy zejść do podziemia – ciągnął, kiedy odeszła i znów zostali sami. – Żadnych więcej spotkań na ławce, żadnych liścików na biurku. Nie możemy się spotykać nawet w tej knajpie, bo tu przychodzi mnóstwo gliniarzy.

– Mówisz, jakbyśmy byli szpiegami.

Bosch wziął do ręki kufel i pociągnął spory łyk.

– Szpiegami, mówisz. Prawie. Zapominasz, że robię w tym fachu od ponad dwudziestu pięciu lat. A ty jesteś nowa, złotko. Mam więcej wrogów w tym wydziale, niż ty dokonałaś aresztowań. Rzecz w tym, że jeżeli będą musieli załatwić nowicjuszkę, by mnie się dobrać do tyłka, nie zawahają się ani chwili.

Wyciągnęła szyję i rozejrzała się na boki.

– Dobra, zrozumiałam, agencie 0045.

– Taa, tobie się wydaje, że to żarty.

– Przestań, wcale nie myślę, że to żarty. Tylko mam dobrą zabawę. Bo strasznie się przejmujesz.

– Próbuję cię chronić, to wszystko. Ja przepracowałem dwadzieścia pięć lat, więc dla mnie to już bez znaczenia.

– Co masz na myśli? Czasem słyszę takie gadanie.

– Po przepracowaniu dwudziestu pięciu lat nabywasz prawa emerytalne. Nie ma więc znaczenia, czy odchodzisz po dwudziestu pięciu czy po trzydziestu pięciu latach. Dostajesz to samo. Zatem „dwadzieścia pięć”, moja droga, oznacza, że masz luz. Jak coś ci się nie podoba, możesz powiedzieć „chrzanię was” i zająć się pieleniem ogródka. Nie robisz już tego dla forsy.

– To dlaczego ty to robisz?

Wzruszył ramionami.

– Dla samej roboty, jak mi się wydaje. Nie ma w tym nic wielkiego, nic heroicznego. To tylko szansa, żeby raz na jakiś czas coś poprawić w tym popieprzonym świecie. Tak jak w tej sprawie, którą teraz prowadzę.

– Czyli?

– Jeśli uda nam się złożyć to wszystko do kupy, może w minimalnym chociaż stopniu naprawimy krzywdy, których doświadczył ten chłopiec.

Myślę, że to ważne. Nie wiem. Może na dłuższą metę to nie ma znaczenia. Terrorysty samobójcy atakują Nowy Jork i trzy tysiące ludzi ginie w okamgnieniu. Co więc znaczy mała kupka kości zakopana w ziemi wiele lat temu?

Uśmiechnęła się słodko.

– Liczy się to, że jest ważna dla ciebie, Harry. A jeśli jest dla ciebie ważna, musisz zrobić wszystko, co w twojej mocy. Bohaterowie zawsze są potrzebni. Mam nadzieję, że pewnego dnia też będę mogła zostać jednym z nich.

Kiwnął głową.

– Pamiętasz tę reklamę telewizyjną ze starszą panią, która leży na ziemi i mówi: „Upadłam i nie mogę wstać”? Wszyscy się z tego śmiali.

– Pamiętam.

– No więc, czasem tak się czuję. Ale potem pojawia się jakaś sprawa i mówię sobie: „Oto szansa, bym stanął na nogi”.

– To się nazywa zbawienie. Ta sprawa to twoja szansa, tak?

– Tak, chyba tak. Mam nadzieję.

– No więc, wypijmy za zbawienie. – Wzniosła kufel.

– Jedziesz dziś ze mną? – spytał.

Pokręciła głową.

– Nie, nie jadę z tobą.

Miał zawiedzioną minę.

– Jadę za tobą – rzekła. – Już zapomniałeś? Nie mogę zostawiać tutaj auta na noc.

Rozpromienił się. Piwo i jej uśmiech działały na niego cudotwórczo

8

WIĘKSZOŚĆ następnego ranka Bosch i Edgar spędzili na uzupełnianiu „księgi zabójstwa”. Wczesnym popołudniem zadzwonił telefon.

W słuchawce zabrzmiał głos oficera dyżurnego.

– Cześć, Bosch, co robisz? – spytał Mankiewicz.

– Nic ciekawego.

– No właśnie. Obijasz się, a my odwalamy czarną robotę.

– Znalezliście Johna Stokesa?

– Na to wygląda.

– Gdzie?

– Pracuje w Washaterii. – Była to myjnia samochodowa w La Brea.

– Kto go wypatrzył?

– Nasi z obyczajówki. Chcą wiedzieć, czy mają go zgarnąć, czy chcesz sam się tym zająć.

– Niech czekają spokojnie. Już jedziemy. Macie jakiś patrol, który by nas wsparł na wypadek, gdyby Stokes próbował uciec?

– Paru ludzi z drugiej zmiany zaczyna wcześniej. Za kwadrans powinni już być na służbie.

– Świetnie. Powiedz im, że spotkamy się z nimi na parkingu Checkers w La Brea i Sunset. Ci z obyczajówki niech też tam będą.

– Mmm... jedna rzecz – mruknął Mankiewicz. – W tym patrolu, który wam podeślę, jest Brasher. Czy to problem?

Bosch miał ochotę poprosić Mankiewicza, żeby wziął kogoś innego, wiedział jednak, że jeżeli z powodów osobistych będzie próbował wpływać na dobór funkcjonariuszy, narazi się na krytykę i najprawdopodobniej na kolejne dochodzenie wydziału wewnętrznego.

– Nie, żaden.

– Słuchaj, normalnie bym tego nie zrobił, ale kobitka jest zielona. Popęłniła ostatnio parę błędów. Przyda jej się takie doświadczenie.

– Mówię ci, że nie ma problemu.

MYJNIĘ z trzech stron otaczał betonowy mur. Od frontu rozciągał się duży plac ograniczony półtorametrową ścianą retencyjną, a na jej końcach znajdował się wjazd i wyjazd.

Plan zgarnięcia Stokesa był prosty. Funkcjonariusze obyczajówki, Eyman i Leiby, obstawili wjazd do myjni, a Brasher i Edgewood pilnowali wyjazdu. Bosch i Edgar zamierzali przyjechać do myjni, udając klientów, i zwinąć faceta. Przystawili radiostacje na częstotliwość taktyczną i opracowali kod: „czerwony” oznaczał, że Stokes ucieka, a „zielony” – że zatrzymanie przebiegło bezproblemowo.

W milczeniu mszyli do myjni. Przy krawężniku Bosch zauważył samochód obyczajówki. Nieco dalej, w głębi ulicy, pośród zaparkowanych aut stał radiowóz.

– Dobra, wjeżdżamy – rzekł przez radiostację.

Edgar wprowadził samochód na stanowisko obsługi. Bosch zaczął lustrować pracowników: wszyscy byli w pomarańczowych kombinezonach i czapkach z daszkiem. Jednak prawie natychmiast wypatrzył Stokesa.

– Jest – powiedział do Edgara. – Gotowy?

– Tak, do dzieła.

Bosch wysiadł. Stokes znajdował się w odległości dwudziestu pięciu kroków. Odwrócony plecami, przykucnięty, spryskiwał czymś koła czarnego bmw.

Byli już blisko, gdy zostali rozpoznani przez innych pracowników, z których niejeden miał wcześniej zatarg z prawem.

– Władza przyszła się umyć! – zawołał ktoś.

Ostrzeżony, Stokes zerwał się na nogi. Bosch ruszył biegiem. Zostało jeszcze pięć kroków, ale mężczyzna zorientował się, że to o niego chodzi. Droga ucieczki prowadziła w lewo, ku bramie wjazdowej, lecz była zablokowana przez czarne bmw. Stokes rzucił się więc w prawą stronę, ale nagle przystanął, bo zdał sobie chyba sprawę, że znajdzie się w pułapce.

– Stój, stój! – zawołał Bosch. – Chcemy tylko pogadać.

Stokes się skulił. Bosch zbliżył się do niego, Edgar zaś na wszelki wypadek zaszedł go z prawej.

– Policja. Musimy tylko zadać ci kilka pytań na te...

Mężczyzna uniósł rękę i puścił Boschowi w twarz strumień rozpylonego preparatu do czyszczenia opon. Potem rzucił się w prawo, gdzie mur myjni łączył się ze ścianą dwupiętrowego budynku mieszkalnego.

Bosch słyszał krzyk Edgara ścigającego Stokesa. Oślepiony, zacisnął kurczowo powieki.

– Czerwony, czerwony! – wrzasnął do krótkofalówki. – Ucieka na tył!

Rzucił urządzenie i rękawem otarł piekące oczy. Zamrugał powiekami.

Dostrzegł szlauch owinięty wokół hydrantu. Podszedł, odkręcił kran i spryskał twarz wodą. Po chwili na tyle odzyskał wzrok, że mógł się swobodnie poruszać.

Podniósł krótkofalówkę i przestawił ją na częstotliwość używaną przez radiowozy.

– Do wszystkich jednostek: ścigamy zbiega, który napadł na funkcjonariusza. La Brea i Santa Monica. Biały mężczyzna, trzydzieści pięć lat, brunet, pomarańczowy kombinezon. Widziany w pobliżu Hollywood Washateria.

Następnie z powrotem przełączył się na częstotliwość taktyczną.

– Jak wygląda sytuacja?

Zgłosił się tylko Edgar.

– W murze z tyłu była dziura. Wbiegł w zaułek. Jest teraz na osiedlu tych apartamentowców po północnej stronie.

– Gdzie reszta naszych?

Rozległy się trzaski. Edgar był już prawie poza zasięgiem.

– ...na... otoczyć... parking... czujesz, Harry?

– Przeżyję. Wsparcie w drodze.

Bosch pobiegł na tył myjni, odnalazł dziurę w murze i szybko prześlizgnął się na zewnątrz. Ruszył w głąb uliczki. Przy wjeździe na podziemny parking największego apartamentowca stał radiowóz. Przypomniawszy sobie litanię grzechów wyliczoną przez Edgara, Bosch domyślił się, że Stokes uciekł na parking. Jego jedyną szansą był samochód.

Wbiegając do ciemnych podziemi, wy dobył pistolet z kabury. Z niższego poziomu doleciał tupot stóp. Natychmiast ruszył w tamtą stronę. Gdy znalazł się piętro niżej, usłyszał nagle piskliwy okrzyk z przeciwległego końca. To była Brasher.

– Nie ruszaj się!

Rzucił się w tamtą stronę. Zgodnie z zasadami powinien zawołać, uprzedzić ją, że nadbiega, wiedział jednak, że jeśli jest sama, jego okrzyk może spowodować chwilę nieuwagi, co Stokes mógłby wykorzystać, by uciec lub nawet ją zaatakować.

Przecinając podjazd, zobaczył ich w odległości piętnastu metrów. Stokes stał twarzą do ściany, rozkraczony, z rozpostartymi rękami. Brasher trzymała rękę na jego plecach. Obok jej prawej nogi leżała latarka, oświetlając ścianę.

Wykonane podręcznikowo. Bosch poczuł przemożną ulgę, że Julii nic się nie stało. Zwolnił kroku i opuścił broń. Znajdował się bezpośrednio za nimi. Nagle zauważył, że Brasher cofa rękę, odsuwa się o krok i rozgląda na boki. Błąd! – pomyślał machinalnie, wiedząc, że to szansa dla Stokesa, by znów rzucić się do ucieczki.

Wtedy wszystko zaczęło się toczyć w zwolnionym tempie. Bosch krzyknął do Brasher, lecz raptem błysk rozjaśnił mrok i huknął donośny strzał. Brasher runęła

na beton. Stokes stał nieruchomo.

Bosch myślał tylko o jednym. Skąd padł strzał?

Podniósł broń, uginając nogi. Zobaczył, że Stokes rzuca się do ucieczki. Potem ujrzał wyciągniętą rękę Julii, broń wycelowaną w biegnącego Stokesa. Bosch wymierzył z glocka.

– Stój!

– Nie strzelaj! – wrzasnął Stokes. – Nie strzelaj!

– Na ziemię! Na ziemię, już!

Mężczyzna padł na brzuch i rozłożył ręce na boki. Bosch stanął nad nim i ruchem wykonywanym tysiące razy założył mu błyskawicznie kajdanki.

Potem schował broń do kabury i odwrócił się do Brasher. Miała otwarte, rozbiegane oczy. Koszula na piersi przesiąkła krwią. Ukląkł obok i rozdarł koszulę. Krwi było tak dużo, że przez chwilę nie mógł dojrzeć rany. Kula trafiła Julię w lewe ramię, zaledwie dwa centymetry od paska kamizelki kuloodpornej.

Bładła coraz bardziej. Rozejrzał się i zobaczył, że z tylnej kieszeni spodni Stokesa sterczy szmata. Wyrwał ją i przycisnął do rany. Brasher jęknęła z bólu.

– Julio, muszę zatamować krwawienie – powiedział.

Ściągnął z szyi krawat, wsunął go pod jej ramię i przełożył od góry. Następnie zawiązał supeł na tyle mocno, by szmata się nie zsunęła. Wziął do ręki krótkofalówkę.

– Uwaga, ranna policjantka, niższy poziom parkingu w apartamentowcu w La Brea. Potrzebna karetka, szybko! Zbieg został zatrzymany.

Przełączył się na częstotliwość taktyczną.

– Edgar, Edgewood, jesteśmy na parkingu, dolny poziom. Brasher oberwała. Stokes obezwładniony. Powtarzam, Brasher oberwała.

– To nie ja! – krzyknął Stokes.

– Zamknij się!

Bosch zdjął marynarkę i podłożył ją Julii pod głowę. Krew odpłynęła jej z warg.

– Karetka jest w drodze, trzymaj się.

Wyjął broń spod jej palców i położył ją na betonie, z dala od Stokesa. A potem wziął jej rękę w obie dłonie.

– Co się stało? Powiedz mi, co się stało, do cholery?

Otworzyła usta, lecz zaraz zacisnęła je z powrotem. Rozległ się tupot nóg. Po chwili nadbiegli Edgar i Edgewood.

– Julia! – zakrzyknął Edgewood. – Och, ty! – zawył i kopnął z całej siły Stokesa w bok.

– Co robisz?! – wrzasnął Bosch. – Odwal się od niego! Jerry, weź go na górę i sprowadźcie lekarza. Szybko!

Jak na zamówienie z ulicy dobiegło wycie syren. Edgar i Edgewood popędzili z powrotem do wyjścia.

Bosch odwrócił się do Brasher. Była śmiertelnie blada. Objawy wstrząsu pourazowego. Nic nie rozumiał, przecież to tylko postrzał w ramię.

Obejrzał dokładniej jej ciało, ale nie znalazł innych obrażeń.

– Trzymaj się, Julio, trzymaj. Dasz radę. Słyszysz? Lekarz zaraz tu będzie. Trzymaj się.

Otworzyła usta.

– On... chwycił... Chciał...

– Ćśśś, ćśśś. Nic nie mów. Trzymaj się, trzymaj.

Po chwili czerwona poświata zaczęła skakać po ścianach. Tuż obok zahamował ambulans. Za nim nadjechał radiowóz.

– Boże, nie, błagam – jęknął Stokes.

Podbiegł wreszcie lekarz. Bosch już chciał się odsunąć, lecz Brasher nagle złapała go za ramię i przyciągnęła do siebie. Mówiła ledwo słyszalnym głosem:

– To nie... ja nie... Harry, nie pozwól im...

Lekarz założył jej maskę tlenową na twarz, tłumiąc resztę słów.

Podeszło dwóch umundurowanych policjantów. Bosch natychmiast ich rozpoznał: tamtego wieczoru rozmawiali z Julią na parkingu. Jej koledzy.

– Zabierzemy go do komendy – powiedział jeden z nich.

Bosch postawił Stokesa na nogi.

– Nie – odparł – jest mój.

– Pan musi poczekać na naszych z sekcji kontrolnej.

Mieli słuszną rację. Funkcjonariusze z sekcji kontrolnej wyjaśniali każde zdarzenie, w którym dochodziło do strzelaniny z udziałem policjanta.

W tym wypadku on będzie głównym świadkiem. Nie zamierzał jednak oddawać Stokesa w ręce ludzi, którym nie ufał.

Ruszył z nim w kierunku wyjścia.

– Słuchaj, Stokes, zamknę cię w pokoju i masz z nikim nie gadać oprócz mnie. Zrozumiano?

– Tak, tak, tylko mnie im nie wydaj.

Edgar czekał na chodniku.

– Gdzie masz samochód? – spytał Bosch.

– W myjni.

- Idź po niego. Zabieramy Stokesa do nas.
- Harry, nie możemy odjechać z miejsca...
- Widziałeś, co zrobił Edgewood? Musimy zawieźć tego gnoja w bezpieczne miejsce. Idź po samochód.

BOSCH i Edgar wprowadzili Stokesa do pokoju przesłuchań numer 3.

Przykuli go kajdankami do stalowej obręczy przymocowanej do stołu.

– Czekaj tu – rzekł Bosch i wyszedł z Edgarem.

Zerknął na kolegę.

– Słuchaj, wracam, żeby z nim pogadać o Arthurze Delacroix, zanim ci z sekcji kontrolnej tu wpadną i go nam zabiorą. Jak przyjdą, spróbuj ich trochę przetrzymać.

– Jasne. A w sobotę lewą ręką pobiję Tysona.

– Taa, wiem.

Bosh już miał wejść do pokoju, gdy uświadomił sobie, że nie odzyskał dyktafonu od Carol Bradley z wydziału wewnętrznego. Musi przecież nagrać przesłuchanie Stokesa! Wszedł do kabiny technicznej, włączył kamerę i magnetowid w pokoju numer 3, wrócił tam, zamknął drzwi na klucz i usiadł naprzeciw Stokesa.

Wydawało się, że w oczach mężczyzny nie ma ani isierki życia. Harry zdawał sobie sprawę, że przelanie krwi policjanta wyzwala w jego kolegach mordercze instynkty. W takiej sytuacji niejedyn podejrzany został zastrzelony podczas „ucieczki” z pokoju przesłuchań. To była oficjalna wersja dla środków przekazu.

– Uspokój się i nie rób nic głupiego – rzekł Bosch. – Nie fikaj tamtym, bo cię ukatrupią. Gdybym ja chciał cię załatwić, zrobiłbym to od razu, na parkingu. Kapujesz?

Stokes pokiwał głową.

– Chcę zawrzeć z tobą mały układ. Pamiętasz, że dostałeś kopniaka w zębra, co? Dobijmy targu. Ty zapomnisz o tym kopniaku, a ja zapomnę, że spryskałeś mi oczy jakimś świństwem.

Mężczyzna znów skinął głową.

– Co to da? – jęknął. – I tak powiedzą, że to ja do niej strzelałem. Ja...

– Wiem, że to nie ty. I powiem im, co widziałem.

– To dobrze – westchnął cicho Stokes.

– Zaczniemy więc od początku. Dlaczego uciekałeś?

– Bo na tym polega moje życie. Ciągle uciekam. Ja jestem byłym skazańcem, a wy policjantami. No to uciekam.

Bosch kiwnął głową.

– Opowiedz mi o Arthurze Delacroix – rzekł.

– Człowieku, to było...

– Dawno temu, wiem. Dlatego pytam.

– A co z nim? Minał szmat czasu!

– Opowiedz mi o tym, jak zaginał.

Stokes popatrzył na swoje skute ręce.

– Nie pamiętam tego.

– Postaraj się. Dlaczego zaginał?

– Nie wiem. Pewnie nie wytrzymał i uciekł.

– Mówił ci, że chce uciec?

– Nie. Po prostu jednego dnia zniknął i nigdy więcej go nie widziałem.

– Mówiłeś przed chwilą, że nie wytrzymał i uciekł. Czego nie wytrzymał? Miał kłopoty w domu?

Stokes się roześmiał.

– A kto ich nie ma, człowieku?!

– Czy się nad nim znęcano? Fizycznie?

Znowu śmiech.

– A nad kim się nie znęcają? Mój stary wołał mnie zdzielić przez łeb, niż pogadać. Jak miałem dwanaście lat, rzucił we mnie puszką piwa, bo zjadłem taco, które on chciał zjeść. Dlatego mnie zabrali od niego.

– To naprawdę przykre, ale rozmawiamy o Arthurze Delacroix. Czy mówił ci kiedykolwiek, że ojciec go bije?

– Nie musiał, człowieku. Widziałem przecież sińce.

– To pewnie od jeżdżenia na deskorolce. Upadał często.

Stokes pokręcił głową.

– Artie za dobrze jeździł, żeby się potłuc.

Rozległo się ostre pukanie do drzwi.

– Bosch, tu porucznik Gilmore z sekcji kontrolnej! Proszę otworzyć!

Stokes szarpnął się do tyłu.

– Nie! Nie pozwól im...

Bosch chwycił go za kołnierz.

– To ważne! Czy Arthur ci mówił, że ojciec go bił?

– Rany, człowieku, obroń mnie, a powiem, co tylko chcesz.

– Chcę, żebyś powiedział prawdę.

Drzwi się otwarły – najwyraźniej wzięto klucze od oficera dyżurnego.

Weszło dwóch mężczyzn.

– Dostyc tego dobrego! – krzyknął Gilmore. – Co tu się dzieje?!

– Mówił czy nie? – dopytywał się Bosch.

– Zabierz go stąd – warknął Gilmore do drugiego funkcjonariusza.

Ten postawił Stokesa na nogi i na wpół wyniósł go, na wpół wypchnął z pokoju. Bosch był zdruzgotany, bo z bólem uświadomił sobie, że zabrnął w ślepy zaułek. Odnalezienie Stokesa nie wniosło do sprawy niczego.

Kompletne fiasko, na dodatek Julia postrzelona! Wreszcie podniósł wzrok na Gilmore'a, który zamknął drzwi i odwrócił się do niego twarzą.

– Pytam, cholera, co tu się dzieje?

– DOBRA, powtórzmy to jeszcze raz – zaproponował Gilmore. – Opowiedz dokładnie, co zrobiła funkcjonariuszka Brasher.

Bosch przesiadł się na krzesło dla podejrzanych, zwrócony twarzą do lustra weneckiego, za którym z pewnością stało kilku policjantów, a wśród nich przypuszczalnie zastępca komendanta głównego, Irving.

– Postrzeliła się. Widziałem to z tyłu.

– No to skąd wiesz, że się postrzeliła?

– Bo oprócz niej, mnie i Stokesa nikogo tam nie było. Ja do niej nie strzelałem, Stokes też nie. Sama się postrzeliła.

– W trakcie szamotaniny ze Stokesem?

Pokręcił głową.

– Nie. Nie było żadnej szamotaniny. W chwili, gdy padł strzał, Stokes trzymał obie ręce na ścianie, stojąc tyłem do Brasher. Ona dociskała go do ściany. Zobaczyłem, że cofnęła się o krok i opuściła rękę. Nie widziałem broni, ale właśnie wtedy padł strzał i dostrzegłem błysk. Upadła.

Gilmore bębnił donośnie ołówkiem w blat.

– Ej, to zakłóci nagranie – rzekł Bosch. – A nie, przepraszam, wy niczego nie nagrywacie.

– Nieważne. Co potem?

– Podeszedłem do nich. Stokes się odwrócił, żeby zobaczyć, co się stało, i zaczął uciekać. Leżąca na ziemi Brasher podniosła rękę i wycelowała w niego z pistoletu.

– Ale nie strzeliła?

– Nie. Krzyknąłem, żeby się zatrzymał. Ona nie strzeliła, a on przystanął. Zbliżyłem się i kazałem mu się położyć na ziemi. Skułem go kajdankami. Potem przez krótkofalówkę wezwałem pomoc i opatrzyłem Brasher najlepiej, jak umiem.

Gilmore odczekał dłuższą chwilę.

– Jednego nie rozumiem – odezwał się w końcu. – Dlaczego ona się postrzeliła? Bosch wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

– No dobrze, przyjmijmy na chwilę twoją wersję. Załóżmy, że chowała broń do kabury, co byłoby wbrew zasadom, ale przyjmijmy tak na chwilę. No więc, wkłada broń do kabury, żeby skuć faceta. Tylko że kaburę ma na prawym biodrze, a ranę na lewym ramieniu. Jak to możliwe?

Bosch przypomniał sobie, jak kilka dni wcześniej Julia wypytywała go o bliznę na lewym ramieniu. I o to, co człowiek czuje, gdy zostanie postrzelony. Zmroziło go. Nagle wydało mu się, że pokój się zacieśnia, że ściany na niego napierają. Zaczął się pocić.

– Nie wiem – bąknął.

– Mówiłeś wcześniej, że Stokes prysnął ci w twarz aerozolem czy czymś.... Że cię oślepił.

– Zgadza się.

Gilmore wstał i zaczął się przechadzać.

– Ile czasu minęło od chwili, gdy Stokes cię oślepił, do chwili, gdy dotarłeś na parking i zobaczyłeś, że ona niby strzela do siebie?

Bosch zastanawiał się przez moment.

– Hm, obmyłem twarz wodą z hydrantu. A potem ruszyłem w pościg.

Moim zdaniem nie trwało to dłużej niż pięć minut.

– Czyli nie widziałeś, jak Stokes szamocze się z Brasher, chcąc wyrwać jej broń?

Bosch w lot zrozumiał, do czego zmierzają pytania Gilmore'a.

– Przestań się bawić słowami, poruczniku. Gdyby się szamotali, widziałbym to. Jasne?

Gilmore milczał. Wciąż się przechadzał.

– Słuchaj – ciągnął Bosch – dlaczego nie sprawdzicie, czy na ubraniu Stokesa są ślady prochu? Sprawdźcie jego kombinezon, ręce. Niczego nie znajdziecie. Zróbcie to, a sprawa będzie zakończona.

Gilmore pokręcił głową.

– Chętnie bym to zrobił, ale sęk w tym, że złamałeś procedury. Zabrałeś Stokesa z miejsca przestępstwa i przywiozłeś go tutaj. Zerwałeś łańcuch dowodowy, rozumiesz? Mógł się umyć, zmienić ubranie. Bóg raczy wiedzieć co jeszcze.

Bosch spodziewał się tego argumentu.

– Uznałem, że w grę wchodzi bezpieczeństwo podejrzanego. Mój współpracownik to potwierdzi. Stokes też. Poza tym ani na moment nie spuściłem go z oka. Aż do

chwili gdy tutaj wparowaliście.

– Nie zmienia to faktu, że uznałeś, iż twoje dochodzenie jest ważniejsze od tego, byśmy poznali okoliczności, w jakich doszło do postrzelenia funkcjonariuszki policji.

Bosch powoli uświadamiał sobie, do czego dąży Gilmore. Chciano uznać, że Brasher została ranna w trakcie szamotaniny z podejrzanym.

Dzięki temu stałaby się bohaterką. Postrzelony funkcjonariusz – a jeszcze lepiej niedoświadczona funkcjonariuszka – to najlepszy sposób, by przypomnieć opinii publicznej, że w policji pracują szlachetni ludzie, którzy codziennie narażają swoje życie. Inne rozwiązanie – że Brasher postrzeliła się przypadkiem albo, co gorsza, celowo – byłoby kolejnym blamażem organów ścigania.

Gilmore zdawał sobie sprawę, że Bosch jest naocznym świadkiem tragicznego zdarzenia i zarazem policjantem, musiał zatem skłonić go do zmiany zeznań. Jedynym sposobem było dobicie targu: Bosch może wykorzystać Stokesa w swoim śledztwie w zamian za kłamstwo, za stwierdzenie, że widział, jak podejrzany strzelał do policjantki.

Bosch uważał ten pomysł za wręcz absurdalny.

– Chwila moment – powiedział. – Jeśli myślisz, poruczniku, że skłamię, że będę mówił, że Stokes postrzelił Julię... ee, funkcjonariuszkę Brasher, bo chcę, byście mi go oddali, to masz nie po kolei w głowie.

– Ja tylko badam różne ewentualności.

– To badaj je sobie, ale beze mnie. – Wstał i ruszył do drzwi.

– Dokąd to?

– Skończyłem z tym. – Otworzył drzwi, spoglądając na Gilmore'a.

– Musisz coś wiedzieć, poruczniku. Stokes jest dla mnie zupełnie bezużyteczny. Bezwartościowy. Julia niepotrzebnie przelała swoją krew.

– Ale zorientowałeś się dopiero wtedy, gdy go tu przywiozłeś, co?

Bosch odwrócił się i omal nie zderzył z Irvingiem. Zastępca komendanta głównego stał w drzwiach.

– Proszę wrócić na moment, Bosch – rzekł spokojnym tonem.

Bosch wszedł do pokoju. Irving ruszył za nim.

– Poruczniku, proszę nas zostawić samych. I chcę, żeby wszyscy odeszli od lustra.

– Tak jest, panie komendancie – odparł Gilmore i się ulotnił.

– Siadajcie, Bosch – rozkazał Irving.

Bosch osunął się na krzesło. Irving stał.

– Zamierzamy uznać to za nieumyślny samopstrzał – oznajmił. – Funkcjonariuszka Bosch zatrzymała podejrzanego i wkładając broń do kabury, niechcący się postrzeliła.

– Czy tak zeznała?

Irving się zmieszał, potem pokręcił głową.

– O ile wiem, rozmawiała tylko z wami, Bosch, a wyście zeznali, że nie mówiła nic o okolicznościach, w których padł strzał.

Przytaknął.

– Czyli to koniec sprawy? – spytał.

Przed jego oczami przesuwały się w zwolnionym tempie sceny pościgu po parkingu. Coś się nie zgadzało.

Irving odchrząknął.

– Decyzja została podjęta – zakomunikował.

– Przez pana, komendancie.

– Owszem, przeze mnie.

– A co ze Stokesem?

– O tym zadecyduje prokurator. Może zostać oskarżony o nieumyślne spowodowanie śmierci. W końcu jego ucieczka doprowadziła do postrzelenia policjantki.

– Zaraz, zaraz! – krzyknął Bosch, zrywając się jednocześnie z krzesła.

– Jak to śmierci?!

– Porucznik Gilmore wam nie mówił?

Osunął się z powrotem na krzesło.

– Kula uderzyła w kość ramienia i odbiła się, wchodząc w ciało. Trafiła w klatkę piersiową, przebiła serce. Brasher zmarła w drodze do szpitala.

Bosch opuścił głowę i zakrył twarz dłońmi. Czuł, jakby wszystko dokoła wirowało, jakby zaraz miał spaść z krzesła w czarną otchłań.

Po długiej chwili odezwał się Irving:

– W tej komendzie pracują funkcjonariusze, którym nieustannie przytrafiają się różne rzeczy. Złe rzeczy. Wciąż na nowo. Niestety, wy, Bosch, do nich należycie.

Bezwiednie skinął głową. Myślał o ostatnich słowach Julii: „Harry, nie pozwól im...”.

Nie pozwól im? Na co? Zaczynał wiązać jedno z drugim, zaczynał się domyślać, co chciała powiedzieć.

– Posłuchajcie mnie, Bosch – głos Irvinga wdarł się w jego myśli.

– Chcę, byście zaczęli myśleć o emeryturze. I to wkrótce.

Milczał. Siedział ze zwieszoną głową. Po chwili usłyszał, że drzwi otwierają się i zaraz zatraskują.

ZGODNIE z życzeniem rodziny pogrzeb Julii Brasher odbył się nazajutrz przed południem na cmentarzu Hollywood Memorial Park. Ponieważ zginęła na służbie, obrządkowi religijnemu towarzyszył pełny policyjny ceremoniał: asysta motocykli, warta honorowa i trzykrotna salwa z siedmiu karabinów. Jednakże od jej śmierci nie upłynęła nawet doba, toteż niewielu żałobników wzięło udział w uroczystości. Ponadto pochówek policjantki, która postrzeliła się śmiertelnie, wkładając broń do kabury, nie przyciągnął wielu gapiów.

Bosch stał z brzegu. Ziemia bez przerwy wypluwała kości, a teraz, jakby na przekór, chowano w niej kobietę, której śmierć była zupełnie bezsensowna. Tak jak śmierć Trenta.

W trakcie mowy pożegnalnej myślał o zdjęciach paszczy rekinów oraz wulkanów wyrzucających z wnętrza stopioną magmę. Zastanawiał się, czy Julia ostatecznie udowodniła sobie, że jest osobą, którą pragnęła być.

Pośród niebieskich mundurów otaczających srebrną trumnę było skupisko szarości: prawnicy. Ojciec i liczny poczet z jego kancelarii. W drugim rzędzie Bosch rozpoznał mężczyznę z fotografii na kominku – tego, który stał się powodem jej wędrówek, zakończonych teraz tak tragicznym finałem.

Zdawał sobie sprawę, że obwinianie kogokolwiek byłoby nazbyt proste i niewłaściwe. Wiedział, że w ostatecznym rozrachunku ludzie sami wybierają swoją drogę. Każdy ma klatkę, w której może się schronić przed rekinem. Ci, którzy otwierają drzwi i wychodzą na zewnątrz, ryzykują na własne konto.

Do salwy honorowej wybrano siedmiu kadetów z klasy Julii Brasher.

Wycelowali karabiny w błękitne niebo i oddali trzy strzały ślepyimi kulami, a wyrzucone z komór łuski spadały na ziemię jak łyzy. Potem pogrzeb dobiegł końca.

Bosch ruszył powoli w stronę grobu, mijając rozchodzących się ludzi.

Nieco z boku stała śniada kobieta o siwych włosach. Dopiero po chwili ją rozpoznał.

– Doktor Hinojos – odezwał się.

– Bosch! Jak się pan miewa?

– Dobrze. Jak życie w gabinecie?

Uśmiechnęła się.

– Świetnie.

Bosch poznał ją przed siedmioma laty. Zmuszono go wtedy do wzięcia urlopu i

poddania się terapii psychologicznej z powodu stresującej pracy.

Spotykali się dwa razy w tygodniu i właśnie w trakcie tych sesji opowiedział jej o sprawach, o których nikomu nigdy nie mówił. Ani wcześniej, ani później. A po powrocie do służby więcej jej nie widział. Do tego dnia.

– Znała pani Julię Brasher? – spytał.

– Nie, nie za bardzo. Nie osobiście. Weryfikowałam jednak jej podanie o przyjęcie do akademii oraz oceniałam rozmowę kwalifikacyjną. Poparłam jej kandydaturę. Rozumiem, że się znaliście i że był pan tam. Że to się stało na pańskich oczach.

Skinął głową.

– Moja aprobatą przesądziła o tym, że przyjęto ją do służby – ciągnęła Hinojos.

– Jeśli coś przegapiłam, chciałabym to wiedzieć. Jeśli były jakieś niepokojące oznaki, powinnam była je dostrzec.

Bosch opuścił wzrok.

– Były, ale ja też ich nie widziałem. Nie potrafiłem kojarzyć faktów.

– A więc mam rację. Coś było?

Ponownie przytaknął skinieniem głowy.

– Trudno dostrzegalne na pierwszy rzut oka. Rzecz w tym, że lubiła ryzyko. Wchodziła pod broń. Próbowwała coś sobie udowodnić. Mam na ramieniu bliznę po ranie postrzałowej. Pytała mnie, jak zostałem ranny. Opowiedziałem jej, że miałem szczęście, bo kula trafiła w samą kość. No i... ona się postrzeliła dokładnie w to samo miejsce. Tylko że kula się odbiła.

Kto mógł przypuścić.

Hinojos czekała w milczeniu na dalszy ciąg.

– Wciąż o tym myślę. Wycelowała do niego z broni. Gdybym nie krzyknął w porę, może nawet by go zastrzeliła. A gdyby upadł, włożyłaby mu pistolet w dłoń i wypaliła w sufit albo w samochód. Nieważne, byleby tylko zginął, mając ślady prochu na rękach. Wtedy mogłaby twierdzić, że chciał jej odebrać pistolet.

– Co pan sugeruje? Że postrzeliła się, żeby go zabić i sama wyjść na bohaterkę?

– Nie wiem. Mówiła, że światu potrzebni są bohaterowie. Zwłaszcza teraz. Że ma nadzieję, iż kiedyś nadarzy się okazja, by została bohaterką. Ale było chyba coś jeszcze. Chciała mieć blizny, chciała mocnych przeżyć.

– I gotowa była zabić z tego powodu?

– Nie wiem. – Pokręcił głową i uciekł spojrzeniem w bok. – Nigdy nikogo nie znamy do końca, prawda?

– Tak, to prawda. Wszyscy mają swoje tajemnice. – Uściskała go. – Trzymaj się,

Harry.

Odeszła, a Bosch zbliżył się do grobu. Zgarnął garść ziemi z kopczyka, stanął nad krawędzią dołu i spojrzał w głąb. Powoli wyciągnął rękę i rozwarł palce.

– Miasto kości – wyszeptał.

Patrzył smutno, jak grudki ziemi wpadają do grobu, pierzchając niczym marzenia.

Odwrócił się i skierował do bramy. Po drodze zatrzymał się w miejscu, gdzie oddano salwę. W trawie wypatrzył mieniające się mosiężne łuski.

Schylił się i podniósł jedną. Z każdego policyjnego pogrzebu, na który przychodził, zabierał łuskę. Miał ich pełny słoik. Wyprostował się i ruszył przed siebie.

POKRYTA aluminium przyczepa Samuela Delacroix zatrzęsała się, gdy w czwartek po południu Jeny Edgar uderzył pięścią w jej drzwi. Odczekał parę sekund, po czym krzyknął:

– Otwierać, policja!

Minęła dłuższa chwila. Bosch odczuwał zniecierpliwienie, zdawał sobie bowiem sprawę, że o powodzeniu śledztwa przesądzi kilka następnych godzin, kiedy będą przesłuchiwać ojca ofiary. Należało przeszukać przyczepę i podjąć decyzję, czy aresztować go pod zarzutem morderstwa.

Wcześniej, podczas narady z porucznik Givers, postanowili jak najszybciej wziąć w obroty Samuela Delacroix. Był ojcem ofiary i zarazem głównym podejrzanym. Mieli niewiele dowodów, lecz wszystkie zdawały się wskazywać na niego. Godzinę zabrało im uzyskanie nakazu przeszukania przyczepy.

– Nagle drzwi się otwały.

– Co jest? – rozległ się męski głos.

Edgar pokazał odznakę.

– Policja, panie Delacroix.

Mężczyzna, który dawniej grał jasnowłosego, błękitnookiego niemieckiego żołnierza, wyglądał teraz jak zużyta miotła. Miał jednodniowy zarost, połyskujący w słońcu, oraz spuchniętą od alkoholu twarz, a na nosie źle dopasowane okulary. Był w zniszczonych czarnych szortach i spranym bordowym T-shircie.

– A o co chodzi? – spytał tonem nieśmiałego sprzeciwu.

– Mamy nakaz zezwalający na przeszukanie pańskiego domu – rzekł Bosch. – Możemy wejść?

– Chyba tak – mruknął Delacroix, kiwając głową.

Bosch pierwszy przekroczył próg. Gdy tylko wszedł głębiej, poczuł woń bourbona, nieświeżego oddechu i kociego moczu. Za nim ruszył Edgar. Rozejrzeli się po słabo oświetlonej przyczepie. Na prawo znajdował się pokój gościnny wyłożony boazerią, z zieloną kanapą i stolikiem, z którego złuszczyła się politura. Po lewej stronie była kuchnia przypominająca kambuz. Dalej korytarz prowadził do sypialni i łazienki.

– Proszę usiąść, panie Delacroix – rzekł Bosch.

Mężczyzna zbliżył się do kanapy.

– Czego chcecie?

– Przyszliśmy w sprawie pańskiego syna.

Patrzył na Boscha.

– Arthura? – wyszeptał w końcu.

– Tak. Znaleźliśmy go.

Delacroix spuścił z niego wzrok i zapatrzył się w jakieś odległe wspomnienie. Jego oczy nie zdradzały zaskoczenia.

Bosch to dostrzegł.

– Niezbyt się pan ucieszył jak na ojca, który nie widział swojego syna od ponad dwudziestu lat.

– Bo wiem, że nie żyje.

Bosch wpatrywał się długo w mężczyznę. Rozmowa toczyła się inaczej, niż przewidywał. Można było odnieść wrażenie, że Delacroix oczekiwał policji, być może od dawna.

– Możecie mnie aresztować – szepnął.

– Wie pan, jak to się stało?

– No pewnie, że wiem. Ja to zrobiłem.

Bosch omal nie zaklął. Podejrzany przyznał się do winy, zanim zdążyli przeczytać mu jego prawa, w tym prawo do odmowy zeznań, które mogłyby go obciążyć.

– Proszę pana, przerwijmy na moment. Najpierw powiem panu, jakie pan ma prawa.

Mężczyzna machnął ręką lekceważąco.

– Jerry, masz dyktafon? Mój ciągle jest u tej babki z wydziału wewnętrznego.

– Mmm, w samochodzie. Ale nie wiem, czy baterie są dobre.

– Jasna cholera. Notuj w takim razie.

Bosch wyjął swoją wizytówkę. Na odwrocie wydrukowana była formułka o prawach przysługujących osobom podejrzanym oraz miejsce na podpis. Odczytał tekst i zapytał Samuela Delacroix, czy rozumie. Ten skinął głową.

– Czy to znaczy „tak”?

– Tak.

– To proszę podpisać tutaj, pod spodem.

Podał Delacroix wizytówkę i długopis. Potem schował podpisaną wizytówkę z powrotem do portfela.

– A teraz czy zechciałby pan powtórzyć to, co powiedział nam pan przed paroma minutami?

– Zabiłem swojego syna Arthura. Zabiłem go. Wiedziałem, że pewnego dnia

przyjdziecie po mnie. Długo to trwało. – Rozplakał się i ukrył twarz w dłoniach.

Bosch spojrział na Edgara i uniósł wymownie brwi. Jerry pokazał wzniesiony kciuk.

Mieli wszystko, co trzeba, by przejść do następnego etapu: rejestrowane na taśmie oficjalne przesłuchanie w komendzie.

– Czy pan ma kota? – spytał Bosch.

Delacroix spojrział zażawionymi oczami spomiędzy palców.

– Tak, jest tu gdzieś. Pewnie śpi na łóżku. A co?

– Bo musimy zadzwonić do Towarzystwa Przyjaciół Zwierząt, żeby go stąd zabrali. Pan pojedzie z nami.

– Pani Kesky się nim zajmie. Mieszka po sąsiedzku.

– Nie może. Musimy opieczetować pańskie mieszkanie do momentu przeszukania.

– A czego chcecie tu szukać? – spytał Delacroix gniewnym tonem.

– Przecież się przyznałem, czego jeszcze wam brakuje? To był wypadek.

Chyba za mocno go uderzyłem...

– Dobrze, kotem zajmiemy się później – przerwał mu Bosch. – Zostawimy mu teraz trochę jedzenia. Proszę wstać. Założymy panu kajdanki.

Delacroix dźwignął się, a Bosch obrócił go do tyłu i spiął mu dłonie kajdankami. Wyszli na dwór, Edgar pierwszy, Bosch ostatni.

– Ma pan klucz? – zapytał Bosch.

– Na blacie w kuchni.

Wrócił i odnalazł klucze. Potem zaczął szukać w szafkach kociej karmy. Otworzył puszkę i wytrząsnął jej zawartość na papierowy talerzyk po stole. Wyszedł i zamknął przyczepę na klucz.

Po POWROCIE do komendy zatelefonował do prokuratora okręgowego, by go poinformować, że w toku śledztwa aresztowano podejrzanego mężczyznę, który przyznał się do winy. Następnie zadzwonił do wydziału wewnętrznego i poprosił o połączenie z Carol Bradley.

– Mówi Bosch z komendy w Hollywood. Gdzie jest mój dyktafon?

– Ja go mam. Chciałam uważnie odsłuchać nagranie i oddać je do ekspertyzy, by mieć pewność, że nie ma żadnych usuniętych fragmentów ani wstawek.

– To proszę otworzyć klapkę i wziąć kasetę. A dyktafon chciałbym dostać z powrotem.

– Czasem biegli muszą mieć urządzenie, żeby stwierdzić, czy dokonane na nim

nagranie jest autentyczne.

– Po co pani to robi? Wie pani przecież, kto był informatorem. Po co marnuje pani czas?

– Muszę uwzględnić wszystkie możliwości.

Bosch zamilkł na chwilę, zastanawiając się, czy czegoś nie przegapił, czy dzieje się coś, o czym nie wie. Uznał, że nie ma sensu łamać sobie nad tym głowy. Musi się skupić na najważniejszym, czyli na śledztwie.

– Wie pani, nie nagrałem dziś, jak podejrzany przyznaje się do winy, bo nie miałem swojego sprzętu.

– Dobrze, już wysyłam panu dyktafon przez posłańca.

– Bardzo dziękuję. Do widzenia.

Bosch się rozłączył. W tej samej chwili nadszedł Edgar z trzema filiżankami kawy. Ruszyli do pokoju numer 3, gdzie czekał przykuty do stołu Samuel Delacroix. Rozpięli mu kajdanki i pozwolili się napić.

Bosch poszedł do kabiny technicznej i włączył kamerę oraz dodatkowy magnetofon. Wszystko było gotowe. Wrócił do pokoju przesłuchań, żeby doprowadzić śledztwo do końca.

PRZEDSTAWIŁ na głos wszystkie trzy osoby znajdujące się w pokoju, następnie podał datę i godzinę przesłuchania. Położył na stole druk z formułą o prawach przysługujących podejrzanemu, odczytał po raz kolejny treść i poprosił Delacroix o podpis.

Potem łyknął kawy.

– Proszę pana – zaczął – wcześniej wyraził pan chęć opowiedzenia nam o tym, co się stało z pańskim synem Arthurem w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym. Podtrzymuje pan tę chęć?

– Tak.

– Czy to pan spowodował śmierć pańskiego syna, Arthura Delacroix?

– Tak, ja. Nie chciałem tego, ale to zrobiłem.

– Kiedy to się stało?

– Chyba w maju tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku.

– Gdzie został zabity pański syn?

– W domu, w którym wtedy mieszkaliśmy. W jego pokoju.

– Uderzył go pan?

– Tak. – Twarz Delacroix się skurczyła.

– Gdzie go pan uderzył?

– Chyba w różne miejsca.

– W głowę też?

– Tak.

– Czy uderzał pan pięściami, czy jakimś przedmiotem?

– I tak, i tak. Rękoma i różnymi rzeczami. Nie pamiętam.

– Wrócimy do tego później. Kiedy to się stało? O jakiej porze dnia?

– Rano. Gdy Sheila, to znaczy moja córka, poszła do szkoły. Tyle pamiętam. Że Sheili nie było.

– A pańska żona? Matka Arthura?

– Jej już dawno z nami nie było. Nie rozmawiałem z nią, odkąd odeszła.

– A z córką? Kiedy rozmawiał pan ostatnio ze swoją córką?

Delacroix uciekł spojrzeniem w bok.

– Nie rozmawiamy ze sobą.

– Nie rozmawialiście w tym tygodniu?

Spojrzał zdziwiony na Boscha.

– W tym tygodniu? Nie. Po co miał...

– Wróćmy do pańskiego syna Arthura. Czy pamięta pan, jakim przedmiotem uderzył pan chłopca w dniu, gdy go pan zabił?

– Wydaje mi się, że to był taki mały kij do baseballu. Pamiątka po meczu Dodgersów.

Bosch pokiwał głową. Fakt, kije baseballowe bywają śmiercionośnymi narzędziami.

– Hmm... niewiele pamiętam, pewnie byłem pijany. Ja... – Z jego oczu trysnęły łzy, ukrył więc twarz w dłoniach. – Powinien... powinien być wtedy w szkole. Zastałem go w pokoju. Był w pokoju, a nie w szkole.

Wściekłem się. Płaciłem za jego szkołę niemałe pieniądze, a wcale mi się nie przelewało. No i złapałem ten kij i uderzyłem go. Chyba za mocno.

– Zginął na miejscu?

Delacroix kiwnął głową.

– Tak. Tak.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Bosch skinął na Edgara, a ten wstał i wyszedł z pokoju. Przesłuchanie trwało dalej.

– I co pan potem zrobił? Gdy zorientował się pan, że Arthur nie żyje.

– Zaniósłem go przez tylne drzwi do garażu. Nikt mnie nie widział.

Włożyłem go do bagażnika. A potem wróciłem do jego pokoju. Posprzątałem i spakowałem trochę ubrań do torby.

- Do jakiej torby?
- Takiej, co nosił do szkoły. To był właściwie plecak.
- Jakie ubranie pan do niego włożył?
- Nie pamiętam.
- A co było potem?
- Plecak też schowałem do bagażnika. I zatrzasnąłem klapę.
- Jaki to był samochód?
- Impala z siedemdziesiątego drugiego.
- Ma go pan nadal?
- Nie, skasowałem go kompletnie. Moja pierwsza jazda po pijaku.
- Wróćmy do najważniejszego. Zwłoki znajdowały się w bagażniku. Kiedy się pan ich pozbył?

– Tego samego dnia. Późnym wieczorem. Gdy Arthur nie wrócił ze szkoły do domu, Sheila i ja zaczęliśmy go szukać. Objechaliśmy wszystkie miejsca, gdzie przychodzą deskorolkowcy.

– I przez cały ten czas ciało Arthura było w bagażniku?

– Tak. Panowie, zrozumcie, ja nie chciałem, żeby Sheila wiedziała, co zrobiłem. Chroniłem ją,

– Rozumiemy. Czy zgłosił pan zaginięcie chłopca na policję?

– Nie. Pojechałem na komisariat w Wilshire i rozmawiałem z jednym funkcjonariuszem. Z dyżurnym. Powiedział, że Arthur pewnie uciekł z domu i prędzej czy później wróci. Powiedział, żebym odczekał parę dni.

Więc oficjalnego zgłoszenia nie było.

Istotna była analiza porównawcza zeznań poszczególnych osób. Sheila Delacroix powiedziała, że w dniu, w którym zaginał Arthur, ona i jej ojciec pojechali na policję. W archiwach policyjnych Bosch nie znalazł jednak żadnego zgłoszenia o zaginięciu chłopca. Teraz wyjaśniło się, dlaczego tak jest.

– Kiedy wyjął pan z bagażnika zwłoki syna?

– Później. Gdy Sheila poszła spać, wsiadłem do samochodu i pojechałem ukryć ciało.

– Gdzie pan je ukrył?

– Na wzgórzu w Laurel Canyon.

– Pamięta pan nazwę ulicy?

– Wonderland.

– Czy był pan pod wpływem alkoholu, gdy ukrywał pan zwłoki?

– Byłem pijany. Na trzeźwo nie dałbym rady.

W tym momencie Bosch dojrzał pierwsze czarne chmury. Niby wszystko się zgadzało, ale Delacroix podawał informacje, które zaczynały burzyć spójny obraz wydarzeń. Z jednej strony jego nietrzeźwość wyjaśniała, dlaczego ciało zostało porzucone w zagajniku i pośpiesznie przysypane cienką warstwą ziemi. Bosch pamiętał jednak, z jakim trudem sam wspiął się na wzgórze. Czy mógł tego dokonać pijany mężczyzna taszczyący zwłoki?

– Pamiętam – rzekł nagle Delacroix – że strasznie długo to trwało. Nie było mnie w domu prawie całą noc. I pamiętam, że przytuliłem go bardzo, bardzo mocno, a dopiero potem zakopałem w dole.

– A ten dół, czy był głęboki?

– Niezbyt. Może na metr albo coś.

– A co z plecakiem?

– Plecak też tam chyba zakopałem. W dole. Ale pewien nie jestem.

– Czy pamięta pan, jak wyglądało to miejsce? Było stromo, płasko, grunt był może błotnisty?

Delacroix pokręcił głową.

– Nie, nie pamiętam.

– A deskorolka pańskiego syna? Co pan z nią zrobił?

– Naprawdę nie pamiętam.

– Dobrze, zrobimy sobie teraz małą przerwę, bo muszę porozmawiać z moim współpracownikiem. Chciałbym, żeby pan zastanowił się nad tym, co pan dotąd powiedział. Żeby pan pomyślał o tym miejscu, w którym zakopał pan zwłoki syna. Niech pan sobie przypomni jak najwięcej. Interesuje mnie, co się stało z deskorolką.

– Dobrze, spróbuję.

Bosch wyszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Przy lustrze weneckim stał Edgar i drugi mężczyzna, który zaraz odwrócił się twarzą do Boscha.

Najwyżej trzydziestolatek o włosach zaczesanych do tyłu i białej cerze.

Uśmiechnął się szeroko.

– Cześć, nazywam się George Portugal i jestem zastępcą prokuratora okręgowego. Widzę, że macie tu ciekawy przypadek.

– Który z każdą chwilą staje się coraz ciekawszy – odparł Bosch.

– Hm, z tego, co widziałem przez ostatnie dziesięć minut, nie musicie się o nic martwić. Sprawa jasna jak słońce.

Bosch pokiwał głową, lecz nie zrewanżował się uśmiechem. Był zbyt doświadczonym policjantem, by ufać intuicji młodego prokuratora.

O SIÓDMEJ wieczorem Bosch i Edgar odwieźli Samuela Delacroix do śródmiejskiej komendy w Parker Center, gdzie mężczyzna został aresztowany pod zarzutem zamordowania własnego syna. Przerwane przesłuchanie kontynuowano przez godzinę, ale choć do Boscha i Edgara dołączył Portugal, Delacroix padał niewiele nowych szczegółów. Zastępca prokuratora był przekonany, że sprawa jest bliska finału. Bosch natomiast wcale nie miał takiej pewności. Nigdy nie dawał wiary dobrowolnym zeznaniom aż tak jak inni oficerowie śledczy i prokuratorzy. Dla niego każde dochodzenie przypominało budowę domu. Zeznanie stawało się fundamentem, na którym należało wznieść resztę. Jeśli beton przeznaczony na ten fundament był źle wymieszany lub niestarannie wlany do szalunku, powstawało niebezpieczeństwo, że dom nie wytrzyma najbliższego wstrząsu.

Harry Bosch obsesyjnie myślał, że w podstawie domu znajdują się niewidoczne pęknięcia i że nadchodzi silny wstrząs.

Nie potrafił uzasadnić swojego niepokoju. Sprawa wkraczała w zupełnie nowy etap: śledztwo policyjne dobiegało końca i sprawa przechodziła w gestię wymiaru sprawiedliwości. Na ogół odczuwał ulgę i satysfakcję w chwili, gdy zamykał zabójcę w areszcie. Tym razem jednak czuł niepewność i nijak nie umiał tego wytłumaczyć.

Doszedł do wniosku, że jego podły nastrój bierze się stąd, iż odniósł pyrrusowe zwycięstwo. Cena za rozwikłanie tej sprawy okazała się bardzo wysoka. Nicholas Trent nie żył. Julia Brasher nie żyła. W domu, który zbudował tym razem, już zawsze będą straszyć duchy.

– Czy powiadomicie moją córkę? – spytał Delacroix w drodze do Parker Center. Bosch zerknął w lusterko nad szybą.

– Tak. Musimy przekazać jej informacje.

– Musicie? Musicie ją w to wciągać?

– Nie mamy wyboru. Chodzi o jej brata i ojca. Chcemy ją uprzedzić, zanim dziennikarze ją dopadną albo obejrzy wiadomości w telewizji.

Zobaczył, że Delacroix skinął przyzwalająco głową.

– Czy możecie jej coś przekazać ode mnie?

– Co?

– Że jest mi przykro. Że przepraszam za wszystko. Tylko tyle.

– Przepraszam pan za wszystko. Zapamiętam.

– Przepraszasz, co? – odezwał się Edgar. – Trochę późno, nie uważasz?

Po dwudziestu latach.

– Pan o niczym nie ma pojęcia – warknął gniewnie Delacroix. – Oplakuję go od

dwudziestu lat.

– No pewnie – zripostował Edgar. – Ale nie aż tak, by coś z tym zrobić, zanim po ciebie przyszedliśmy. Nie aż tak, by samemu się zgłosić wtedy, gdy można go było wydobyć z ziemi i urządzić mu porządny pogrzeb. Zostały z niego tylko kości. Parę kości.

SHEILA Delacroix otworzyła drzwi. Miała na sobie czarne legginsy i długą bawełnianą koszulkę. Wybałuszyła oczy na widok Boscha i Edgara.

– Panowie tutaj? Nie spodziewałam się.

– Dzień dobry – rzekł Bosch. – Odnaleziono w Laurel Canyon szczątki ludzkie udało nam się zidentyfikować jako szczątki twojego brata Arthura. Przykro nam. Możemy wejść na parę minut?

– Proszę – odparła i ruchem ręki dała znak, by usiedli w salonie.

W drodze do Miracle Mile Edgar i Bosch starannie zaplanowali tę wizytę. Sheila Delacroix była istotnym świadkiem w śledztwie. Należało skłonić ją do zeznań, aby mieć jak najwięcej informacji o tym, jak wyglądało życie w domu Samuela Delacroix.

– To nie wszystko. Dziś twój ojciec został oskarżony o zamordowanie Arthura.

– O mój Boże! – Przycisnęła zaciśnięte dłonie do ust.

– Przebywa w areszcie, a jutro zostanie mu przedstawiony akt oskarżenia i odbędzie się przesłuchanie w sądzie.

– To jakaś pomyłka! Mój ojciec nie mógł tego zrobić.

– On się do tego przyznał – rzekł cicho Edgar.

Wyprostowała się. Bosch ujrzał na jej twarzy autentyczne zdumienie.

Sam również był zaskoczony. Sądził, że w skrytości ducha od dawna podejrzewała swojego ojca.

– Stwierdził, że uderzył go kijem baseballowym, bo nie poszedł do szkoły – powiedział Bosch. – Według niego to był wypadek.

Patrzyła na niego, próbując zrozumieć sens słów.

– A potem włożył ciało do bagażnika samochodu. Mówił, że gdy jeździliście po różnych miejscach, próbując go odnaleźć, zwłoki były cały czas w bagażniku.

Zacisnęła powieki.

– A późnym wieczorem – odezwał się Edgar – gdy ty już spałaś, wywiózł zwłoki na wzgórze i zakopał.

Zaczęła dygotać.

– Nie, nie. On...

– Czy kiedykolwiek widziałaś, by twój ojciec bił Arthura? – spytał Bosch.

Spojrzała na niego półprzytomnym wzrokiem, wyrwana z odrętwienia.

– Nie, nigdy.

– Na pewno?

– Czasem może jakiś klaps, ale nic więcej.

Bosch zerknął na Edgara, a potem znów na Sheilę.

– Zdaję sobie sprawę, że rozmawiamy o twoim ojcu – rzekł. – Wiem, że to trudne. Ale dotyczy to także twojego brata. Nie miał łatwego życia, zgadza się?

Czekał. Po długiej chwili pokiwała głową.

– Mamy zeznanie twojego ojca. Mamy też dowody. Kości Arthura wiele mówią. Mówią o urazach. O dużej liczbie urazów. Z całego życia.

Znowu skinęła.

– Sheilo, musimy mieć potwierdzenie. Potrzebujemy kogoś, kto powie otwarcie, jak wyglądało życie Arthura w domu waszego ojca.

Otarła oczy, rozmazując łzy po policzkach.

– Mogę tylko powiedzieć, że nigdy nie widziałam, by ojciec bił Arthura. Ani razu. – Znów przetarła oczy i uszczypnęła się w nos w bezowocnej próbie powstrzymania łez. – To niepojęte. Ja chciałam tylko wiedzieć, czy to Arthur tam... A teraz...

– Jeśli tego nie zrobił twój ojciec – odezwał się Edgar – to dlaczego się przyznał? Dlaczego prosił, byśmy ci powiedzieli, że przeprasza za wszystko?

Była coraz bardziej niespokojna.

– Nie wiem. Dużo pije.

Bosch popatrzył na nią. Spojrzeli sobie w oczy.

– Sheilo, pomożesz nam?

Uciekła wzrokiem w bok.

– Nie mogę.

BOSCH zatrzymał samochód przy drenie odwadniającym na Wonderland Avenue i szybko zgasił silnik. Był sam, bo Edgar pojechał do domu. Wyciągnął rękę i otworzył przyciskiem bagażnik. Podążał za głosem intuicji – wracał na miejsce, gdzie wszystko się zaczęło. Czuł, że coś się nie zgadza, a swoje poszukiwania postanowił rozpocząć właśnie tutaj.

W bagażniku leżał manekin pożyczony od Antoine’a Jespera. Wypełniony workami z piaskiem, aby ważył około trzydziestu pięciu kilogramów – bo na tyle oszacował Gollither wagę Arthura Delacroix na podstawie kości i zdjęć chłopca.

Bosch wyciągnął manekin i przerzucił go sobie przez lewe ramię. Cofnął się, by utrzymać równowagę, następnie sięgnął do bagażnika i wziął latarkę. Zapalił ją, wszedł na krawężnik i ruszył na wzgórze. Zaczął się wspinać, lecz natychmiast uświadomił sobie, że potrzebuje dwóch rąk, by chwycić się gałęzi i podciągać do góry. Wcisnął latarkę do kieszeni.

W ciągu pierwszych pięciu minut dwukrotnie się wywrócił. Zanim pokonał dziesięć metrów, całkowicie opadł z sił. Przez następne siedem metrów ciągnął manekin za sobą po ziemi. W ten sposób posuwał się wolniej, ale przynajmniej nie dźwigał ciężaru.

Odpoczął chwilę, po czym ruszył dalej. Przebył kolejny odcinek i dotarł wreszcie do płaskiego terenu. Wciągnął manekin na polankę pośród akacji. Zziębnięty, osunął się na kolana i usiadł na stopach.

Nie potrafił sobie wyobrazić, by Samuel Delacroix zdołał tego dokonać.

Bosch był wprawdzie dziesięć lat starszy niż Delacroix w 1980 roku, ale dbał o swoją sprawność fizyczną. Poza tym był trzeźwy, a tamten nie. Intuicyjnie wyczuwał, że Delacroix kłamie. Jeśli zabił, to nie w taki sposób, w jaki to przedstawił. Albo nie przyniósł tutaj zwłok, albo miał pomocnika.

Była jeszcze trzecia możliwość – Arthur Delacroix wszedł na wzgórze o własnych siłach i dopiero potem został zabity.

Bosch wyjął z kieszeni latarkę i chwycił manekin za pasek. Ciągnąc go za sobą, ruszył ostrożnie stromizną w dół.

Gdy dotarł do ulicy, zobaczył, że obok jego samochodu stoi doktor Guyot ze swoim psem. Trzymał Udrekę na smyczy. Bosch szybko podszedł do auta, wrzucił manekin do bagażnika i zatrzasnął klapę.

Guyot się zbliżył

– Dobry wieczór – rzekł.

– Dobry wieczór. O co chodzi, doktorze?

– Ta policjantka, która tu była pierwszego dnia... Czy to ona zginęła?

– Tak, ona.

Guyot pokręcił głową ze smutkiem.

– Dziwnie się to czasem układa – rzekł. – Jak reakcja łańcuchowa. Najpierw pan Trent z naprzeciwka. A potem ta policjantka. Wszystko z powodu kości przyniesionej przez psa. A to najnaturalniejsza rzecz na świecie.

Bosch bezradnie przytaknął.

Guyot spojrzał na Udrekę.

– Wolałbym nigdy nie spuścić jej ze smyczy.

– No nie wiem – odparł Bosch. – Jeśli zacznie pan myśleć w ten sposób, będzie się pan bał wyjść na dwór.

Popatrzyli na siebie i pokiwali głowami.

– W wiadomościach telewizyjnych podali, że aresztowaliście kogoś – w tej sprawie. Będę oglądał dziennik o jedenastej.

Bosch odwrócił się do samochodu.

– Niech pan nie wierzy we wszystko, co mówią w telewizji.

TELEFON zadzwonił w chwili, gdy Bosch skończył oglądać na wideo pierwszą część zeznań Samuela Delacroix.

– Co słysząc, Harry? – spytała porucznik Givers.

– Zaczynam podejrzewać, że to nie Delacroix jest zabójcą. On coś kręci. Sam nie wiem.

– Jak to?

– Wszedłem na to wzgórze, gdzie podobno ukrył zwłoki. Wziąłem manekin od biegłych. Trzydzieści kilka kilogramów. Byłem trzeźwy jak świnia. Delacroix twierdzi, że był zawiany. Ja byłem tam wcześniej, znam teren. On był wtedy pierwszy raz. Wątpię, żeby zdołał wtaszczyć tam zwłoki. A przynajmniej nie sam.

– Myślisz, że ktoś mu pomagał? Może córka?

– Może. ktoś mu pomagał, a może nigdy go tam nie było. Nie wiem. Gadaliśmy z nią dzisiaj, ale nie chce powiedzieć złego słowa na ojca. To skłania mnie do podejrzeń, że być może zrobili to we dwoje. Chociaż to właściwie nie miałyby sensu. Gdyby była zamieszana w morderstwo, po co w ogóle kontaktowałyby się z nami? Przecież to dzięki niej zidentyfikowaliśmy kości. To się nie trzyma kupy.

– Ej, Harry, dajże spokój. Twoja intuicja nie wystarczy. Musimy mieć coś więcej, bo na razie wszystko wskazuje, że to Delacroix zabił. A co się tyczy córki, mnie wcale nie dziwi, że do nas zadzwoniła. Widziała wiadomości w telewizji, tak? Słyszała, że podejrzewamy Trenta. Uznała, że do nas zatelefonuje, a wtedy wszystko pójdzie na jego konto.

Bosch nie wierzył, że Sheila Delacroix zgłosiłaby się na policję, gdyby była zamieszana w zabójstwo brata.

– No nie wiem – mruknął. – Mnie to nie przekonuje.

– Co zamierzasz?

– Przeglądam wszystko od nowa.

– Jutro będzie gotowy akt oskarżenia.

– Wiem. Już dostrzegłem jedną sprzeczność, którą wcześniej przeoczyłem.

Delacroix powiedział, że zabił syna rano. A kiedy pierwszy raz rozmawialiśmy z jego córką, zeznała, że Arthur nie wrócił ze szkoły do domu. To różnica.

– To drobnostka, Harry. Minęło ponad dwadzieścia lat, a ten facet to pijaczyna.

Rozumiem, że sprawdzisz akta szkolne?

– Tak, jutro.

– Znaleźliście coś interesującego w przyczepie?

– Jeszcze jej nie przeszukaliśmy. Jutro to zrobimy.

Nagle Bosch przypomniał sobie o kocie Samuela Delacroix.

– Jasna cholera, kot! On ma kota. Trzeba się nim zająć. Słuchaj, muszę kończyć. Chcę obejrzeć jeszcze całe przesłuchanie, żeby zobaczyć, na czym tak naprawdę stoimy.

– Dobrze, Harry, ale nie zaglądamy darowanemu koniowi w zęby. Wiesz, co mam na myśli?

– Chyba tak.

Odłożył słuchawkę i włączył nagranie z zeznaniami, lecz niemal natychmiast zatrzymał magnetowid.

Myśl o kocie nie dawała mu spokoju. Postanowił wrócić do Manchester Trailer Park.

ZBLIŻAJĄC się do przyczepy Samuela Delacroix, Bosch zobaczył, że zza zasłonek w oknach przebija światło. Gdy zabierali Delacroix, lampy były pogaszone. Wyjął broń z kabury i podkradł się do drzwi. Bezszelestnie przekręcił gałkę.

W salonie nikogo nie było. Wszedł do środka i zlustrował szybko wnętrze. Żywego ducha. Zajrzał do kuchni, następnie ruszył przedpokojem w kierunku sypialni. Drzwi były uchylone, a ze środka dobiegał hałas, jak gdyby ktoś otwierał i zamykał szuflady. Bosch znajdował się w odległości dwóch metrów, kiedy drzwi otworzyły się nagle na oścież i w progu stanęła jakaś postać.

Sheila Delacroix wrzasnęła ze strachu.

– Co pan tu robi?!

– Chcę cię zapytać o to samo.

– To dom mojego ojca. Mam klucz.

– I?

– I... i przyszedłam po kota.

Schował broń.

– Słyszałam, że otwierałaś szuflady. Czyżby ten kot lubił się kryć po szufladach?

Pokręciła głową.

– Po prostu zainteresowałam się ojcem. Przyjechałam, więc zaczęłam się rozglądać po kątach, to wszystko.

– A gdzie masz samochód?

– Zaparkowałam przy recepcji od frontu.

– I zamierzałaś prowadzić kota na smyczy czy jak?

– Nie, zamierzałam go przenieść. Dlaczego pan zadaje mi te wszystkie pytania?

Bosch wiedział, że kobieta kłamie. Postanowił mówić bez ogródek.

– Sheilo, posłuchaj mnie. Jeśli w jakikolwiek sposób jesteś zamieszana w to, co stało się z twoim bratem, teraz nadszedł odpowiedni moment, by o tym powiedzieć i spróbować się z nami dogadać.

– O czym pan mówi?

– Pomagałaś ojcu tamtego wieczoru?

Patrzyła na niego osłupiała.

– Jak coś takiego mogło panu przyjść do głowy?

Bosch odczekał chwilę.

– Ukrywasz powód, dla którego tu przyjechałaś.

– Jestem aresztowana?

Pokręcił głową.

– Nie, nie jesteś.

– Zatem do widzenia! – Ruszyła zdecydowanym krokiem do drzwi.

– A kot?

Nie zatrzymała się. Wyszła na dwór, prosto w noc.

– Niech pan się nim zajmie – rzuciła przez ramię.

Bosch oparł się o framugę i wciągnął do płuc odrobinę czystego powietrza. Rozmyślał o Sheili.

Po chwili zerknął na zegarek. Minęła północ; był zmęczony. Postanowił jednak zostać i poszukać tego, czego być może również szukała siostra Arthura Delacroix.

Coś otarło się o jego nogę, a gdy zerknął w dół, zobaczył czarnego kota, łaszącego się przymilnie. Delikatnie odsunął go stopą. Koty niezbyt go pasjonowały.

– Czekał tu – powiedział. – Mam dla ciebie żarcie w samochodzie.

W ŚRÓDMIEJSKIM sądzie zawsze panowało zamieszanie. W piątek rano za dziesięć dziewiąta Bosch wszedł na salę rozpraw i zlustrował rzędy siedzących w ławkach osób w poszukiwaniu Sheili Delacroix.

Nie zobaczył jej. Rozejrzał się za Edgarem i prokuratorem Portugalem, lecz ich także nie było.

Przecisnął się przez bramkę. Wyjął odznakę i pokazał ją woźnemu, po czym skierował się do stołu oskarżyciela. Siedziała tam kobieta – przedstawicielka prokuratury.

– Czy George Portugal stawi się na posiedzenie? – spytał. – Chodzi o to aresztowanie z wczoraj.

– Tak, stawi – odparła, nie podnosząc wzroku. – Właśnie z nim rozmawiałam. Ale to będzie najwcześniej za godzinę.

– Czy mogę skorzystać z pani telefonu?

– Tylko szybko, bo zaraz przyjdzie sędzia.

Bosch zadzwonił do biura prokuratora, które znajdowało się na piętrze.

Poprosił o połączenie z Portugalem.

– Mówi Bosch. Mogę wpaść do pana za chwilę? Musimy pogadać.

– Jestem tutaj, dopóki mnie nie wezwą na salę.

Wychodząc, Bosch poprosił woźnego, by skierował funkcjonariusza o nazwisku Edgar na górę do biura prokuratora.

Kiedy wszedł do niewielkiego gabinetu Portugala, Edgar już tam siedział. Zajął wolne krzesło, otworzył teczkę i wyjął zwinięty egzemplarz „Los Angeles Times”. Zamknął teczkę i odstawił ją na podłogę.

– Co się dzieje? – spytał z niepokojem zastępca prokuratora.

Bosch rozłożył gazetę.

– Zapuszkowaliśmy niewłaściwego faceta – odparł. – Lepiej, żebyśmy to naprawili, zanim sąd zajmie się naszym aktem oskarżenia.

– Uuu – jęknął Portugal. – Dlaczego próbuje pan majstrować w sprawie, która jest dziecinnie prosta?

– Nie obchodzi mnie, czy sprawa jest prosta, czy nie, skoro facet tego nie zrobił...

– Powiedział, że zrobił. Zeznał tak kilka razy.

– Niech może Harry powie, co ma do powiedzenia – wtrącił Edgar.

Bosch opisał swoją wspinaczkę z manekinem na wzgórzu.

– Sęk w tym, że ja byłem trzeźwy, a Delacroix podobno był pijany. Poza tym ja wiedziałem, dokąd idę. Znam już ten teren. On go nie znał.

– To nieistotne szczegóły.

– Tego chłopaka nikt tam nie wciągnął. On żył. Ktoś go zabił tam na miejscu, wśród tych akacji.

– To wszystko są domysły, Bosch.

– Jeszcze nie skończyłem. Wczoraj wieczorem wróciłem do domu, ale przypomniałem sobie o kocie Samuela Delacroix. Obiecaliśmy, że się nim zajmujemy, ale wypadło mi to zupełnie z głowy. No więc pojechałem do przyczepy.

Bosch usłyszał, że Edgar zaczyna sapać. Natychmiast zorientował się, na czym polega problem: wyłączył kolegę ze śledztwa. Powinien był mu opowiedzieć o wszystkim przed przyjściem do prokuratora. Niestety, zabrakło czasu.

– Chciałem tylko nakarmić kota. Ale tam już ktoś był. Córka. Szukała czegoś.

– Czego? – spytał Edgar.

– Nie chciała powiedzieć. Lecz gdy wyszła, ja zostałem. No i znalazłem co nieco.

– Pokazał gazetę. – Tutaj są wiadomości lokalne. A wśród nich dość obszerny artykuł o naszym śledztwie. Jeśli ktoś chciałby podać się za zabójcę, to właściwie wszystkie fakty ma w ręku.

– No nie, dajże pan spokój – zaprotestował Portugal. – Delacroix zeznał o wiele więcej. Opisał nie tylko miejsce ukrycia zwłok, ale też samo zabójstwo. Mówił, że jeździł z ciałem w bagażniku.

– To dla niego żaden problem, bo nie możemy tego potwierdzić ani zweryfikować. Brakuje świadków. Nigdy nie odnajdziemy samochodu, bo go sprasowano do grubości kartki na jakimś złomowisku. Dysponujemy tylko jego zeznaniami. A jego zeznania i nasze dowody rzeczowe mają zaledwie jeden punkt styczny: miejsce ukrycia zwłok. Kłopot w tym, że o miejscu ukrycia zwłok i wszystkich związanych z tym szczegółach mógł się dowiedzieć z gazet.

– No dobrze, więc teoretycznie rzecz biorąc, mógł to wszystko zmyślić. Ale po co miałby to robić? Dlaczego mówi, że zabił swojego syna, skoro tego nie zrobił?

– Dlatego – rzekł Bosch.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął kopertę. Nachylił się do przodu i położył ją na biurku Portugala.

Z koperty zastępca prokuratora wydobył plik zdjęć polaroidowych. Zaczął je przeglądać.

– O Boże – mruknął. – Czy to jego córka? Nie chcę na to patrzeć.

Edgar uniósł się z krzesła, wyciągając szyję. Zacisnął szczęki, lecz nic nie powiedział.

Zdjęcia wyglądały na stare. Było ich czternaście, a każde ukazywało nagą dziewczynkę. Bosch ocenił, że obejmowały okres przynajmniej pięciu lat. Nie ulegało żadnym wątpliwości, że widniała na nich Sheila Delacroix.

– Wczoraj wszystko do siebie pasowało – powiedział Portugal. – Dziś wszystko wali się w gruzy. Bosch, czy mógłby nam pan wytłumaczyć, o co chodzi?

Ten skinął głową.

– Zaczniemy od samej rodziny – rzekł. – Z takiego lub innego powodu matka jest osobą słabą. Za młoda, by wyjść za mąż, za młoda, by mieć dzieci. Chłopiec z kolei to bardzo trudny przypadek. Ona widzi, dokąd zmierza jej życie, i dochodzi do wniosku, że tego nie chce. Buntuje się i odchodzi. Zostawia Sheilę, by radziła sobie z bratem. Zostawia ją też na pastwę ojca.

Bosch patrzył to na prokuratora, to na Edgara.

– Nie ma wątpliwości, że to było piekło – ciągnął. – Dziewczyna mogła winić za to matkę, ojca i brata. Ale na kim mogła się odegrać? Matka odeszła. Ojciec był silną, dominującą postacią. Miał władzę. Zostawał... Arthur.

– Zaraz, bo się pogubiłem – wtrącił Portugal.

– Nie rozumie pan? Kości. Wszystkie te urazy. Byliśmy w błędzie. To nie ojciec go bił, to ona. Sheila.

– Twierdzisz, że zabiła brata, a po dwudziestu latach zadzwoniła z kluczową informacją dla naszego śledztwa?

– Nie. Twierdzę, że go nie zabiła. Ale przez te wszystkie lata, od kiedy Arthur zaginał, ojciec myślał, że to ona. Bo miał powody tak myśleć.

– Bosch zamachał zdjęciami. – Żył w poczuciu winy. Uznał, że to, co wyprawiał z Sheilą, spowodowało całą resztę. Potem odnaleziono kości. Facet czyta o tym w gazetach i dodaje dwa do dwóch. Przyjeżdżamy, a on się przyznaje, zanim zdążyliśmy się przedstawić.

– Dlaczego? – spytał Portugal, rozkładając bezradnie ręce.

Bosch rozmyślał nad tym pytaniem od chwili, gdy znalazł zdjęcia.

– Żeby odkupić swoje grzechy.

– Litości!

– Mówię poważnie. Facet się starzeje, przegrał życie. Wtedy człowiek zaczyna myśleć o tym, co robił kiedyś. Chce naprawić swoje błędy. On myśli, że córka zabiła Arthura z powodu jego własnych postępów. Widzi w tym swoją ostatnią szansę – zadośćuczynienie za wyrządzone jej krzywdy. Dlatego chce nadstawić za

nią karku.

– Myli się co do niej i nawet o tym nie wie. – Portugal odsunął się na krzesło od biurka. – Mam na dole faceta, którego mogę w te pędy wsadzić do więzienia, a wy chcecie, żebym go puścił wolno?

– Tak jest. Jeśli moje wnioski są błędne, będzie pan mógł ponownie wystąpić z aktem oskarżenia. Lecz jeśli mara rację, on ochoczo przyzna się do winy. Morderca Arthura wciąż jest bezpieczny. – Bosch spojrzał na Edgara. – A ty, co myślisz?

– Że twoja intuicja funkcjonuje bez zarzutu.

– Są dwie rzeczy, które możemy zrobić, żeby uzyskać pewność – ciągnął Bosch. – Możemy mu powiedzieć, że to dzięki Sheili ustaliliśmy tożsamość Arthura, i zapytać go otwarcie, czy ją chroni. Możemy mu też zaproponować badanie za pomocą wariografu. Jeśli kłamie, odmówi.

Portugal zastanawiał się przez chwilę.

– No dobrze – rzekł zdecydowanym tonem. – Do roboty. Wycofuję oskarżenie. Na razie.

BOSCH i Edgar weszli do windy. Edgar nacisnął guzik.

– Harry, komórka ci się wczoraj zepsuła? A może się rozładowała?

Bosch pokręcił głową.

– Przepraszam cię. Chciałem tylko... No wiesz, nie wiedziałem, co o tym myśleć, więc postanowiłem najpierw sprawdzić to i owo na własną rękę. Poza tym wiem, że w czwartki masz syna. Nie przypuszczałem przecież, że w przyczepie napatoczę się na Sheilę.

– Ale potem, gdy zacząłeś przeszukiwanie, mogłeś do mnie zadzwonić.

Chłopak już wtedy wrócił do matki.

– Masz rację. Źle zrobiłem. Przepraszam.

Edgar skinął głową, co oznaczało, że sprawa jest zakończona.

– Wiesz, że ta twoja hipoteza cofa nas do punktu wyjścia?

– Tak, wiem. Musimy zacząć wszystko od nowa, przyjrzeć się uważnie każdemu szczegółowi.

ASYSTENTKA Sheili Delacroix powiedziała, że jej szefowa pracuje w „lotnym” biurze produkcji filmowej na Westside, gdzie kompletuje obsadę serialu pod tytułem „Fachowcy”.

Zaparkowawszy samochód, Bosch i Edgar weszli do magazynu z cegły.

Ruszyli za strzałkami umieszczonymi na ścianach i po chwili wmaszerowali do

dużego pomieszczenia, w którym siedzieli mężczyźni w wymiętych i niemodnych garniturach. Niektórzy mieli kapelusze i płaszcze. Paru cicho rozmawiało, gestykulując.

Podeszli do stołu, przy którym młoda kobieta studiowała listę nazwisk.

Na stole leżał plik fotosów i scenariusz.

– Chcemy się widzieć z Sheilą Delacroix – rzekł Bosch.

– Panów godność?

– Policjanci Bosch i Edgar. – Bosch wyjął odznakę.

– Świetni jesteście – odparła kobieta z uśmiechem.

Zrozumiał.

– Zaszła pomyłka. Nie jesteśmy aktorami. Naprawdę pracujemy w policji. Proszę jej powiedzieć, że musimy się z nią natychmiast zobaczyć.

Kobieta uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

Bosch zerknął na Edgara i kiwnął głową w kierunku drzwi. Jak na komendę obeszlili stół zdecydowanym krokiem.

– Ej, co wy wyprawiacie? Ona ma teraz przesłuchanie! Nie możecie...

Bosch otworzył drzwi i wszedł do małego pokoju. Za biurkiem siedziała Sheila Delacroix, a na środku jakiś mężczyzna, który czytał kwestie ze scenariusza.

– Nie wierz gębie, połóż na zębie. Pacanie jeden, wszędzie zostawiłeś swoje DNA. A teraz wstań i ręce...

– Dobrze, dobrze, dziękuję, Frank – powiedziała. Spojrzała na policjantów. – Co to ma znaczyć?!

– Musimy z tobą porozmawiać – rzekł Bosch. – Natychmiast.

– Robię casting! Nie widzicie, że jestem...

– A my prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa. Zapomniałaś?

– Przepraszam cię, Frank. Idzie ci świetnie, ale musimy przerwać na parę minut. Możesz zaczekać? Obiecuję, że cię zawołam, jak tylko będę wolna.

Frank wstał z uśmiechem.

– Nie ma problemu, zaczekam na zewnątrz.

– No dobrze – odezwała się, gdy mężczyzna zaniknął za sobą drzwi.

– Mając takie wejście, powinniście być aktorami.

Próbowała się uśmiechnąć, lecz nie bardzo jej się udało. Bosch zbliżył się do biurka, Edgar zaś oparł się o drzwi. W drodze na Westside uzgodnili, że to Bosch poprowadzi rozmowę.

– Ten serial, który teraz obsadzam, opowiada o dwóch policjantach nazywanych „fachowcami”, bo doprowadzają do końca wszystkie swoje śledztwa. Nikt im nie

dorówna. W prawdziwym życiu chyba wygląda to inaczej? – spytała.

– Nikt nie jest doskonały. Wszystkim daleko do tego.

– Cóż takiego się wydarzyło, że wparowaliście tutaj bez uprzedzenia, stawiając mnie w niezręcznej sytuacji?

– Parę rzeczy. Pomyślałem, że może chciałabyś wiedzieć, że znalazłem to, czego szukałaś wczoraj w przyczepie ojca. Oraz że godzinę temu zwolniono go z aresztu.

– Ale przecież się przyznał. Mówiliście, że...

– Dziś rano odwołał zeznania. Dowiedział się, że przebadamy go wariografem i że to ty do nas zatelefonowałaś z informacjami, które doprowadziły do zidentyfikowania szczątków twojego brata.

Pokręciła lekko głową.

– Nie rozumiem.

– Myślę, Sheilo, że jednak rozumiesz. Twój ojciec sądził, że to ty zabiłaś Arthura. To ty go biłaś bez przerwy i maltretowałaś, to ty zawiozłaś go do szpitala po tym, gdy przyłożyłaś mu kijem. Kiedy zniknął, wasz ojciec pomyślał, że przeszarżowałaś, że zabiłaś chłopca i zakopałaś ciało.

Ukryła twarz w dłoniach.

– Więc gdy tylko się u niego zjawiliśmy, przyznał się do zabójstwa.

Chciał wziąć twoją winę na siebie, by odpokutować za to, co ci robił. Za to.

Bosch sięgnął do kieszeni, wyjął kopertę zawierającą zdjęcia i położył ją na stole. Sheila powoli opuściła ręce. Nie otworzyła jednak koperty. Nie musiała.

– Jak ci się podoba taka interpretacja?

– Wy... wy tym się zajmujecie? Włazicie z buciorami w cudze życie...

Grzebiecie w intymnych sprawach?

– To my jesteśmy fachowcami w tej robocie. Czasami musimy nimi być. Posłuchaj mnie, Sheilo. Byłaś ofiarą. Byłaś dzieckiem. On był twoim ojcem. Był silny i miał władzę. W byciu ofiarą nie ma nic wstydliwego. Bez względu na to, jak ciężkie brzemie dźwigasz na swoich barkach, teraz przyszła pora, by je zrzucić. Powiedz nam, co się wydarzyło. Jesteśmy z powrotem w punkcie wyjścia i potrzebujemy twojej pomocy. Czy w tym ostatnim dniu stało się coś, o czym nam dotąd nie powiedziałaś?

Opuściła głowę.

– Wiedziałałam, że Arthur chce uciec – wydukała. – Gdy wróciłam ze szkoły, był w domu. W swoim pokoju. Drzwi były uchylone, więc zajrzałam. Wkładał ubranie do plecaka. Wiedziałałam, co zamierza zrobić. Pakował się, żeby uciec. No i... Pobiełam do siebie i zamknęłam drzwi.

Chciałam, żeby sobie poszedł. Chyba go nienawidziłam. W moich oczach to on był przyczyną tego wszystkiego.

Podniosła głowę i spojrzała na Boscha. Miała wilgotne oczy.

– Mogłam go zatrzymać, ale tego nie zrobiłam. I właśnie z tym muszę żyć przez te wszystkie lata. Teraz, gdy już wiem, co się z nim stało...

– Dziękujemy ci, Sheilo – rzekł łagodnym tonem Bosch. – Nie będziemy zabierać ci więcej czasu.

Odwrócił się do wyjścia, lecz nagle usłyszał, że kobieta się śmieje.

Spojrzał na nią. Kręciła głową.

– Co się stało?

– Nic. Po prostu siedzę tu przez cały dzień i słucham aktorów, którzy próbują was naśladować. Teraz już wiem, że wszystkim bardzo daleko do oryginału.

– Bo to show-biznes, a nie prawdziwe życie – skwitował Bosch.

W PIĄTEK O drugiej po południu Bosch i Edgar zasiedli przy swoim stole w sekcji zabójstw. Drogę z Westside do Hollywood pokonali w całkowitym milczeniu. Mijał dziesiąty dzień śledztwa. Znalezienie zabójcy Arthura Delacroix wydawało się równie odległe dzisiaj, jak było odległe przez te wszystkie lata, kiedy kości chłopca leżały w ziemi przy Wonderland Avenue.

Na Boscha czekał plik różowych kartek z wiadomościami telefonicznymi. Oraz koperta z wydziału wewnętrznego.

– W samą porę – mruknął. Otworzył kopertę i wyjął dyktafon, który natychmiast wsunął do kieszeni. Potem przejrzał wiadomości telefoniczne.

Otrzymał między innymi informację z zakładu medycyny sądowej, że szczątki Arthura Delacroix wydano rodzinie, aby mogła je pochować. Pogrzeb zaplanowano na niedzielę. Odłożył świstek na bok.

Następna w kolejności różowa karteczka wprawiła go w osłupienie.

Gdy ją przeczytał, poczuł ucisk w skroniach. Dzwonił niejaki porucznik Bollenbach z biura operacyjnego – z 0-3, jak popularnie zwano ten pion.

Biuro zajmowało się sprawami kadrowymi i przeniesieniami.

Bosch przypomniał sobie, co Irving powiedział mu w pokoju przesłuchań przed kilkoma dniami. Zrozumiał, że telefon z 0-3 oznacza, iż zamierzają go przenieść z komendy w Hollywood. Nowe stanowisko pociągnie prawdopodobnie za sobą „terapię autostradową” – konieczność pokonywania długiej drogi z domu do pracy i z powrotem. Była to częsta zagrywka ze strony szefostwa, żeby zmusić niechcianych funkcjonariuszy do odejścia z policji.

Bosch postanowił nie oddzwaniać i zataić tę sprawę przed Edgarem. Nie obchodziły go rozgrywki przełożonych. Obchodziła go jego robota, misja.

Wiedział, że bez tego jest zgubiony.

Wrócił do przeglądania wiadomości. Ostatnia pochodziła od Antoine'a Jespera. Biegły telefonował o dziesiątej rano.

– Jadę do śródmieścia – powiedział Bosch Edgarowi. – Muszę oddać ten manekin, który wczoraj pożyczyłem.

Chwycił telefon i połączył się z Jesperem.

– Twoja lala jest bezpieczna – oznajmił.

– To świetnie, ale ja dzwoniłem do ciebie w innej sprawie. Chciałem ci powiedzieć, że mogę nieco uściślić moją ekspertyzę dotyczącą deskorolki. Wcześniej mówiłem, że wyprodukowano ją między lutym siedemdziesiątego ósmego a czerwcem osiemdziesiątego szóstego roku, tak?

– Tak.

– No właśnie, a teraz możemy sporo zawęzić ten przedział czasowy.

Mam pewność, że zrobiono ją między siedemdziesiątym ósmym rokiem a osiemdziesiątym. Czyli byłyby to dwa lata. Nie wiem, czy to ci coś pomoże.

– Jak do tego doszedłeś? W raporcie napisałeś, że ten typ produkowano aż do osiemdziesiątego szóstego.

– Owszem, ale na deskorolce jest data: tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty rok. Odkręciłem tracki, no wiesz, te mocowania kolek. Chciałem zobaczyć, czy są jakieś cechy charakterystyczne na tych elementach. Nie było. Ale ktoś wydrapał w desce datę, którą potem zasłoniły tracki.

– Twoim zdaniem to data produkcji?

– Nie. Moim zdaniem zrobił to właściciel, żeby w niewidoczny sposób oznaczyć swoją deskorolkę. Na wypadek, gdyby ktoś mu ją ukraść. Deskorolki tej firmy były wtedy w cenie. Dzieciak, który miał tę deskorolkę, odkręcił jeden tylny track i wydrapał datę: 1980 A. D.

Bosch spojrzał na Edgara, który rozmawiał przez drugi telefon, zakrywając słuchawkę dłonią. Oho, sprawy prywatne.

– A. D., mówisz?

– Tak. No wiesz: Anno Domini. To po łacinie.

– Nie. To nie Anno Domini, tylko Arthur Delacroix. To deskorolka ofiary. Nie ruszaj się stamtąd, Antoine, zaraz będę u ciebie.

BOSCH jechał w pośpiechu do śródmieścia. Zdawał sobie sprawę, że jego

zniecierpliwienie wywołane jest wiadomością z 0-3 oraz odkryciem Jespera. Wiedział, że przeniesienia na ogół odbywają się tuż przed dniem wypłaty. W miesiącu były dwa takie dni – pierwszy i piętnasty. Jeśli zamierzają go przenieść jak najszybciej, zostały mu tylko trzy, cztery dni, by doprowadzić śledztwo do końca.

Zapisał telefon komórkowy.

– Harry, co się dzieje? – spytał Edgar.

– Mówiłem ci, muszę się spotkać z Jesperem.

– Słuchaj, Givers cię szuka po całej komendzie, no i... eeee... chodzą plotki, że wylatujesz.

– Nic o tym nie wiem.

– Ej, ale chyba mi powiesz, jak coś się będzie działo? Pracujemy razem nie od wczoraj.

– Dowiesz się pierwszy, Jerry.

Gdy Bosch dotarł do komendy głównej w Parker Center, Jesper zaprowadził go do laboratorium. Na stole leżała deskorolka. Włączył lampę na stojaku i przesunął nad deskorolkę wysięgnik ze szkłem powiększającym. W padającym z ukosa silnym świetle ukazał się wydrapany napis: „1980 A. D.”.

– Świetnie – rzekł Bosch, wyprostowując się. – Muszę ją zabrać.

– Dobra, ja swoje zrobiłem – odparł Jesper. – Jest twoja.

O WPÓŁ do piątej Bosch wmaszerował tylnymi drzwiami do komendy, niosąc deskorolkę w pudle po skoroszytach. Szedł korytarzem, gdy nagle z dyżurki wystawił głowę Mankiewicz.

– Ej, Harry!

Spojrzał przez ramię, lecz się nie zatrzymał.

– Co jest?

– Słyszałem nowinę. Będzie nam ciebie brakować.

Pogłoski rozchodzą się lotem błyskawicy. Trzymając pudło prawą ręką, lewą Bosch zakreślił półkole nad płaską powierzchnią wyimaginowanego oceanu. Gest ten symbolizował radiowóz patrolujący ulicę. Oznaczał: „Obyś miał miły rejs”.

Gdy dotarł na miejsce, zobaczył, że Edgar położył na stole dużą białą tablicę, na której narysował coś w kształcie termometru. W istocie była to Wonderland Avenue, z rondem na samym końcu, przypominającym główkę termometru. Od ulicy odchodziły kreski reprezentujące poszczególne domy, a przy każdej kresce widniały nazwiska mieszkańców napisane zielonym, niebieskim, brązowym lub czarnym flamastrem. Miejsce znalezienia kości oznaczono dużym czerwonym iksem. Bosch

stanął i popatrzył na wykres.

– Powinniśmy to byli zrobić na samym początku – oświadczył Edgar.

– Jak to odczytać?

– Na zielono oznaczyłem ludzi, którzy mieszkali tam w osiemdziesiątym roku, ale potem się wyprowadzili. Niebiescy to ci, którzy sprowadzili się tam po osiemdziesiątym, ale też już się wynieśli. Na brązowo masz obecnych mieszkańców, którzy przyjechali po roku osiemdziesiątym. Czarne nazwiska – jak Guyot tutaj – to ci, którzy mieszkają tam przez cały czas.

Bosch skinął głową. Były tylko dwa czarne nazwiska: doktor Guyot i niejaki Al Hunter.

– Co masz w pudle? – zapytał Edgar.

– Deskorolkę. Jesper znalazł coś ciekawego.

Bosch postawił pudło na stole i zdjął pokrywę. Pokazał koledze wydrapany napis.

– Musimy od nowa przyjrzeć się Trentowi. Może miałeś rację, podejrzewając, że sprowadził się do tej okolicy dlatego, że zakopał chłopca na wzgórzu.

– Harry, ja wtedy żartowałem.

– Ale teraz to już nie są żarty.

Bosch zobaczył, że porucznik Givers macha do niego ręką.

– Muszę pogadać z Giwerą – rzekł. Ruszył do gabinetu przełożonej.

Siedziała za biurkiem.

– Harry, masz przeniesienie z 0-3. Musisz natychmiast zatelefonować do porucznika Bollenbacha.

– Pytałaś, gdzie wyląduję?

– Nie, za bardzo jestem wkurzona z tego powodu.

Uśmiechnął się.

– Jesteś wkurzona?

– Tak. Nie chcę cię stracić. A zwłaszcza dlatego, że ktoś na górze ma do ciebie jakieś głupie żale.

– Dzięki, pani porucznik. A może ty zadzwoń do Bollenbacha? Włącz głośnik, żebyśmy słyszała. Zadzwoń, będziemy to mieć z głowy.

Wreszcie na niego spojrziała.

– Chcesz?

– Tak. Dzwoń.

Przełączyła aparat na głośnik i wybrała numer Bollenbacha. Odebrał natychmiast.

– Mówi porucznik Givers. Jest u mnie oficer śledczy Bosch.

– O, świetnie. Jedną chwileczkę, tylko znajdę rozkaz dotyczący przeniesienia.

W głośniku rozległ się szelest papierów, potem porucznik głośno odchrząknął.

– Oficer śledczy Hi... że jak... Hiery...

– Hieronymus – podpowiedział Bosch. – Rymuje się z „przymus”.

– O, właśnie. Hieronymus Bosch ma się zameldować w wydziale kryminalnym piętnastego stycznia o ósmej rano. To wszystko. Czy rozkaz jest jasny?

Bosch zaniemówił. Przeniesienie do tego wydziału było awansem.

Przed ponad dziesięciu laty relegowano go stamtąd do komendy w Hollywood. Zerknął na Givers – ona też miała zdziwioną minę.

– Na czym będą polegać moje obowiązki?

– Tego dowie się pan od nowego przełożonego, gdy stawi się pan do pracy. To wszystko. – Bollenbach rozłączył się i w głośniku zabuczał ciągły sygnał.

Bosch spojrzął na Givers.

– To jakiś żart?

– Jeśli tak, to całkiem niezły – odparła. – Winszuję.

– Ale przecież kilka dni temu Irving kazał mi iść na emeryturę.

– Może więc przeniósł cię stąd, bo chce mieć na ciebie oko. Lepiej uważaj, Harry.

Pokiwał głową.

– Z drugiej strony – ciągnęła Givers – oboje wiemy, że twoje miejsce jest tutaj. Będzie mi ciebie brakować. Dobrze wykonujesz swoją robotę.

Znów skinął głową, w wyrazie podziękowania. Uśmiechnął się.

– Chyba nie uwierzysz, ale naszym podejrzanym znowu jest Trent. Chodzi o deskorolkę z jego mieszkania. Antoine Jesper znalazł na niej coś, co go łączy z ofiarą.

Przedstawił pokrótce swoje zamierzenia: dokładne przesłедzenie całego życia nieżyjącego dekoratora. Givers słuchała uważnie.

– Coś ci powiem – rzekła, gdy skończył mówić. – Podpiszę ci zezwolenie na nadgodziny w weekend. Weź się za to porządnie, prześwietl wszystko dokładnie i informuj mnie na bieżąco. Masz cztery dni, Harry.

Nie chcę, żebyś odszedł, zostawiając rozbabrane śledztwo.

Skinął głową i wymaszerował z gabinetu. Wracając przez salę, czuł na sobie spojrzenia wszystkich oczu. Zachował kamienną twarz. Usiadł przy stole i opuścił wzrok.

– No i? – spytał wreszcie Edgar. – Co dostałeś?

– WK.

– WK?!

Edgar właściwie wrzasnął. No tak, pomyślał Bosch, już się rozniosło.

Poczuł, że się czerwieni.

– Najpierw Kiz, teraz ty – jęknął Edgar. – A ja to co? Oni myślą, że ja to co jestem? Para dziurawych kaloszy?

Z GŁOŚNIKÓW płynęło „Kind of Blue”. Z butelką piwa w ręku Bosch wyciągnął się na rozkładanym krześle. Był to zwariowany dzień kończący zwariowany tydzień. Teraz pragnął tylko tego, by muzyka wypełniła go i oczyściła. Wyczuwał, że znalazł się u progu wielkich zmian. Że za chwilę rozpocznie nowy okres w swoim życiu. Okres, w którym przyjdą większe niebezpieczeństwa i większe nagrody. W którym będzie się toczyć gra o wyższą stawkę.

Uśmiechnął się wreszcie, bo teraz nikt na niego nie patrzył.

Zadzwoił telefon. Bosch zerwał się i poszedł do kuchni, żeby odebrać.

– Bosch? – zabrzmiał głos Irvinga.

– Tak, słucham?

– Odebraliście dzisiaj wasze przeniesienie?

– Tak jest.

– To dobrze. Chcę, byście wiedzieli, że to ja podjąłem decyzję o waszym powrocie do wydziału kryminalnego. Po naszej ostatniej rozmowie postanowiłem dać wam jeszcze jedną szansę. To przeniesienie to właśnie ta szansa. Będziecie pełnić nową funkcję pod moim baczny okiem.

– A co to za funkcja?

Zapadła cisza. Po chwili Irving odparł:

– Dostajecie z powrotem tę samą robotę. Agent specjalny w wydziale zabójstw. Zwolniło się miejsce, bo Thornton zrezygnował.

Bosch był rozradowany, lecz nie zamierzał tego okazać.

Jak gdyby czytając w jego myślach, Irving rzekł:

– Może myślicie, że wpadliście do rynsztoka, lecz cudownym zrządzeniem losu wychodzicie na wierzch pachnący jak różyczka. Niech wam się tak nie wydaje. Radzę wam, byście nie brali niczego za dobrą monetę. I byście nie popełniali żadnych błędów. Bo na plecach będziecie bez przerwy czuć mój oddech. Czy to jasne?

– Jasne jak słońce.

Irving rozłączył się bez słowa pożegnania. Siadając z powrotem na krześle, Bosch poczuł, że coś uwiera go w biodro. Sięgnął do kieszeni i wyjął dyktafon.

W urządzeniu wciąż tkwiła kasetka, na której nagrał rozmowę z Nicholasem Trentem parę godzin przed jego samobójstwem. Nagle uświadomił sobie, że nie wysłuchał tego nagrania do końca. A przecież część rozmowy mu umknęła, bo

rozglądał się po domu Trenta!

Włączył dyktafon. Odtworzył nagranie do końca, lecz nic nie zwróciło jego uwagi. Cofnął taśmę i zaczął odsłuchiwać ją jeszcze raz. I nagle poczuł falę gorąca. Szybko przewinął taśmę i ponownie wysłuchał wymiany zdań między Edgarem i Trentem. Pamiętał, że słyszał te słowa, stojąc w korytarzu. Lecz dopiero teraz zrozumiał ich znaczenie.

„I co, lubił pan patrzeć, jak te dzieci bawią się w lesie?”

„Nie. Skoro bawiły się w lesie, to nie mogłem ich stąd widzieć. Czasem, jak przejeżdżałem tamtędy albo szedłem z psem na spacer, kiedy jeszcze żył, to widziałem dzieci wążące na wzgórzu. Dziewczynkę z naprzeciwka. Różne dzieci z tego domu Patronów po sąsiedzku. Wszystkie dzieciaki z osiedla”.

Wyłączył dyktafon i podszedł do telefonu.

Edgar odebrał już po pierwszym sygnale. Nie spał, bo była dopiero dziewiąta.

– Nie przywiozłeś przypadkiem czegoś z komendy do domu?

– Na przykład czego?

– Spisów mieszkańców.

– Nie, Harry. Są w biurze. Co się dzieje?

– Nie wiem. Słuchaj, robiłeś dzisiaj ten wykres na tablicy. Pamiętasz może, czy wśród mieszkańców Wonderland Avenue był ktoś o nazwisku Patron?

– Patron? Hm, nie przypominam sobie. A co?

– Nic, zadzwonię do ciebie później.

Bosch otworzył teczkę i wyjął „księgę zabójstwa”. Szybko przewertował kartki i odnalazł listę obecnych mieszkańców Wonderland Avenue wraz z numerami telefonów. Nie było żadnego Patrona. Chwycił słuchawkę i wybrał numer. Po czterech sygnałach usłyszał znajomy głos.

– Dobry wieczór, doktorze, mówi Bosch z policji. Mam pilną sprawę.

Chciałbym zadać panu kilka pytań na temat pańskich sąsiadów.

– Proszę bardzo – odparł Guyot.

– Czy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku w waszej okolicy mieszkała rodzina albo małżeństwo o nazwisku Patron?

– Nie, chyba nie.

– Dobrze. A czy w takim razie po sąsiedzku mieszkał ktoś, kto prowadził dom dziecka albo dom wychowawczy?

– A, owszem. Blaylockowie. Bardzo mili ludzie. Prowadzili dom o nazwie „Patroni”.

– Pamięta pan ich imiona?

– Don i Audrey.

– Kiedy się wyprowadzili?

– Och, będzie co najmniej dziesięć lat.

– Wie pan, dokąd się przenieśli? Mieszkają ciągle w Los Angeles?

– Hm, nie pamiętam, zaraz, zaraz...

– Proszę się nie spieszyć, doktorze. Niech pan się spokojnie zastanowi.

Niech pan spróbuje sobie przypomnieć.

– Ale wie pan co?! – zakrzyknął nagle Guyot. – Mam kartki bożonarodzeniowe. Nigdy ich nie wyrzucam. Audrey przysyła mi co roku pocztówkę na święta.

– Proszę odszukać te pocztówki. Zaczekam.

Guyot wrócił po kilku długich minutach.

– Mam, znalazłem! – zawołał.

Gdy wyrecytował adres, Bosch omal nie westchnął donośnie. Co za ulga. Don i Audrey Blaylockowie nie przenieśli się na Alaskę ani do innego odległego zakątka. Mieszkali w zasięgu jazdy samochodem. Podziękował Guyotowi i odłożył słuchawkę.

W SOBOTĘ o ósmej rano Bosch obserwował z samochodu mały drewniany dom stojący nieopodal głównej drogi w miasteczku Lone Pine u podnóża Sierra Nevada, trzy godziny jazdy z Los Angeles. Popijał zimną kawę z plastikowego kubka. Kości bolały go od chłodu i długiego siedzenia w samochodzie.

O dziewiątej zobaczył, że z domu wychodzi mężczyzna około sześćdziesiątki. Wziął z progu poranną gazetę i zniknął z powrotem w środku.

Bosch ruszył. Wjechał na podjazd i zatrzymał auto. Wysiadł i skierował się do domu. Zanim zdążył zapukać, widziany przed chwilą mężczyzna otworzył drzwi.

– Pan Blaylock?

– Tak, to ja.

Bosch mignął odznaką.

– Chciałbym porozmawiać chwilę z panem i pańską żoną. Prowadzę dochodzenie.

– Długo pan sterczał pod naszym domem?

– Od czwartej rano. Za późno przyjechałem, by znaleźć pokój na noc.

– Proszę wejść, akurat nastawiliśmy kawę. – Mężczyzna wpuścił Boscha do środka. Wskazał ręką kanapę oraz krzesła stojące półkolem przed kominkiem. – Pójdę po żonę i po kawę.

Bosch już miał usiąść, gdy zauważył zdjęcia wiszące na ścianie.

Wszystkie przedstawiały dzieci i nastolatków. Różnych ras. Podopiecznych

domu wychowawczego „Patroni”. Usiadł i czekał.

Po chwili wrócił Blaylock z kubkiem parującej kawy. Za nim weszła kobieta o sympatycznej twarzy.

– To moja żona Audrey – rzekł mężczyzna. – Czy pije pan z mlekiem?

Wszyscy policjanci, których znałem, pili bez mleka.

– Czarna wystarczy. Znał pan wielu policjantów?

– Owszem, gdy mieszkaliśmy w Los Angeles. Przepracowałem trzydzieści lat w straży pożarnej, dziewięćdziesiątym drugim odszedłem ze stanowiska komendanta rejonowego.

– O czym chce pan z nami porozmawiać? – wtrąciła kobieta, najwyraźniej zniecierpliwiona wspominkami męża.

– Pracuję w sekcji zabójstw. Komenda w Hollywood. Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa w Laurel Canyon. Państwo mieszkali tam kiedyś. Kontaktujemy się z osobami, które w roku osiemdziesiątym mieszkały przy Wonderland Avenue.

– Dlaczego akurat wtedy?

– Bo wtedy popełniono to morderstwo. Jednak szczątki chłopca odkryto dopiero niedawno. Zakopano go w lesie na wzgórzu.

– O mój Boże! – jęknęła Audrey Blaylock. – Kim był ten chłopiec?

– Był jeszcze dzieckiem. Miał dwanaście lat. Nazywał się Arthur Delacroix. Czy to nazwisko coś państwu mówi?

– Mnie nie – odparł Don Blaylock.

– A gdzie on mieszkał? – spytała jego żona. – Bo w naszej okolicy chyba nie.

– Nie. Dalej, w Miracle Mile.

– To okropne – westchnęła kobieta. – Co chciałby pan wiedzieć?

– No cóż, próbujemy odtworzyć tę ulicę z tamtych czasów. Od niektórych sąsiadów dowiedziałem się, że państwo prowadzili dom wychowawczy. Czy tak?

– Tak – odparła. – Przez dwadzieścia pięć lat opiekowaliśmy się różnymi dziećmi.

– Godne podziwu. Ile dzieci mieliście?

– Trudno dokładnie zliczyć. Niektórymi opiekowaliśmy się przez długie lata, inne przebywały u nas zaledwie parę tygodni. Często zależało to od kaprysu sądu do spraw nieletnich. Zawsze mówiłam, że aby prowadzić dom wychowawczy, trzeba być człowiekiem wielkiego, ale twardego serca.

– Raz zrobiliśmy obliczenia – dorzucił Blaylock. – Ogółem w różnych okresach mieliśmy pod opieką trzydzieścioro ośmioro dzieci. Ale realistycznie rzecz biorąc, to można powiedzieć, że wychowaliśmy siedemnaścioro. Tych siedemnaścioro było

z nami na tyle długo, byśmy mogli jako tako je ukształtować.

– Czy mogliby mi państwo opowiedzieć o dzieciach, którymi opiekowaliście się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku? – spytał Bosch.

– Czy w tę sprawę zamieszane jest któreś z naszych dzieci? – spytała Audrey.

– Tego nie wiem, proszę pani. Jak już mówiłem, próbujemy odtworzyć obraz ulicy z tamtych czasów. Od tego musimy zacząć. Nie mają państwo żadnych archiwów, z których by wynikało, kto i jak długo u was przebywał?

– Mieliśmy – odparł Blaylock. – Ale teraz są przechowywane w Los Angeles. – Nagle pstryknął palcami. – Ale wie pan co, mamy listę wszystkich dzieci, którym próbowaliśmy pomóc. Nie jest ona jednak ułożona chronologicznie. Spisaliśmy nazwiska, żeby nie utracić z nikim kontaktu, pamiętać o urodzinach. Czy to się przyda?

– O tak, może się okazać bardzo pomocne.

Blaylock wyszedł z pokoju. Chwilę później wrócił z zielonym skoroszytem. Otworzył go i wyjął sporządzoną odręcznie listę, którą położył na stoliku. Potem zaczął stawiać krzyżyki przy niektórych nazwiskach.

– Zaznaczam osoby po osiemdziesiątym roku – wyjaśnił.

Bosch przebiegi spojrzeniem spis, wyprzedzając dłoń Blaylocka. Nie dotarł do samego końca. Wyciągnął rękę i wskazał palcem nazwisko.

– Proszę mi o nim opowiedzieć.

– A o kogo chodzi? – spytała Audrey.

– O Johnny’ego Stokesa. Mieli go państwo u siebie w osiemdziesiątym roku, tak?

ZROBIŁ dwie strony notatek na temat Stokesa. Chłopak zjawił się u Blaylockow w styczniu 1980 roku, a odszedł w lipcu, kiedy aresztowano go za kradzież samochodu. Po okresie spędzonym w domu poprawczym oddano go z powrotem rodzicom.

– Zdarzało się, że nie potrafiliśmy pomóc jakiemuś dziecku – rzekła Audrey. – Johnny był właśnie takim przypadkiem.

Bosch pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Czy pan podejrzewa, że on zabił tego chłopca, gdy był naszym podopiecznym? – spytała.

Zdawał sobie sprawę, że jeżeli odpowie szczerze, w pewien sposób przekreśli starania całego jej życia.

– Nie wiem. Wiem jednak, że był kolegą zamordowanego chłopca.

– Wstał. – Mam coś, co chciałbym państwu pokazać. Muszę pójść do samochodu.

Pomaszerował do auta i zabrał z niego teczkę. Następnie otworzył bagażnik i wyjął pudło zawierające deskorolkę. Gdy zatrzasnął klapę, zapisał jego telefon komórkowy.

– Harry, gdzie ty się podziewasz? – spytał Edgar.

– W Lone Pine. A ty?

– Jestem w biurze. Myślałem, że...

– Posłuchaj. Zadzwoń do ciebie w ciągu godziny. Ty w tym czasie zorganizuj nakaz aresztowania Stokesa. Musimy go zgarnąć.

– Dlaczego?

– Bo to on. To on zabił Arthura Delacroix.

– Jasna cholera, co ty gadasz?

– Zadzwoń w ciągu godziny. Przygotuj nakaz.

Wszedłszy z powrotem do domu, Bosch postawił pudło na podłodze i położył sobie teczkę na kolanach. Wyjął z niej kopertę ze zdjęciami pożyczonymi od Sheili Delacroix.

– Proszę przyjrzeć się temu chłopcu i powiedzieć mi, czy kiedykolwiek był u państwa. Z Johnnym lub z kimkolwiek innym.

Patrzył bacznie na Blaylocków oglądających fotografie. Pokręcili głowami.

– Nigdy go nie widziałem – stwierdził mężczyzna.

– Dobrze – rzekł Bosch i schował zdjęcia. Następnie otworzył pudło i pokazał deskorolkę.

– To Johnny’ego! – zakrzyknęła Audrey.

– Jest pani pewna?

– Tak, rozpoznaję ją. Została u nas, kiedy policja go zabrała. Dzwoniłam potem do jego rodziny, ale nigdy się po nią nie zgłosił.

– Skąd pani wie, że to jego deskorolka?

– Bo ją pamiętam. Nie podobała mi się ta czaszka z pieszczelami.

– Co się działo potem z tą deskorolką, gdy chłopak po nią nie wrócił?

– Sprzedaliśmy ją. Kiedy Don odszedł na emeryturę i postanowiliśmy się przenieść tutaj, sprzedaliśmy wszystkie niepotrzebne rzeczy.

– Pamiętają państwo, komu ją sprzedali?

– Tak. Sąsiadowi. Nazywał się Trent.

– Kiedy to było?

– Latem dziewięćdziesiątego drugiego. Zaraz po tym, gdy sprzedaliśmy dom. Pan

Trent kupił sporo rzeczy, których chcieliśmy się pozbyć. Potrzebował różnych rekwizytów do swojej pracy. Był dekoratorem.

Bosch zapisał coś w notatniku.

– Czy Johnny Stokes kiedykolwiek pochwalił się państwu, skąd ma tę deskorolkę?

– Powiedział, że wygrał ją w zawodach z innymi chłopcami w szkole – odparła Audrey.

– W szkole Braci Zakonnych?

– Tak. Tam się uczył.

Skinął głową. Zamknął notatnik, włożył go do kieszeni płaszcza i wstałby się pożegnać.

ZAPARKOWAŁ przed restauracją w Lone Pine. Był wygłodniały, zdawał sobie jednak sprawę, że musi bezzwłocznie porozmawiać z Edgarem. Wyjął telefon komórkowy i wybrał numer.

Edgar odebrał natychmiast.

– To ja. Masz nakaz?

– Mam, ale ciężko załatwić takie papierki, gdy nie wiem, co jest grane, mój drogi kolego.

Było to ich ostatnie wspólne śledztwo. Bosch miał wyrzuty sumienia, że odstawił Edgara na boczny tor. I to z powodów, których właściwie nie potrafił wyjaśnić.

– Jerry, posłuchaj. Wiem, że zachowuję się okropnie, ale nie chciałem tracić czasu. Dlatego zacząłem działać na własną rękę. Musiałem pędzić do Lone Pine w środku nocy.

– Pojechałbym z tobą.

– Wiem – skłamał. – Nie pomyślałem. Po prostu wskoczyłem w samochód i już.

– Dobra, zacznij od początku, bo chciałbym wiedzieć, o co chodzi.

Przez następne dziesięć minut Bosch nakreślał sytuację.

– Twierdzisz więc, że chłopak się spakował, uciekł z domu i poszedł do Stokesa? A ten zaprowadził go do lasu i zabił?

– Mniej więcej.

– Dlaczego to zrobił?

– O to musimy jego zapytać. Ale mam swoją hipotezę. Chciał mieć deskorolkę Arthura.

– Zabił dla deskorolki?

– Obaj dobrze wiemy, że ludzie zabijają z jeszcze błahszych powodów, poza tym nie mamy pewności, czy chciał zabić. Wykopał rękoma płytki grób. Nic nie wskazuje na to, że zabił z premedytacją. Może tylko popchnął Arthura i walnął go w głowę.

– Harry, na miłość boską! Czy to znaczy, że cała ta skomplikowana sprawa sprowadza się do tego, że dwadzieścia pięć lat temu jeden trzynastolatek przyłożył drugiemu dzieciakowi, bo chciał mu odebrać cholerną zabawkę? Stokes był wtedy niepełnoletni. Nikt go dziś nie postawi w stan oskarżenia.

Bosch wiedział, że Edgar ma rację. Nawet jeśli Johnny Stokes przyzna się do wszystkiego, prawdopodobnie wyjdzie z aresztu jako wolny człowiek.

– Szkoda, że nie pozwoliłem jej go zastrzelić – szepnął.

– Co mówisz?

– Nic, nic. Przekąszę coś i wracam. Będziesz w biurze?

– Tak. Gdyby coś się działo, dam ci znać.

Bosch się rozłączył. Nagle zorientował się, że myśl o bezkarności Stokesa odebrała mu apetyt.

BOSCH wyjeżdżał akurat z pętli autostrady, gdy zapiszczał jego telefon komórkowy.

– Namierzyli Stokesa – powiedział Edgar. – Zadekował się w Usher.

Był to hotel z lat trzydziestych położony zaledwie jedną przecznicę od Hollywood Boulevard. Przez dziesiątki lat pełnił funkcję taniego domu noclegowego, ale w wyniku bumu budowlanego w ostatnich latach nabrał wartości, toteż postanowiono go odremontować. Prace jednak wstrzymano, ponieważ planiści ociągali się z wydaniem przychylniej opinii. Hotel czekał na decyzję, a tymczasem na jego dwunastym piętrze zagnieździli się dzicy lokatorzy. W budynku nie było prądu. Nie było też bieżącej wody, ale mieszkańcy i tak używali toalet. Z pokoiów usunięto drzwi i meble, za łóżka służyły zrolowane dywany. Przeszukanie tego przybytku wydawało się niemożliwe.

– Skąd wiemy, że on tam jest? – spytał Bosch.

– Nasi od narkotyków rozpracowywali tam kogoś i dostali cynk, że Stokes zamelinował się na dwunastym piętrze. Trzeba mieć sporo na sumieniu, żeby tam wleźć, bo windy nie działają.

– Dobra, jaki jest plan?

– Włazimy z przytupem. Cztery patrole, ja i ci od narkotyków. Zaczynamy od parteru i metodycznie posuwamy się do góry.

– Kiedy?

– Za chwilę mamy zbiórkę. A zaraz potem wkraczamy. Nie możemy na ciebie czekać, Harry. Musimy go zdjąć jak najszybciej.

Bosch zastanawiał się przez chwilę, czy ten pośpiech jest uzasadniony, czy po prostu Edgar chce się na nim odegrać za kilka samodzielnych działań.

– Wiem – rzekł. – Do zobaczenia.

Rozłączył się i docisnął pedał gazu. W sobotę na ulicach było niewiele samochodów. Pół godziny później dotarł do Hollywood. Wjeżdżając na Highland, w oddali zobaczył górującą sylwetkę hotelu Usher.

Nie miał krótkofalówki, poza tym zapomniał spytać Edgara, gdzie będzie punkt dowodzenia akcją. Zatelefonował więc do komendy. Odebrał Mankiewicz.

– Cześć, Mank. Gdzie jest zbiórka przed akcją w hotelu Usher?

– Na parkingu przy kościele prezbiteriańskim.

– Dobra, dzięki.

Dwie minuty później Bosch wjechał na parking obok kościoła. Zobaczył pięć radiowozów, samochód Edgara i wóz agentów z wydziału antynarkotykowego. Stały zaparkowane blisko kościoła, żeby nie było ich widać z okien hotelu. W jednym z radiowozów siedziało dwóch funkcjonariuszy.

Bosch zatrzymał się, wysiadł z auta i podszedł do radiowozu od strony kierowcy.

– Cześć, gdzie oni są?

– Na jedenastym piętrze. Na razie nic nie mają.

Klatki schodowe znajdowały się na dwóch przeciwległych krańcach budynku. Bosch wybrał schody od wschodniej strony. Wchodząc, spostrzegł, że usunięto wszystkie drzwi prowadzące z klatki schodowej na korytarz, a wraz z nimi oznaczenia pięter. Ktoś wprawdzie zadał sobie trud, by namalować cyfry, lecz zapału starczyło mu zaledwie na kilka pierwszych kondygnacji. Wyżej Bosch szybko stracił orientację

Na ósmym lub dziewiątym piętrze przystanął, żeby odsapnąć. Nasłuchiwał, lecz nie było żadnych odgłosów. A przecież Edgar i pozostali powinni już dotrzeć na samą górę. Zaczynał wątpić. Może informacja była błędna? A może Stokes się wymknął?

Ruszył dalej. Chwilę później zorientował się, że źle policzył pokonywane piętra – na swoją niekorzyść. Wszedł na ostatni podest i zatrzymał się przed otwartymi drzwiami wiodącymi na korytarz. Dwunaste piętro.

Wtedy z głębi korytarza dobiegły krzyki:

– Tutaj, tutaj!

– Stokes, nie! Policja! Nieru...

Padły dwa szokująco głośne strzały, które rozniosły się echem po korytarzu, zagłuszając czyjeś wołanie. Bosch wyrwał pistolet z kabury i skoczył do drzwi. Wyrzwał ostrożnie zza framugi, lecz natychmiast cofnął instynktownie głowę, bo huknęły kolejne dwa strzały.

Przykucnął i zerknął znów w głąb korytarza. Zobaczył Edgara przyczajonego tuż za dwoma umundurowanymi policjantami. Zwróceni do niego plecami, mierzyli z broni w otwarte drzwi.

– Czysto! – zawołał ktoś. – Tutaj czysto!

Ci trzej jak na komendę unieśli pistolety i ruszyli do otwartych drzwi.

– Uwaga, policjant z tyłu! – krzyknął ostrzegawczo Bosch. Szybkim krokiem przemierzył korytarz. W drzwiach o mało nie zderzył się z funkcjonariuszem, który wychodził z pomieszczenia, rozmawiając przez krótkofalówkę.

– Centrala, przyślijcie karetkę, Hollywood czterdzieści jeden, dwunaste piętro.

Podejrzany ma rany postrzałowe.

Bosch rozpoznał Edgewooda. Ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy, po czym niedawny kolega Julii zniknął w mroku korytarza.

Bosch omiółł wzrokiem pokój. Stokes siedział bezwładnie w szafie bez drzwi, oparty o tylną ścianę. Jego ręce spoczywały na kolanach; w jednej tkwił pistolet – kieszonkowa spluwa małego kalibru. Ubrany był w czarne dzinsy i podkoszulek, który przesiąkł krwią. Na piersi i pod lewym okiem widniały rany od kuli. Miał otwarte oczy, lecz nie żył.

Przed nim przykucnął Edgar.

Bosch rozejrzał się dokoła: oprócz Jerry'ego w pokoju było trzech mundurowych i jeden funkcjonariusz w cywilu, prawdopodobnie z wydziału antynarkotykowego. Dwaj umundurowani policjanci przyglądali się kulom tkwiącym w ścianie.

– Niczego nie ruszać! – warknął Bosch. – Macie stąd wyjść i poczekać na tych z sekcji kontrolnej. Kto oddał strzały?

– Edgewood – odparł policjant po cywilnemu. – Facet chciał...

– Nie chcę niczego wiedzieć. Zachowaj swoją historyjkę dla sekcji kontrolnej. Znajdź Edgewooda, zabierz go na dół i tam zaczekajcie.

Policjanci niechętnie wyszli z pokoju, zostawiając Boscha i Edgara. Edgar wstał i zbliżył się do okna. Bosch podszedł do szafy i ukucnął na jego miejscu.

Spojrzał na broń w sztywnej dłoni. Był pewien, że numer seryjny został usunięty za pomocą kwasu.

Pomyślał o strzałach, które usłyszał, gdy dotarł na podest: najpierw dwa, potem kolejne dwa. Trudno to było ocenić, zwłaszcza że znajdował się dość daleko, ale wydawało mu się, że pierwsze dwa strzały były donośniejsze. Jeśli tak, znaczyłoby to, że najpierw wystrzelił Edgewood z broni służbowej, a potem Stokes ze swojej kieszonkowej zabawki.

Czyli że Stokes nacisnął spust dopiero wtedy, gdy został trafiony w pierś i twarz – a takie postrzały powodują przecież natychmiastową śmierć. Czy Edgewood...

– Co myślisz? – spytał Edgar, podchodząc.

– Nieważne, co myślę. Nie żyje. Teraz to już robota dla tych z sekcji kontrolnej.

– Sprawa zakończona, kolego. Nie musimy się już martwić, że prokurator odłoży ją *ad acta*.

Bosch skinął głową. Ich śledztwo dobiegło końca.

– Fakt, nie musimy – mruknął.

– Nasza ostatnia wspólna robota, Harry. Kończymy popisowo.

– Taa. Jerry, chcę cię o coś zapytać. Czy w trakcie przygotowań do akcji

wspomniałeś im, że sprawa prawdopodobnie będzie umorzona, bo Stokes był wtedy nieletni?

Po długiej chwili milczenia Edgar odparł:

– Tak, zdaje się, że coś o tym wspomniałem.

– Powiedziałeś im, że jesteśmy bezradni, tak jak powiedziałeś to mnie?

Że prokurator prawdopodobnie nie wniesie aktu oskarżenia?

– No tak, zdaje się, że mówiłem, bo co?

Bosch nie odpowiedział. Wstał i ruszył do drzwi. Nagle odwrócił się do Edgara.

– Dopilnujesz wszystkiego, dopóki nie przyjadą ci z sekcji kontrolnej?

– No pewnie. A ty dokąd, Harry?

Wyszedł bez słowa.

ŻYJĄCY członkowie nieistniejącej od dawna rodziny stali z dala od siebie niczym wierzchołki trójkąta. Po jednej stronie grobu Samuel Delacroix, po drugiej jego eks-żona. Sheila zajęła miejsce za trumną, naprzeciw duchownego. Matka i córka trzymały czarne parasolki, chroniąc się przed mżawką. Ojciec mókł na deszczu, ale żadna z kobiet nie przysunęła się, by go osłonić.

Bosch też nie miał parasola. Obserwował tę scenę z oddali, schowawszy się pod koroną dębu. Uznał, że to właściwe, iż Arthur Delacroix grzebany jest na wzgórzu i w deszczu.

Wcześniej zatelefonował do zakładu medycyny sądowej, żeby dowiedzieć się, który dom pogrzebowy zajmuje się pochówkiem szczątków.

Skierowano go do Forest Lawn. Dowiedział się także, że to matka chłopca zgłosiła się po jego kości. I to ona zadbała o pochówek.

Wszyscy troje omijali się wzrokiem. Gdy trumnę opuszczono do grobu i duchowny uczynił znak krzyża, Sheila odwróciła się i ruszyła spadzistym trawnikiem na parking. Jakby w ogóle nie dostrzegła obecności swoich rodziców.

Ojciec natychmiast podążył jej śladem, lecz gdy ona obejrzała się i zobaczyła, że za nią idzie, przyspieszyła kroku. Prędko dotarła do samochodu i odjechała, zanim zdążył ją dogonić.

Samuel patrzył, jak auto jego córki mknie przez rozległy cmentarz i znika w bramie wyjazdowej. Potem wsiadł do swojego samochodu i też odjechał.

Bosch spojrzał ponownie w stronę grobu. Duchowny już poszedł.

Przy mogile pozostała tylko Christine Waters. Odmówiła cichą modlitwę, po czym skierowała się na parking, gdzie czekały ostatnie dwa samochody. Ruszył w tym kierunku, chcąc przeciąć jej drogę. Gdy się zbliżył, spojrzała na niego spokojnie.

Zrównał się z nią.

– Dlaczego upomniała się pani o szczątki? – spytał.

– Bo uznałam, że nikt inny tego nie zrobi – odparła.

Doszli do drogi. Samochód Boscha stał bliżej.

– Do widzenia panu – powiedziała, podchodząc do swojego auta.

– Chwileczkę, mam coś dla pani. – Otworzył bagażnik.

Spojrzała zdziwiona.

– Co takiego? – Złożyła parasolkę i wrzuciła ją do samochodu, potem podeszła do Boscha.

– Ktoś mi kiedyś powiedział, że życie to poszukiwanie tylko jednej rzeczy. Odkupienia.

– Odkupienia? Czego?

– Wszystkiego. Czegokolwiek. Wszyscy chcemy, by nam przebaczone.

Wyjął z bagażnika kartonowe pudło.

– Proszę się zatroszczyć o te dzieci – powiedział.

Podniosła pokrywę. W środku znajdowały się pliki kopert spięte gumką oraz luźne fotografie. Na wierzchu leżało zdjęcie chłopca z Kosowa.

Chłopca o nieobecnym spojrzeniu.

Wsunęła rękę do środka.

– Skąd to?

– Nieważne. Ktoś musi się nimi zająć.

Skinęła głową i starannie przykryła pudło. Następnie wzięła je w obie dłonie, zaniósła do samochodu i położyła na tylnym siedzeniu. Wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. Wsiadła i odjechała.

Harry Bosch zatrzasnął klapę bagażnika i popatrzył za oddalającym się samochodem.

ZBLIŻAŁA się północ z soboty na niedzielę. Bosch postanowił posprzątać swoją część stołu, bo wiedział, że o tej porze w pobliżu nie będzie żadnych wścibskich oczu. Nazajutrz czekał go wprawdzie ostatni dzień pracy w hollywoodzkiej komendzie, uznał jednak, że gdy zjawi się rano, chce mieć wyprowadzkę za sobą. Potem zamierzał urządzić trzygodzinny pożegnalny lunch „U Mussa i Franka” dla tych, którzy coś dla niego znaczą.

Pogada z nimi trochę, po czym wyslizgnie się tylnymi drzwiami, zanim ktokolwiek się zorientuje. Nie widział innego sposobu.

Zaczął przekładać zawartość szuflady do dwóch pustych pudeł.

W pewnej chwili wyciągnął słoik pełen łusek. Znieruchomiał. Brakowało łuski zabranej z pogrzebu Julii Brasher. Trzymał ją na półce w domu, obok zdjęcia przedstawiającego paszczę rekina. Zdecydował, że zachowa tę fotografię, by przypominała mu o niebezpieczeństwach, które czyhają na człowieka, gdy postanowi opuścić bezpieczną klatkę. Ojciec Julii pozwolił mu zabrać to zdjęcie.

Ostrożnie wstawił słoik do pudła. Następnie wziął „księgi zabójstw” dotyczące nierozwiązanych spraw. Chciał nadal głowić się nad nimi w wolnych chwilach. Szuflada była niemal pusta. Sięgnął ręką głębiej i wyciągnął złożoną kartkę. „Gdzie jesteś, twardzielu?” – przeczytał.

Długo wpatrywał się w te słowa. Rozmyślał o wszystkim, co wydarzyło się w jego życiu, odkąd przed trzynastoma dniami pojechał na Wonderland Avenue. Rozmyślał o tym, co robił i gdzie bywał. Rozmyślał o Trencie i Stokesie, a przede wszystkim o Arthurze Delacroix i Julii Brasher.

Rozmyślał o tym, co powiedział Golliher o kościach ludzi zamordowanych przed tysiącami lat. I wśród tych rozmyślań objawiła się odpowiedź na zadane przez Julię pytanie.

– Nigdzie – odparł na głos.

Włożył kartkę do pudełka. Spojrzał na swoje dłonie, na oszpecone kłykcie. I pomyślał o wszystkich ranach wewnętrznych, które odniósł, boksując niewidzialne mury.

Zawsze zdawał sobie sprawę, że bez swojej pracy, bez odznaki i poczucia misji będzie zgubiony. Lecz w tej chwili dotarło do niego z całą mocą, że nawet jeśli pozostanie policjantem, czekać go może taki sam los. Że to właśnie praca prowadzi go do zguby. To, bez czego nie mógł się obejść, wyjaławiało jego życie.

Podjął decyzję.

Sięgnął do kieszeni i wyjął portfelik. Z przezroczystej plastikowej kieszonki wysunął legitymację i odpiął odznakę. Przesunął palcem po wytłoczonym napisie „Policja”. Był chropawy jak blizny na jego kłykciach.

Włożył legitymację i odznakę do szuflady. Potem wyciągnął pistolet z kabury, popatrzył na niego przez długą chwilę i też wepchnął go do szuflady. Wreszcie zamknął ją na klucz.

Wstał i przeszedł przez salę do gabinetu Givers. Na biurku położył kluczyk do szuflady oraz kluczyki od samochodu. Givers przyjdzie rano i nie zastanie go. Zdziwi się, więc zajrzy do jego szuflady. Zobaczy odznakę, legitymację i broń. Zrozumie, że Bosch rzucił pracę. Że nie przenosi się do wydziału kryminalnego. Że rezygnuje bezpowrotnie. Kod 7.

Rozejrzył się po raz ostatni, doznając silnego poczucia nieodwołalności. Był zdecydowany. Postawił jedno pudło na drugim i zaniósł oba do wyjścia. Minąwszy dyżurkę, pchnął plecami drzwi.

– Ej, możesz coś dla mnie zrobić?! – zawołał do oficera dyżurnego.

– Zadzwoń po taksówkę, dobra?

– Nie ma sprawy. Ale pogoda jest parszywa, więc to może chwilę potrwać. Lepiej zaczekaj w śród...

Drzwi się zatrzasnęły, zagłuszając słowa policjanta. Bosch podszedł do krawężnika. Była rześka, wilgotna noc. Gęste chmury przesłoniły księżyc. Przyciskając pudła do piersi, czekał w deszczu.